nowa
proza
polska

wydanie II poprawione

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

*

Posłowie

Jakub Żulczyk

Instytut

Świat Książki

Wydawca
Joanna Laprus-Mikulska

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja

Roman Honet

Korekta
Krystyna Śliwa
Irena Kulczycka

Copyright © by Jakub Żulczyk 2016
W porozumieniu z Agencją Literacką Syndykat Autorów
Copyright © for this edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Wydanie II zmienione przez autora

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-349-1

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

*

Kimkolwiek jesteś.

Mam na imię Agnieszka, a Instytut to moje mieszkanie. Dwanaście godzin temu zostałam w nim uwięziona. Nikt nie może wyjść na zewnątrz. Nikt nie może wejść do środka.

Instytut znajduje się na ostatnim, piątym piętrze przedwojennej kamienicy położonej przy jednej z głównych arterii Krakowa. Jego adres to: aleja Mickiewicza 20, mieszkanie numer 12. Ma powierzchnię stu trzydziestu metrów kwadratowych, cztery pokoje, do tego, jak większość mieszkań, kuchnię, ubikację i łazienkę.

To duża powierzchnia, przynajmniej w teorii. Podczas metrażowej licytacji na sobotnim „winie u znajomych", gdy każda zaproszona para opowiada o dwupokojowym owocu swojego kredytu, „sto metrów" wywołuje zawistne cmokanie, pytania o okazję, przytyki: „to pewnie po salonie możesz jeździć sobie na rowerze, nie?". Nie wydaje mi się jednak, aby przestrzeń miała jakieś większe znaczenie, gdy jest się zamkniętym od zewnątrz. Cela to wciąż cela.

Nazwa „Instytut" była na domofonie, gdy po raz pierwszy przyjechałam obejrzeć mieszkanie. Zapytałam prawniczkę, z którą je oglądałam, dlaczego akurat Instytut, i to w miejscu, gdzie powinno raczej się znajdować nazwisko mojej babci – jaki Instytut, badający co? Nie miała pojęcia. Później, gdy się wprowadziłam, administratorka zapytała, czy wymienić papierek pod domofonem na taki, na którym byłoby moje nazwisko. Odmówiłam. Pomyślałam, że tak będzie łatwiej. W końcu każdemu, kto zamierzałby mnie odwiedzić, nie będę musiała

bezskutecznie wbijać do głowy numeru lokalu i nazwiska. „Wystarczy powiedzieć: dzwoń do Instytutu" – pomyślałam, zakładając, że poznam w Krakowie jakichś ludzi, którzy zechcą mnie odwiedzać.

Po bardzo krótkim czasie chciałam, aby było ich o połowę mniej. Wszyscy, rozmawiając o moim mieszkaniu, mówili: „do Instytutu", „w Instytucie", „z Instytutu", „pod Instytutem", „niedaleko Instytutu". Mówili tak ludzie, którzy wpadali tu na kawę, ludzie, którzy wpadali tu trochę częściej, a w konsekwencji się wprowadzali, oraz ludzie odwiedzający tych, którzy już się wprowadzili. Przy Alejach Trzech Wieszczów są setki mieszkań. W całym Krakowie kilkadziesiąt, kilkaset tysięcy. „Instytut" stał się więc po prostu Instytutem. Gdy to nastąpiło – a nie potrafię określić, kiedy dokładnie – tym bardziej nie chciałam, aby Instytut, dzięki nowej karteczce w domofonie, został zwykłym mieszkaniem Agnieszki Celińskiej. Nawet gdy w poniedziałek o ósmej rano znajdowało się w nim czterdzieści na wpół omdlałych, ale wciąż usilnie przebywających ze sobą osób, a ja musiałam za dwie godziny wyjść do pracy, nie chciałam, aby stał się takim samym miejscem jak wszystkie inne mieszkania należące do Nowaków, Paprockich, Daszyńskich, Malickich, Dawidowskich albo przez nich wynajmowane. Ale w tym momencie Instytut już nie jest azylem; jest właściwie jego przeciwieństwem – jest pułapką.

Nie możemy wyjść z Instytutu. To znaczy możemy wyjść, ale tylko na korytarz. Na korytarzu po lewej jest wejście do starej, drewnianej windy z dwuskrzydłowymi drzwiami. Obok windy są schody w dół, które oddziela od klatki masywna przedwojenna krata z poskręcanymi w secesyjne supły, gęsto osadzonymi prętami. Winda zawsze działała, ale teraz nie działa. Krata zawsze była otwarta, ale teraz jest zamknięta na oba zamki. Nie mam klucza do tych zamków. Być może ma je pani Finkiel, sąsiadka. Naprzeciwko naszych drzwi, po drugiej stronie windy i schodów, są drzwi do jej mieszkania. Pani Finkiel nie chce lub nie może nam ich otworzyć. Chyba że nie ma jej w domu.

Nie działają nasze telefony. Nie możemy złapać internetu. Zostaliśmy odcięci od świata w samym centrum Krakowa.

Na ludzi, którzy nas zamknęli, mówimy „Oni". W pewnym sensie sami tak się przedstawili. Kilka godzin temu Weronika znalazła na wycieraczce wydartą z zeszytu kartkę w kratkę, na której ktoś nabazgrał czerwonymi, krwistymi literami: TO NASZE MIESZKANIE.

Nie wiemy, kim są „Oni". Nie potrafimy nawet się domyślić. Mogą być naszymi sąsiadami. Mogą być dawnymi znajomymi, których kiedyś niechcący skrzywdziliśmy, byłymi dziewczynami, chłopakami, mężami, rodziną. Mogą być psychopatami w rodzaju tych, którzy wybierają na chybił trafił numer komórki i pastwią się nad tobą przez miesiąc, wydzwaniając o trzeciej nad ranem i grożąc, że spalą ci dom. Mogą być administracją budynku. Mogą być policją. Właścicielami warzywniaka naprzeciwko. Dziwną grupą ludzi w znoszonych garniturach, trzymających skórzane nesesery i wyraźnie zużyte, papierowe teczki, którą minęliśmy na ulicy parę dni temu. Nie mamy zielonego pojęcia.

Teraz możemy tylko czekać, siedząc albo kursując pomiędzy czterema pokojami, kuchnią i łazienką. Jest nas tutaj siedmioro – Weronika, Iga, ja, Sebastian, Jacek i dwoje znajomych Weroniki, przypadkowych więźniów – Robert i Ania.

Przemieszczamy się z pokoju do pokoju, aby odrobinę rozrzedzić poczucie uwięzienia, jednak ono zamiast niknąć, rośnie z każdą sekundą, wchodzi w każde pasmo każdego mięśnia jak rosnący w ekspresowym tempie nowotwór. Czujemy je najmocniej w momentach, gdy na sekundę stajemy w miejscu, zatrzymani przez jakiś dochodzący z zewnątrz szmer, dźwięk, stuknięcie. Czekamy kilkanaście sekund, wyglądamy na klatkę, patrzymy przez okno na ulicę. Na razie jednak żaden z tych odgłosów nie zmienia się w nic konkretnego. To po prostu zwykły dźwięk, echo ze świata, od którego nas odcięto. Jedyne, co nam zostaje, to ruszać z powrotem, siadać i wstawać, zapalać i gasić papierosy, gotować wodę na kolejne herbaty, odkręcać wodę i ją zakręcać, zdejmować i wkładać ubrania – w kółko, w kółko, w kółko.

Zorientowaliśmy się, że nas zamknięto w niedzielę, około dwudziestej drugiej. Być może byliśmy zamknięci już od popołudnia, ale nikt nie potrafił tego stwierdzić ze względu na specyfikę dnia. Niedziela to w Instytucie czas wyczerpanego człapania do łazienki, wyganiania ostatnich niedobitków po sobocie, a wieczorem wspólnego spożywania pizzy i oglądania całego pasma upośledzonych programów o tańczących, śpiewających i stających na rękach aktorach z polskich seriali i polskich piosenkarkach. Niedziela to dzień, w którym trzeba przez pół godziny akumulować w sobie energię, aby napuścić wodę do wanny, nie mówiąc już o wyjściu z mieszkania. Niedziela to dzień, którego z reguły się nie pamięta.

Poprzedniego dnia Iga i ja stałyśmy za barem w Brzydkim Kocie. Brzydki Kot to popularna knajpa niedaleko Rynku Głównego. Papa, właściciel, wypuścił nas do domu wpół do dziesiątej, gdy w lokalu poniewierały się smutne resztki sobotniego wieczoru. Nieprzytomne, czterdziestoletnie kobiety o wyglądzie dewizowych prostytutek z polskiego filmu z lat osiemdziesiątych, stojąc na barze, tańczyły do puszczanej w kółko *Lambady*. Sebastian z Yogim i Papą zbierali ze stolików leżących z twarzami w popielniczkach zapomnianych przez życie malarzy, bezrobotnych muzyków, niepublikowanych poetów i studentów kierunków humanistycznych. Podłogę przykrywała chrzęszcząca i śliska kołdra błota, szkła, szlamu i niedopałków. Wyszliśmy we trójkę – ja, Iga i Sebastian. Ze zmęczenia przytrzymywaliśmy się ścian. Papa w nagrodę za żołnierską postawę wręczył nam po butelce wina. Gdyby nie grudzień i poranny, dziesięciostopniowy mróz, pewnie nie doszlibyśmy do mieszkania i zasnęli na ławce na Plantach. Gdy w końcu, wlokąc się przez Karmelicką jak procesja na relanium, dotarliśmy do Instytutu, po prostu padliśmy na nasze łóżka, tracąc przytomność.

Gdy ją traciliśmy, w pokoju Rumuna trwało jeszcze coś w rodzaju wizyty znajomych: Jacek głośno rozmawiał z grupą młodych i bełkoczących osób, których nie zdołałam rozpoznać, a która planowała jakąś inteligentną

rozrywkę w rodzaju rzucania jogurtami w radiowozy, tudzież podpalenia przystanku autobusowego.

Oprócz Weroniki o dwudziestej drugiej wszyscy jeszcze spaliśmy. Weronikę odwiedzili znajomi, jak się okazało, ci sami, którzy byli u nas również w poprzednią niedzielę, Robert i Anka. Właśnie oni, chcąc wyjść z Instytutu, odkryli, że to niemożliwe.

Gdy Weronika weszła do mojego pokoju, akurat próbowałam wstać.

– Agnieszka, stało się coś dziwnego – powiedziała.

Zrzuciłam z siebie kołdrę i oba koty, podniosłam się i podreptałam do drzwi. Musiałam zmrużyć oczy, chociaż w mieszkaniu panował półmrok. Wnętrze moich ust było spuchnięte i poranione, jakbym zjadła pięć szklanek piasku. Jakieś niezidentyfikowane, tępe narzędzie rytmicznie łomotało o wewnętrzną stronę mojej czaszki. Weronika pokazała mi kartkę z zeszytu. Wzięłam ją do rąk i przysunęłam blisko do nosa jak staruszka próbująca rozszyfrować rachunek za telefon.

– Leżało na wycieraczce. – Wskazała palcem przestrzeń rozpościerającą się za otwartymi drzwiami do mieszkania. – Chodź. Może wiesz, o co chodzi.

– To nasze mieszkanie – przeczytałam raz na głos i kilka razy w myślach.

Tu, w Krakowie, zajmuję się różnymi rzeczami, robię makijaże dla telewizji, dekoruję ludziom mieszkania, ale głównie, co drugi wieczór, jestem barmanką. Jak każdy barman i każda barmanka dzielnie piję w pracy. Barman pracuje średnio dwanaście godzin, w tym czasie popijając małe piwa i okazjonalne wódki ze znajomymi po to, aby na koniec schlać się z okazji fajrantu. Następnego dnia skoncentrowanie się na prostych, wypowiadanych do ciebie zdaniach to potworny, nieludzki wysiłek.

Do tego mam trzydzieści pięć lat; w swoim głębokim, wewnętrznym mniemaniu zaczynam być starą babą. Źle znoszę życie, które dwudziestolatek może prowadzić bez większych problemów egzystencjalnych i odpornościowych. Jest mi ciężej. Dostaję nieznacznych

zadyszek. Wolniej trawię alkohol. Muszę dłużej spać. Bolą mnie plecy. Tylko dlatego, że za długo stoję lub siedzę.

Podsumowując, musiałam się mocno skupiać, aby zrozumieć to, co mówi i pokazuje Weronika.

– Ktoś się pomylił, Weronika. – Nie zdziwiłam się, gdy zamiast mojego głosu usłyszałam coś pomiędzy szlifierką kątową a umierającym bluesmanem.

– Chodź ze mną na korytarz. – Weronika machnęła ręką.

Na korytarzu stali jej znajomi: szczupły, wysoki i skrzywiony chłopak w długim, damskim swetrze na guziki i rogowych okularach i drobna blondynka okutana w rozciągnięty T-shirt i legginsy z nadrukiem spranej tęczy, o twarzy i dłoniach koloru starej porcelany.

– No dobrze, ktoś sobie robi jaja – powiedziałam, mrużąc oczy, jakbyśmy wszyscy byli na plaży w sierpniowe popołudnie. „Z powrotem do łóżka" – myślałam jeszcze wtedy. „Nakryć się kołdrą. Spać".

– Nie można wyjść – odparła Weronika. – Nie działa winda. Krata jest zamknięta. „Oni" nas tutaj zamknęli.

– Jacy „Oni"? – zapytałam.

Weronika jeszcze raz pokazała mi kartkę, a ja jeszcze raz przeczytałam: „To nasze mieszkanie".

Oprzytomniałam. Przynajmniej na tyle, by poczuć, że jest mi zimno w pięty. Stałam boso na nieogrzewanej klatce schodowej; na zewnątrz musiało być jakieś minus dziesięć stopni.

Machnęłam im ręką, aby weszli za mną z powrotem do środka, wróciłam do pokoju i zaczęłam powoli wygrzebywać telefon ze zbitej sterty ubrań. Nie chciał się włączyć. Zaczęłam szukać ładowarki, ale po chwili uświadomiłam sobie, że zajmie to następną godzinę. Ruszyłam do pokoju Igi, żeby ją obudzić.

Spała na brzuchu, ze zwisającą smętnie głową, w ubraniu; wyglądała, jakby spadła na łóżko z wysokości kilku pięter.

– Iga, ktoś zamknął kratę na schody i zostawił jakąś durną kartkę na wycieraczce – powiedziałam.

Iga podniosła głowę o kilka centymetrów, otworzyła jedno oko, wydusiła z siebie zachrypnięte „Jezus Maria” i wstała. Wręczyłam jej list z wycieraczki.

– To koledzy Rumuna. – Pokręciła głową. – Oni robią takie rzeczy. Raz na czyichś urodzinach zwędzili klucze do knajpy i zamknęli wszystkich w środku.

– Nie mogą już tu nigdy więcej przyjść – powiedziałam cicho. – Wydrukujemy ich zdjęcia i przykleimy na drzwiach do kamienicy.

– Tak, masz pełną rację. – Iga pokiwała głową. Wstała, wyminęła mnie, przeczłapała przez korytarz i zaczęła bębnić pięściami w szyby w drzwiach pokoju Jacka. – Rumun! – wrzasnęła. – Zadzwoń do swoich kolegów debili i powiedz im, że są opór nieśmieszni.

Jacek, znany w Instytucie jako Rumun, otworzył drzwi po dobrej minucie. Przypominał mocno zgniecioną w rękach i następnie rozprostowaną kartkę. Pokazałyśmy mu palcem wyjście z mieszkania. Powoli, człapiąc, mijając nas, jakbyśmy były słupkami, wyszedł na klatkę. Stanęłam w drzwiach. Rumun szarpnął kratę raz, drugi i trzeci.

– To jest bardzo nieśmieszne. – Iga opierała ręce na biodrach.

– To nie oni. – Rumun pokręcił głową.

– Oczywiście. To moja mama.

– Nie wiem, skąd wzięliby klucz do tej kraty, skoro my go nigdy nie mieliśmy. – Rumun przeciągnął dłonią po prętach, po czym podszedł do windy. Nacisnął guzik raz, drugi i trzeci.

– Nie działa – powiedziała Weronika.

– Dziwne byłoby, gdyby działała. – Wzruszył ramionami.

– Wczoraj był facet od naprawiania wind. – Iga podeszła do drzwi windy i sama zaczęła bezskutecznie naciskać guzik. – Zaczepił mnie, gdy wracałam ze sklepu, i pokazywał mi przez pół godziny, że teraz śmiga jak Pendolino. To były jego słowa. „Śmiga jak Pendolino”.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Potem koleżanka Weroniki zapytała:

– Czy u was często dzieją się takie rzeczy?

– Co tydzień. To taka tradycja – odpowiedział Rumun.

Dziewczyna nawet nie spojrzała na Rumuna. Patrzyła wciąż na guzik do windy. W jej oczach widać było niezamieszkaną przestrzeń.

– Nie, nie – odpowiedziałam po kilku sekundach. Chciałam się uśmiechnąć, ale nie zdołałam. Po prostu pokazałam wszystkim ręką, żeby wrócili do mieszkania. – Iga, daj mi telefon – powiedziałam. – Zadzwonię do administratorki, żeby otworzyła kratę.

Iga cofnęła się do swojego pokoju i po chwili wróciła z telefonem i ładowarką.

– Dziwne. – Dała mi go do ręki. – Nie chce się włączyć.

Telefon wysiadł. Na ekranie było widać logo nadgryzionego jabłka i kilka kropek kończących się symbolem kabla USB. Rumun wziął aparat do ręki.

– System ci padł. Jest bezużyteczny. Trzeba zanieść do serwisu.

– Wezmę mój – powiedziałam.

To było błyskawiczne otrzeźwienie. Jak spotkanie patrolu policji o czwartej nad ranem, kiedy ma się worek trawy w kieszeni, jak wjechanie w tyłek stojącego przed tobą samochodu.

W moim iPhonie nie było karty SIM, nie było nawet tej metalowej szufladki, do której się ją wkłada. Wzięłam ładowarkę Idy, podłączyłam telefon do prądu i spróbowałam go włączyć. Na ekranie pojawiły się jabłko, kropki, kabel, nieme i uparte.

Pokazałam urządzenie Idze, oparłam się o ścianę i zrozumiałam, że zaczynam się bać. Ktokolwiek zrobił nam dowcip, powinien w tym momencie odpuścić, otworzyć kratę, wejść do środka Instytutu i powiedzieć, że jesteśmy w ukrytej kamerze. I lepiej mieć przy sobie alkohol, dobre jedzenie i słodycze.

– Spokojnie, spokojnie. – Rumun stał w miejscu, drapiąc się po głowie i międ̨ląc swoją twarz jak plastelinę; sprawiał wrażenie, jakby ktoś przybił mu stopy gwoździami do podłogi, aby na nią nie runął. – Byłyście w pracy, piłyście… ktoś zrobił wam numer. Albo same coś kombinowałyście z kratami.

– Nie wiem po co – powiedziałam.

– Ja też nie wiem. – Rumun wzruszył ramionami.

– Rumun, idź po swój telefon – starała się mówić jak najspokojniej Iga.

Z pokoju wyszedł Sebastian. Stanął na środku korytarza. Ubrany tylko w dół od dresu z wydrukowaną gotycką czcionką na lewej nogawce nazwą firmy Banda, przypominał rzeźbę z chleba.

– Co jest? – zapytał.

– Ktoś się wygłupia – odparłam.

Sebastian podrapał się po głowie, obrzucił wzrokiem Roberta, który na jego widok skurczył się o jakieś dziesięć centymetrów, i powiedział:

– Zaraz go zajebię. Tylko wypiję kawę.

Robert lekko podskoczył, jakby w stopę kopnął go niewielki prąd.

– Nie ciebie, pitbulu. – Sebastian klepnął go w ramię i poszedł do kuchni. W tej samej chwili Rumun wyszedł z powrotem z pokoju, trzymając swój telefon, starą nokię. Nigdy nie wiedziałam, czy używał jej ze szlachetnej abnegacji, czy wykalkulowanego na zimno hipsterstwa; w tym zbiorze niewiadomych znajdowała się tak naprawdę cała jego osoba.

Właściwie przyniósł połowę telefonu: bez baterii, bez karty SIM, bez klapki.

– Włączaliście laptopy? – zapytał.

– Jeszcze nie – odparłam.

– Nie ma sieci. Nie łapie żadnych sieci – powiedział.

– Może masz zjebaną kartę – wyszeptała Iga.

– Nie mam zjebanej karty – odpowiedział.

Rumun usiadł na podłodze.

– Oni nie wymyśliliby czegoś takiego. Ci moi koledzy. – Rumun usiadł na kanapie i zaczął międlić twarz dłońmi. – Kurwa, oddam nerkę za kawę.

– Już się skończyła! – krzyknął z kuchni Sebastian. – Chcesz czaju?

Iga zniknęła w swoim pokoju. Po chwili przebiegła z powrotem przez korytarz, wpadając z kolei do mojego pokoju. Zaraz jednak wróciła i oparła się o ścianę, próbując unormować oddech.

– Kabel jest przecięty – powiedziała – tuż przy oknie. Kabel od...

– Od routera – dodał Rumun.

– Jest przecięty – powtórzyła Iga.

Sebastian wyszedł z kuchni, oparł się o ścianę i popatrzył na nas bez śladu emocji. Weronika zamknęła oczy i usiadła na podłodze. Zaczęła bezgłośnie poruszać ustami. Po chwili popatrzyła na mnie z powrotem. Oczy błyszczały jej z niepokoju.

– Mnie nie było dzisiaj w domu – powiedziała. – Dzisiaj byłam w pracy. O osiemnastej umówiłam się z Robertem i Anią pod Bagatelą i przyszliśmy tutaj.

– I wtedy jeszcze nie było żadnej kartki?

– Nie, wtedy jeszcze nie było żadnej kartki.

– Drzwi były otwarte?

– Tak – odparła bez zastanowienia Weronika – drzwi były otwarte.

– Co się dzieje? Czapa, co wy świrujecie? – odezwał się w końcu Sebastian. Mówił do mnie Czapa, tak samo jak nasz wspólny szef, Papa. Obaj dobrze wiedzieli, że tego nie cierpię.

– Tyle razy, kurwa, mówiłam, żeby zamykać drzwi! – podniosła głos Iga, ale przerwałam jej ruchem dłoni. Wskazałam palcem najpierw na siebie, a potem na nią.

– To nie ma znaczenia, Iga, skoro mają klucze do kraty, to równie dobrze mogą mieć też klucze do mieszkania – powiedziałam.

– Kurwa, robicie sobie ze mnie jaja – stwierdził Sebastian i upił łyk herbaty.

Zapaliłam papierosa; papierosy powinny uspokajać, ale w tym momencie nic takiego nie nastąpiło. Jakbym z dymem połknęła jakąś metalową drobinę poruszającą się po całym moim ciele, rozcinającą je od środka drobnymi szarpnięciami. Popatrzyłam na Weronikę i przypomniałam sobie, co powiedziała, wchodząc do mojego pokoju, a wtedy szarpnięcie w brzuchu kazało mi odłożyć papierosa i złapać się obiema dłońmi za żołądek.

– Powiedziałaś, że to jest dziwne. Że stało się coś dziwnego. – Odwróciłam się do niej.

– Tak. – Weronika popatrzyła na mnie pytająco. – Tak, mówiłam coś takiego.

– Znam cię pół roku, stara. Ty nigdy nie powiedziałaś, że coś jest dziwne. Nigdy nie użyłaś tego słowa.

Weronika spojrzała na mnie, jakby próbowała mnie rozpoznać. Tak naprawdę w jej twarzy jak zwykle pracowały wyłącznie oczy, dwa hipnotyzujące, zielone tunele. Czasami patrząc w nie, czułam się, jakby ktoś robił mi rentgen. Nic nie odpowiedziała.

Znowu staliśmy lub siedzieliśmy przez dłuższą chwilę bez słowa.

Iga wstała, podeszła do kraty, zaczęła nią szarpać i wrzeszczeć na całą kamienicę. Po chwili dołączyłam do niej razem z Jackiem. Wykrzykiwaliśmy: „pomocy!", „halo!", „proszę otworzyć!", „ratunku!", potem po prostu wrzeszczeliśmy, zdzierając gardła, jakby ktoś szorował je papierem ściernym. Jacek rzucił przez kratę pustą butelkę. Trzask szkła rozszedł się po całym pionie, ale bez rezultatu. Nie otworzyły się żadne drzwi, nie zapaliło się żadne światło, nikt nie wyszedł i nie krzyknął nic o jadącej już policji. Jakby z naszej kamienicy wszyscy nagle uciekli, wygnani przez jakiś przespany przez nas alarm.

Sebastian spróbował szarpnąć kratą z całej siły, ale to było, jak łatwo się domyślić, bezcelowe. Jedynym efektem okazał się idący echem na niższe piętra klekot.

Okna w pokojach moim i Igi wychodziły na ulicę. Wyjrzeliśmy przez nie, krzyczeliśmy, ale na ulicy nikogo nie było. Przejechało może jedno, najwyżej dwa auta. Zresztą z perspektywy kierowców nie dało się nic dostrzec.

Iga rzuciła przed siebie butelką po winie, która rozbiła się o chodnik. Nie wzbudziło to niczyjej reakcji. Takie rzeczy nigdy nie wzbudzają niczyjej reakcji.

Okna z drugiej strony mieszkania, z pokojów Seby i Rumuna, wychodziły na podwórko. Było jeszcze bardziej puste i ciemne niż zwykle. W żadnym z okien naprzeciwko nie paliło się światło.

Wróciliśmy do mieszkania i zaczęliśmy głośno tupać, skakać po podłodze, wrzeszczeć. Walić w drzwi naszej jedynej sąsiadki, pani Finkiel – bez żadnej reakcji. Włączyliśmy muzykę, równocześnie w każdym pokoju, na cały regulator, czekając, aż do drzwi zapuka policja z gotowym wezwaniem do sądu grodzkiego, co już nam się zdarzało, i to przy emitowaniu znacznie mniejszej liczby decybeli.

Bez rezultatu.

Mimo to skakaliśmy i hałasowaliśmy dalej, aby nie spanikować, chociaż rósł w nas strach, wypełniał nam brzuchy, zamieniał krew w kisiel.

Około pierwszej w nocy przestaliśmy. Nie mieliśmy już siły na podskakiwanie. Zostawiliśmy włączoną muzykę w moim pokoju, zamknęliśmy drzwi i przeszliśmy do kuchni.

Rozmawialiśmy o tym, kto mógł to zrobić i po co.

Sąsiedzi. Z wyjątkiem pani Finkiel z sąsiadami mieliśmy całkiem dobre stosunki.

Każdy z nas robił sobie rachunek sumienia. Zdradzone dziewczyny i porzuceni chłopcy, zapomniani pożyczkodawcy, byli przyjaciele, wszyscy możliwi spotkani po drodze wariaci.

Siedzieliśmy i sączyliśmy na zmianę ostatnie dwa znalezione w lodówce piwa i czekaliśmy na cokolwiek: jakiś sygnał, ruch, pukanie do drzwi, szelest, zabijając czas i strach wymianą coraz mniej sensownych zdań.

O drugiej w nocy jeszcze raz próbowaliśmy się wydzierać, wychyleni przez okna, krzycząc w stronę pustej, zimnej i mrocznej ulicy, i w ciemną plamę Parku Krakowskiego po drugiej stronie, ale to nic nie dało: nasz krzyk odbijał się przez chwilę po mieście i znikał bez odzewu. Gdy nadjeżdżał policyjny samochód, Sebastian rzucił w jego kierunku kolejną butelką i wrzasnął coś w rodzaju:

– Kurwy!

Butelka rozbiła się tuż przed autem. Samochód przyśpieszył.

Około czwartej położyliśmy się spać. Rozłożyliśmy na podłodze materace i koce dla Roberta i Anki, a sami walnęliśmy się na łóżka w ubraniach.

– Jak go dorwę, kurwa, debila, przejadę mu po nogach samochodem, a potem zrzucę ze Skałek – powtarzał Sebastian, zakładając, że za całą tę sytuację odpowiada jakiś pojedynczy mężczyzna.

Spaliśmy krótko.

Około wpół do szóstej usłyszeliśmy łomot. Jakby w kratę na klatce ktoś trzasnął metalowym grubym prętem. Potem było słychać wbieganie po schodach, a następnie mocne kopnięcie w drzwi, które rozeszło się echem po wszystkich szybach i framugach mieszkania.

Pierwszy z łóżka zerwał się Sebastian, wydając z siebie gardłowy ryk, który zrozumiałam jako „skurwysyny!". Miał w ręku gotowy, przyniesiony z kuchni nóż. Pobiegliśmy za nim wszyscy. Ale nie zdążyliśmy jeszcze szarpnąć za klamkę od drzwi wejściowych, gdy nastąpiło kolejne głośne trzaśnięcie. To zamknęły się drzwi windy.

Za drzwiami nie było już nikogo. Klatka okazała się tak samo pusta, ciemna i chłodna jak kilka godzin temu. Zobaczyliśmy tylko liny zjeżdżającej w dół windy. Usłyszeliśmy, jak dwa piętra niżej ktoś z niej wychodzi. Naciskaliśmy przycisk, jakbyśmy chcieli odzyskać złotówki z zepsutego automatu do kawy, ale winda już nie wróciła.

Usłyszeliśmy jeszcze powolne, miarowe odgłosy butów uderzających o schody, dwóch par, cichnące z sekundy na sekundę, ze stopnia na stopień. Regularne kroki bezkarnych ludzi, którzy mają w sobie spokojną pewność, że nikt nie będzie próbował za nimi biec. Kroki strażników więziennych.

Popatrzyłam pod nogi, leżała pod nimi kolejna kartka. Taka sama; wyrwana ze szkolnego zeszytu w kratkę. Podniosłam ją ostrożnie, wzięłam w dwa palce, odwróciłam i przeczytałam nabazgraną znowu czerwonym mazakiem i takim samym koślawym, gwałtownym pismem wiadomość:

POWIEDZ, ŻE JUŻ TU NIGDY NIE WRÓCISZ, A CIĘ WYPUŚCIMY. PRZYSIĘGNIJ.

Chciałam już coś powiedzieć, chciałam krzyknąć, ale ubiegł mnie Sebastian. Podskoczył do kraty, chwycił pręty i zaczął wrzeszczeć na całą klatkę:

– Chodź tu! Chodź tu, kurwa! Gówno ci oddam! Słyszysz? Chodź tutaj, to ci oddam! No chodź, kurwa, chodź tutaj!

Jednak nawet jeśli ktoś słyszał, nikt mu nie odpowiedział. Kroki już dawno umilkły w wejściowej bramie kamienicy. Klatka była cicha i zimna, ciemna i pusta.

*

Gdy moja córka chce zadać mi pytanie, przybiera najcwańszy z możliwych wyraz twarzy. Staje w rozkroku, kładzie dłonie na biodrach, jedną nogę odchyla w bok, drugą wysuwa do przodu. Starannie reżyseruje ustawienie głowy, lekko przekrzywiając ją w tę stronę, w którą odchylona jest noga. Doskonale wie, co robi. Gdybym wiedziała tak dobrze, co ja sama właściwie robię, być może wszystko byłoby inaczej.

Gdy w końcu moja córka zadaje mi pytanie, brzmi jak pytanie retoryczne. Zresztą moja córka nigdy się nie garbi. Zawsze patrzy prosto w oczy. Nie zasłania ust, gdy mówi. A mówi głośno i wyraźnie. Może gdzieś tam w środku nie jest pewna siebie, ale na co dzień wygląda jak niezniszczalna wojowniczka, nawet gdy pyta, czy skończyło się mleko. Dwunastoletnia walkiria w getrach i z kolekcją japońskich komiksów. Chciałabym myśleć, że to efekt tego, co wbijałam jej do głowy, odkąd zaczęłam podejrzewać, że już rozumie po polsku. Ale ona po prostu taka się urodziła. Ma to po jakiejś praprababci.

– Ela, pamiętaj, nigdy nie możesz być bezbronna. Nigdy nie możesz pokazać, że jesteś od kogoś słabsza. Gdy ktoś cię obrazi, bij. Jeśli cię uderzy, oddawaj dwa razy mocniej. Pamiętaj, że jesteś najmądrzejsza, najładniejsza i najlepsza i żaden śmieć nie ma prawa tobą pomiatać.

Powtarzam jej to bez przerwy, chociaż w rzeczywistości zawsze powtarzam to sobie. Zawsze powtarzamy wszystko zwłaszcza sobie. Ale jeśli ktoś twierdzi, że należy wychowywać córki inaczej, zapraszam go do internetu.

Wmawiałam jej to do momentu, gdy któregoś pięknego dnia uświadomiłam sobie, że rozumie to lepiej ode mnie. Akurat przygotowywałam silikonowy odlew ludzkiej szczęki, gdy zadzwoniła do mnie wychowawczyni jej klasy. Piętnaście minut wcześniej zadzwonił reżyser, z którym właśnie pracowałam. Reżyser był typem marzyciela. Tego dnia wymarzył sobie, aby w scenie bójki przez cztery sekundy w kadrze pokazywano faceta, któremu przed chwilą złamano żuchwę. Powiedział:

– Wiesz, Aga, ja bym chciał, żeby to wyglądało zajebiście realistycznie. Jak w *Historii przemocy*. Zero udawania. Wiesz, Aga, te barany robią to dalej tak, że to wygląda jak na Borewiczu. I jak jeden drugiego wali w mordę, brzmi to jak kopanie worka z piaskiem i wszyscy widzą, że im z tych mord leci keczup.

– Ci od *Historii przemocy* nie pracowali sami, w domu, po godzinach i z dzieckiem – powiedziałam.

On na to:

– Wiesz, że chodzi o to, by zrobić to tak, żeby to puszczali, kurwa, bez obciachu, w Paryżu i w Londynie, i wiesz, że to ty będziesz pod tym podpisana, tam będzie twoje nazwisko.

– To na pewno będzie puszczane w Paryżu i w Londynie. – Pokiwałam głową.

– Błagam cię, daj radę na jutro wieczór z odlewami i bliznami z silikonu, bo mnie zabije kierownik produkcji – powiedział i się rozłączył.

Nie zdążyłam mu nic odpowiedzieć, że gdyby go zabił kierownik produkcji, to w sumie byłoby spoko.

A piętnaście minut później zadzwoniła ta piskliwa pizda, czyli wychowawczyni mojej córki, która pluła kurzem i kredą, nawet mówiąc przez telefon, i zaskrzeczała:

– Pani Agnieszko, proszę przyjść do szkoły, ponieważ mamy tutaj mały problem.

Akurat modelowałam sztuczne zęby z masy perłowej, aby potem je nadłamać i pomalować na żółto. Kątem oka patrzyłam w spauzowany kadr

ze *Świtu żywych trupów*. Jeden zombi miał dokładnie taką ułamaną żuchwę, o jaką mi chodziło.

Zapytałam, na czym polega problem.

– Ela uderzyła jednym ze swoich kolegów o ścianę, podrapała go, a potem zaczęła kopać. Marek ma podejrzenie wstrząsu mózgu. To piątkowy uczeń, pani Agnieszko.

Odpauzowałam film. Głowa zombi na ekranie zamieniła się w zielonoczerwony bryzg. Niestety, strzelcowi skończyły się naboje; po sekundzie drugi zombi podbiegł do niego i odgryzł mu połowę szyi z taką łatwością, jakby wgryzał się w sernik. Spauzowałam. Wszystko trwało dwie albo trzy sekundy. Cały sztab ludzi od efektów i charakteryzacji mógł pracować sobie nad tym przez tydzień. Do tego nie wydzwaniali do nich wychowawcy. Nie mieli dwunastoletnich córek. Nie rozwodzili się.

– Zaraz tam będę – poinformowałam piskliwą pizdę i odwiesiłam słuchawkę.

W szkole Ela przebywała w gabinecie pani dyrektor, jakby wyjętym z czasów, gdy byłam w wieku mojej córki: z białym orłem, paprotkami i delikatnymi nutami zapachowymi szmaty i niedomycia. Tylko zamiast maszyny do pisania zobaczyłam komputer i kserokopiarkę. I na ścianie było więcej kolorowych plakatów: „Dzień Dziecka", „Wszystkie Dzieci Nasze Są", „Posprzątaj Ziemię".

Gdy weszłam do środka, moja córka stała naprzeciwko biurka dyrektorki z rękami założonymi na piersi i ustami ściągniętymi w nieustępliwą kreskę. Patrzyła na mnie, wysyłając mi telepatyczny sygnał: „Zabierz mnie stąd, przecież widzisz, że jakikolwiek kontakt z tymi ludźmi to jakieś nieporozumienie". Za biurkiem siedziała pielęgniarka w kasku z miodowej trwałej i żakiecie, który pamiętał plan Balcerowicza. Piskliwa pizda stała obok w długiej i czarnej niby-sukni z katalogu mody Bon Prix, z twarzą zatynkowaną pudrem. Patrzyły na mnie, wysyłając mi telepatyczny sygnał: „Jesteś tą kolejną samorealizującą się szmatą, która ma w dupie swoje dzieci i podrzuca je nam pod opiekę jak psa znajomym, gdy wyjeżdża się na wakacje. Oj, w piekle dostaniesz, suko, kopa w dupę za

te «Wysokie Obcasy», sushi i jogę, poomawiasz sobie *Krzyżaków* przed bandą przeładowanych hormonalnie półmózgów, wtedy zobaczysz, jak to jest". Miałam na sobie różowy dres, zachlapaną silikonem i sztuczną krwią piętnastoletnią koszulkę zespołu Świat Czarownic, a na głowie kolorowy turban. Kolorowy turban był lepszy niż to, co znajdowało się pod spodem, czyli historia o tym, jak wczoraj próbowałam ufarbować sobie włosy, prowadząc pięć rozmów telefonicznych jednocześnie. Wyglądałam jak koniec kontrkultury.

Stanęłam pomiędzy nimi. Popatrzyłam na piskliwą pizdę. Piskliwa pizda chrząknęła. Dyrektorka zabębniła o biurko jakimś trzymanym w rękach przedmiotem typu chińskie, prawie wieczne pióro, aby nadać powagę sytuacji. W tle zadzwonił dzwonek.

– Mamy tutaj pewien problem, pani Agnieszko – powiedziała dyrektorka.

– Ela jest ostatnio bardzo agresywna – uzupełniła piskliwa pizda.

– Koleżanki i koledzy zgłaszają, że Ela jest niezdolna do pracy w zespole, kłótliwa, niekoleżeńska, słabe oceny, a teraz...

– Mamo, on powiedział, że jestem dziwką i blacharą, że robię te rzeczy ze starymi facetami za pieniądze. – Moja córka popatrzyła w dół i pociągnęła nosem, ale nie była zgarbiona; ręce trzymała przy ciele, ale nie wisiały bezwładnie. W oczach szkliły jej się łzy, ale widziałam, że nie ma najmniejszego zamiaru się rozryczeć. – Powiedział to na przerwie przy całej klasie – mówiła dalej. – A potem dopadł mnie w szatni. I powiedział, że już dzisiaj wrzuci na fejsa moje zdjęcia z takimi podpisami, że robię loda starym facetom...

Dyrektorka chrząknęła. Piskliwa pizda chciała podnieść głos, ale powstrzymałam ją spojrzeniem. Od tej pory już nie musiałam grać wściekłej matki. Byłam tak wściekła, że musiałam się hamować, aby wzorem zombi z filmu, tego od żuchwy, nie rzucić się na nią i nie wgryźć w jej tętnicę szyjną.

– Uważaj, co mówisz – zwróciłam się do mojej córki.

– Cały czas opowiadał o mnie takie rzeczy – mówiła głośno i na bezdechu moja córka, jak każde dziecko, które musi być własnym adwokatem, chociaż zupełnie nad sobą panuje, ale po prostu stara się powiedzieć jak najwięcej, dopóki piskliwa pizda jej nie przerwie. – Że całuję chłopaków w fiuta, nazywał mnie dziwką i blacharą. Może dlatego, że nie chciałam się z nim całować na szkolnej dyskotece, powiedziałam mu, żeby trochę schudł i częściej się mył, to może. Ale on jest gruby i brzydki, naprawdę, mamo.

– Jak cię nazywał? – upewniłam się, czy dobrze dosłyszałam.

– Miałam czekać, aż on to wrzuci i mnie oznaczy, mamo, przecież chybabym się wtedy zabiła, musiał dostać za swoje – skończyła swoją obronę moja córka, patrząc mi w oczy, a ja nieznacznie do niej mrugnęłam.

– Sama pani widzi. – Dyrektorka postawiła w swoim mniemaniu kropkę nad i.

– Sama widzę. – Postawiłam swoją.

– Porozmawiamy o tym w domu – powiedziałam, obejmując ręką powietrze nad Elą i zagarniając je gestem w kierunku wyjścia. – Zabieram ci tablet.

Dyrektorka popatrzyła na mnie ze zdegustowanym powątpiewaniem. Piskliwa pizda wypuściła powietrze i błyskawicznie podeszła do drzwi, odcinając mi zbyt szybko wytyczoną drogę odwrotu.

– Marek może mieć bliznę do końca życia – wydała z morderczym spokojem lekarską opinię.

Osobiście żałowałam tego, że Marek w ogóle przeżył. Chociaż gdyby nie przeżył, mogłybyśmy mieć pewne problemy.

– Olimpijczyk – zza biurka dobiegł mnie głos dyrektorki. – Laureat Kangura.

Moja córka była za to laureatką Okręgowej Olimpiady Plastycznej za najpiękniejszą rzeźbę z *papier-mâché*, przedstawiającą według niej tajemniczy japoński symbol białej magii z jej ulubionej japońskiej kreskówki. Ale zachowałam tę informację dla siebie.

– Porozmawiam z córką w domu – powtórzyłam, nie odwracając się.

– Do samochodu – powiedziałam, symulując zdenerwowany tryb rozkazujący w stosunku do mojej córki. Moja córka zasymulowała obrażenie. Razem zasymulowałyśmy trzaśnięcie drzwiami.

W samochodzie mocno przytuliłam moją córkę i pocałowałam ją jakieś siedemdziesiąt razy, aż zaczęła się szamotać.

– Mamo, o co chodzi? – zapytała, a ja z powodu silikonowych żuchw i związanego z nimi braku obiadu pokazałam palcem majaczący na horyzoncie kfc. Kiwnęła głową i zajęła się oglądaniem różowego lakieru do paznokci, dołączonego tydzień temu do jakiegoś fabrykowanego dla jej rówieśniczek pisma.

– Jestem z ciebie dumna – zakomunikowałam, włączając się do ruchu. Mój samochód nie należał do królów szos, był poobijanym, obsranym przez ptaki, rzężącym, piętnastoletnim volvo, które w akcie wielkiej hojności podarował mi mój mąż, kiedy kupił sobie nowe, błyszczące volvo za reklamy zupek w proszku i odcinki serialu *Warszawiacy*.

Moja córka zdrapywała lakier z paznokci. Klapnęłam ją w dłoń i powiedziałam, że w domu dostanie zmywacz.

– Aż tak. Żaden debil nie ma prawa mówić o tobie takich rzeczy.

– Tym bardziej że ich nie robię, mamo – zaznaczyła moja córka.

– To nie ma znaczenia – powiedziałam. – Mam nadzieję, że go bolało.

– Dobra, mamo, ale to nie ty go pobiłaś. A jak wywalą mnie z tej szkoły? – zauważyła moja córka, wracając do zdrapywania lakieru. Dźwięk przypominał przyciszony odgłos rwania styropianu i piekły mnie od niego wszystkie zaplombowane zęby. Byłam zanadto dumna z Eli, aby na nią krzyczeć.

– Pójdziesz do jakiejś innej – powiedziałam. – I w końcu jakąś skończysz. Ważniejsze, żebyś umiała dać po mordzie komuś, kto cię obraża, Ela.

Zaparkowałam pod kfc i już rozumiałam, że moja córka wie o tym znacznie lepiej niż ja. Dać po mordzie komuś, kto cię obraża. Ona już mogłaby mnie tego uczyć. Zasługiwała na kubełek premium i ohydne lody

z truskawkami. Wzięłyśmy jedzenie na wynos, więcej, niż mogłybyśmy zjeść przez trzy dni, i pojechałyśmy do domu.

Pomijając kwestie honoru i samoobrony, trudno nie sprawiać szeroko pojętych problemów wychowawczych, gdy w domu widzisz, jak twoja mama próbuje wepchnąć jak najwięcej przedmiotów do za małych walizek, skompresować swój dobytek do konserwy z bluz, spodni, spódnic, biżuterii, rajstop, książek, kosmetyków, płyt, laptopa, dokumentów, pudrów, sztucznej krwi, silikonu, gum, pianek, peruk, barwników, pudrów i lateksu. Gdy jej oczy wyglądają jak dwie wielkie opuchlizny z małymi, wąskimi szparkami pośrodku; gdy chodzi po mieszkaniu z kąta w kąt szybkim, ale niepewnym, krokiem, gdy wykonuje swoje działania gwałtownymi, ale wcale nieefektywnymi ruchami.

– Więc wyprowadzasz się, mamo? – zapytała Ela.

Kiwnęłam głową, wysmarkałam się i zaczęłam znowu bezładnie przekładać przedmioty, chociaż tkwiły już ustawione na nowych miejscach. Ale przy mojej córce nie mogłam pozwolić sobie na przystopowanie na łóżku w pozycji siedzącej, z załamanymi dłońmi i wodą cieknącą bezgłośnie z oczu.

– Nie musisz udawać supermamy, mamo – zauważyła moja córka.

Widziałam, że chce się rozpłakać, i widziałam, jak dzielnie się od tego powstrzymuje. Zaczęłam rozglądać się po mieszkaniu w poszukiwaniu rzeczy, które były bezwzględnie moje, nie kupione razem podczas wspólnych kłótni w konwencji pt. *Zakupy* czy też sprezentowane mi na zasadzie: „Błagam, wybacz". Szukałam rzeczy bezwzględnie moich, tych, które wniosłam w wianie do montażu „ja plus ojciec mojej córki" – ale było ich niewiele. Więcej było kupionych szerokim gestem chwilowo niezależnej baby, za niezaprzeczalnie własne pieniądze, daleko od domu i w słomianej samotności. Ale właśnie tych – filmów na DVD, francuskich czy brytyjskich magazynów, ciuchów, toreb, saszet, gówien – chyba nie potrzebowałam.

Trzydzieści pięć lat to nie jest dobry wiek na nagłą selekcję swoich przedmiotów, wybieranie swoich kolorów z zamazanej palety, która za

cholerę nie chce się rozdzielić, nieważne, ile masz w sobie rozpuszczalnika. Wspólna przestrzeń to pewien zbiór, który wcale nie rozdziela się sprawnie na dwie podgrupy, gdy dwoje ludzi dziękuje sobie za współpracę. Nawet jeśli ta współpraca była pozorna, czysto zawodowa, prowadzona z przyzwyczajenia, nawet jeśli jej najlepsze momenty oznaczały mechaniczny seks i uprzejmą obojętność.

Moja córka nie płacze: ona buczy, trzęsie się i skamle jak rozregulowana zabawka. Podczłapuje i obejmuje mnie swoimi chudymi, pomazanymi farbami i obklejonymi jakimś badziewiem z gum do żucia rękami. Momentalnie siadam i też zaczynam beczeć. Beczymy we dwie, dwie zepsute lalki.

– Mamo, ja też chcę jechać z tobą – buczy moja córka, a ja czuję, że w środku nie mam normalnego serca, ale obcy podrób, rozdrapywany zardzewiałym widelcem. Nigdy nie przebyłam zawału, ale to jest gorsze. – To będzie taka fantastyczna przygoda – mówi dalej. – Pojedziemy we dwie samochodem w długą podróż. Pojedziemy nawet do Stanów Zjednoczonych i zobaczymy Wielki Kanion. Będziemy spać w tanich hotelach i kupować sobie brzydkie przeciwsłoneczne okulary. Jeść w tanich knajpach z hamburgerami, aż okropnie utyjemy. Będzie fantastycznie, mamo, zobaczysz, jak w filmach. Jak w twoim ulubionym filmie.

– Thelma i Louise na końcu giną, kochanie – mówię do mojej córki.

– Nieprawda, mamo. One idą do nieba – odpowiada moja córka. Jest najlepsza na świecie.

Zauważam mój stary, pomazany fluorescencyjnymi farbami stojak na kompakty, pokryty mapą nalepek z dawno nieistniejących warszawskich klubów techno.

– Tato nie jest złym człowiekiem, kocha cię, musisz z nim przez chwilę zostać – staram się mówić głosem lektora z kasety do nauki języka obcego, bo to jedyny rodzaj spokoju, jaki mogę teraz udawać. Córka przyciska się do mnie jeszcze mocniej. Moje serce nie pulsuje samo z siebie, raczej podryguje w jakimś żrącym wrzątku. – A tak będziemy się widywać co pewien czas. I coraz częściej – dodaję to jeszcze wolniej, jakby ta taśma

została wciągnięta, czuję, jakbym nie była sobą, jakbym patrzyła na kogoś obcego, kto wypowiada wyrazy kompletnie sprzeczne ze swoją wolą; ta wola jednak wygrywa w artykulacji, rozciąga samogłoski, wciąga taśmę.

– Tata to dureń – stwierdza moja córka.

– Nie mów tak – odpowiadam.

– Tylko ty możesz tak mówić – odzywa się z wyrzutem moja córka.

– Tak, tylko ja mogę tak mówić – potwierdzam.

Bo ojciec Eli to jedynie mój mąż, od którego już raz kiedyś uciekłam. Mogłam wtedy nie wracać. Chociaż nie warto używać trybu przypuszczającego w czasie przeszłym. Od tego można umrzeć, poza tym to nie przystoi rozsądnym ludziom.

Poznałam ojca mojej córki trzynaście lat temu. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata i studiowałam w ASP w Warszawie. Można powiedzieć, że byłam kimś w rodzaju królowej balu. Malowałam fatalne obrazy. Na przykład kopiowałam obrazki z ulotek świadków Jehowy, domalowując wszystkim głowy krów albo świń. Moim znajomym to się podobało, bo wtedy braliśmy dużo narkotyków, w dodatku o podejrzanej proweniencji. Chodziłam do Blue Velvet, Paragrafu 51, Przestrzeni Graffenberga. Tamte miejsca to oczywiście prekambr. Dla dzisiejszej młodzieży, tej z Barki i Planu, to historia Polski po II wojnie światowej. Ale dla mnie to był kolorowy i pulsujący świat, który składał się z pięknych chłopców i ekstrawaganckich koleżanek, ciągłej, kolorowej bani, nieustannego tanga i setek niezbyt mądrych pomysłów; generalnie cały ten okres figuruje teraz w mojej pamięci jako zawody pływackie w wielkim basenie wypełnionym papierkami po cukierkach. Wszystko szeleściło i lśniło.

Nie byłam co prawda jakąś wyjątkową degeneratką, nie ćpałam codziennie, nie miałam ciągów alkoholowych, nie chodziłam do łóżka z pierwszym lepszym chłopakiem; ale bardzo lubiłam śmiać się tak głośno i tak długo, otoczona setką osób, aż zakręciło mi się w głowie. Pamiętam, że uwielbiałam brać extasy. Nie wiem, czy dzisiaj w ogóle ten narkotyk jeszcze istnieje.

A potem poznałam ojca Eli, który miał wtedy dwadzieścia pięć lat i właśnie skończył filmówkę. Pamiętam, że był tam najładniejszy, choć nie pamiętam, gdzie to było; musiałby mi przypomnieć. Chociaż, jeśli już musimy rozmawiać, raczej nie bierze nas na wspominki.

Pamiętam tylko, że go zobaczyłam i wiedziałam, że to musi być on, to znaczy wtedy takie rzeczy wydawały mi się bardzo często, ale podeszłam do niego i powiedziałam: „chodź".

I on poszedł.

Najpierw wszystko było wspaniale, bo przecież u każdego „wspaniale" wygląda mniej więcej tak samo.

Było jak w radiowym przeboju. Ojciec Eli uwielbiał mówić. Mówił dużo i były to piękne baśnie. Znał naprawdę dużo słów. Miał napisane erraty do wszystkiego. Czytał i oglądał, jakby go gonili. Opowiadał o tym z niespotykaną gwałtownością. Kochał kino. Im ciężej, tym lepiej. Gdy zaczynał opowiadać o *Szatańskim tangu* albo *Szeptach i krzykach*, autentycznie się trząsł. Do tego miał mnóstwo świetnych pomysłów. Wstawał w środku nocy i budził mnie po to, abyśmy poszli nad Wisłę. Więc chodziliśmy nad Wisłę. Chodziliśmy aż do świtu, a on mówił, jaki piękny świt, i opowiadał trzy godziny o filmowaniu świtu. Robił mi zdjęcia nago w liczbie pięć tysięcy dziennie. Raz pojechaliśmy stopem na Sycylię i nawet nie stało się nam nic specjalnie złego. Potem pojechaliśmy drugi raz, już jego samochodem. Umiał coś ugotować, a były to jeszcze czasy, gdy gotowały wyłącznie nasze matki, więc robiło to na mnie wrażenie.

Byłam w nim naprawdę zakochana. A może był tak głośny, było go tak dużo, że nie zostawiał mi miejsca na to, abym zobaczyła, że po prostu mnie oszołomił.

A potem wszystko zaczęło się pieprzyć, co jest o wiele ciekawsze, bo u każdego wszystko zaczyna się pieprzyć odrobinę inaczej.

Ojciec Eli był młodym reżyserem. Jak każdy młody reżyser, chciał nakręcić swój pierwszy film, jak każdy młody reżyser miał do niego fantastyczny scenariusz i jak każdy młody reżyser nie miał w ogóle własnych pieniędzy. Próbował poprawiać swój genialny scenariusz

i wysyłał go do każdego z polskich producentów, z których każdy okazywał się siwowłosym facetem we włoskiej marynarce za cztery średnie krajowe, złotym łańcuszkiem z Matką Boską i sygnetem. Wszyscy tłumaczyli mu: „Stary, nikt tego nie kupi, nikt tego nie zrozumie, wytrzyj sobie smary spod nosa i przestań chcieć być nowym Lynchem". Ojciec Eli ogromnie chciał być młodym Lynchem i niezmiernie się o to starał. W nocy, leżąc obok mnie w łóżku zaraz po seksie, mówił mi: „Pierwszą scenę widziałbym w zalanym niebieskim światłem korytarzu. Wiesz, jakaś hipnotyczna muzyka, bez rytmu, bez melodii, szum. I potem ktoś na samym końcu tego pomieszczenia wychodzi i staje pośrodku, naprzeciwko kamery, ale daleko. Nie widzimy, kto to jest, nie widzimy, skąd tak naprawdę wyszedł, czy tam są drzwi. Nie wiemy, co to za postać, dla widza na razie jest wyłącznie czarną plamą. Słyszymy jedynie, jak zaczyna wrzeszczeć".

Ojciec Eli miał również wiele różnych dotyczących nas pomysłów. Chciał mieć dom na wsi. Dużą rodzinę. Chciał mieć pasieki i hodować krowy. Chciał mieć jurtę w Toskanii i bosymi stopami deptać świeże oliwki, bo kiedyś to zrobił, jak go kolega zabrał. Chciał, abyśmy polecieli do Afryki. Chciał wiele i wiele mówił. Wszystko to było jednak niejasnym pomysłem, mrzonką na horyzoncie. Niezrealizowanym, bo ojciec Eli był i jest człowiekiem idei, którą się rzuca ludziom mającym ją grzecznie podchwycić i zrealizować. Po prostu umiał i lubił mówić. Niewiele więcej.

Na początku byłam pijana od tego mówienia. Dopiero później zaczęłam zwracać uwagę na detale. Że ojciec Eli wciąż mieszka z rodzicami. Że niespecjalnie mnie słucha, że gdy mówię cokolwiek o sobie, zaczyna patrzeć w inną stronę i szybko ruszać nogą. Że jest niezwykle miły dla kobiet, różnych kobiet, także swoich byłych kobiet, z którymi koniecznie chciał mnie poznawać. Że czasami jest dla nich milszy niż dla mnie. Że często nie odbiera telefonu, zwłaszcza gdy czegoś od niego potrzebuję. Że często jeździ na noc do swoich kolegów, z którymi wymyśla scenariusze, bo w nocy im się lepiej pracuje.

Jednak w momencie, gdy wszystkie te detale były bardzo wyraźne, w moim brzuchu była też bardzo wyraźna Ela wielkości tenisowej piłki.

Rodzice ojca Eli oddali nam mieszkanie po jego babci. Nie był to dla nich specjalny wydatek, bo ojciec ojca Eli miał jedną z najstarszych kancelarii adwokackich w Warszawie. Żeby było jasne, niczego od nich nie wymagałam. Nie wymagałam nic od nikogo, więc nie prosiłam ich o więcej. Po prostu w tym mieszkaniu zaczęłam rozumieć, że zamknęłam się sama w klatce z obcym mężczyzną, na którego niespecjalnie mogę liczyć i który nie ma mi zanadto nic do powiedzenia.

Mieszkanie było martwe i pełne przedmiotów po obcej, martwej kobiecie. Zabroniono nam czegokolwiek wyrzucać, więc egzystowaliśmy w poczekalni wśród obcych książek, zapchlonych ubrań, mebli ze sklejki. W szafie wisiały ciężkie, zawilgłe palta i futra babci. Bałam się czegokolwiek dotykać. Matka ojca Eli nienawidziła mnie i uważała za Rumunkę, narkomankę, satanistkę i nosicielkę wirusa HIV. Mimo tej nienawiści potrafiła przyjść do naszego mieszkania jak do swojego (w końcu było to mieszkanie jej matki) i mówić mi przez godzinę, że moje dziecko będzie zatrute, bo ja jestem zatruta. Miała rację, byłam zatruta, milion razy puchłam w jej krochmalonej pościeli, nie trzymałam gówna i cały czas leciała ze mnie krew. Ojciec Eli szlifował po nocach scenariusz o wrzeszczeniu w niebieskim korytarzu. Albo po prostu wyjeżdżał ze znajomymi do Dębek. Jak twierdził, na dokumentacje.

Jego matka przychodziła codziennie. Bez przerwy robiła pranie i odkażała dom, chociaż żeby go odkazić, należałoby wyrzucić z niego wszystkie stare, zapchlone, straszne rzeczy.

Nie urodziłam Eli po ludzku. Ela przyszła na świat bez znieczulenia zewnątrzoponowego i bez swojego ojca przy boku. Gdy wrzeszczałam, że mam skurcze, położna, nie patrząc na mnie, wyrzucała w nieokreślonym kierunku różne pokrzepiające wyrazy i zdania w rodzaju „weźmie i się uspokoi". Moja bezkonkurencyjna córka miała osiem apgarów, była kilkukrotnie owinięta pępowiną i sina i dali mi ją na ręce dopiero następnego dnia. Po porodzie matka ojca Eli wciąż przychodziła do naszego mieszkania. Wchodziła bez pukania, potem łaziła w kółko, otwierała okna, przestawiała przedmioty z miejsca na miejsce. Nie

odzywała się do mnie. Czasami brała wnuczkę na ręce i wykonywała typowe, durne rzeczy, które babcia robi niemowlakowi, całe to „pucipucipuci" albo mówienie: „Ale ja jestem śliczna, jaka ładna, kto jest taki śliczny?". Brzmiało to jak cyklinowanie parkietu.

Ojciec Eli był w tym czasie załamany, ponieważ jego ojciec nie chciał mu dać pieniędzy na film. Powiedział, że dał mu już przecież mieszkanie, jego kariera nowego Lyncha może poczekać, a tak w ogóle to niech przestanie się wygłupiać. Ojciec ojca Eli i matka ojca Eli tak naprawdę nie mogli przyjąć do wiadomości, że ich syn ma dziecko z jakąś kobietą i nie zawarł z nią ślubu. Nie wiedzieli, jak przekazać to swojej rodzinie i znajomym. Ojciec ojca Eli powiedział po jakimś czasie do ojca Eli, że musi wziąć ze mną ślub, bo po pierwsze, jak to wygląda, a po drugie, jeśli chce dostać jeszcze na cokolwiek jakiekolwiek pieniądze.

Ja jeszcze nie wrzeszczałam. Ojciec Eli opowiadał mi, że kiedyś będziemy mieli dużo pieniędzy, będziemy bardzo szczęśliwi, a jego rodzice będą martwi. Mówił o tym albo o pierwszej scenie swojego filmu co tydzień innej, a ja nie mogłam zasnąć ani na godzinę.

Byłam coraz bardziej wyłączona. Z dnia na dzień. Wszystko robiłam na autopilocie. Na autopilocie wstawałam, karmiłam dziecko, nosiłam je non stop na rękach, delikatnie nim potrząsając, bo nieruchome wrzeszczało, na autopilocie kładłam się spać, na autopilocie słuchałam o wrzeszczących niebieskich korytarzach, na autopilocie otworzyłam kopertę, w której była decyzja o wykreśleniu z listy studentów, bo wtedy wykreślało się jeszcze ludzi z listy studentów. Na autopilocie zostaliśmy małżeństwem w Urzędzie Stanu Cywilnego Dzielnicy Ursus jakoś na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Nie pamiętam zbyt wiele z wesela oprócz faktu, że nie zaprosiłam nawet swojej najlepszej przyjaciółki i że pijany stryj ojca Eli szczypał mnie w tyłek, gdy tańczyłam z nim do jakiejś skocznej piosenki o lecie, majtkach i jagodach. I pamiętam także, że moja mama weszła za mną do łazienki, wyczyściła mi twarz z zacieków tuszu i powiedziała: „Nadal można się z tego jakoś wyplątać, córuś". Jeszcze nie wrzeszczałam. Kiedyś, przed weselem, dawno temu,

moja mama mówiła mi: „Obyś nigdy nie wrzeszczała. Wrzeszczą albo ludzie z natury źli, albo doprowadzeni do ostateczności". Jak się okazało, trzeba było o wiele, wiele więcej, abym zaczęła wrzeszczeć.

Ojciec Eli powiedział, że wspaniale byłoby, gdybyśmy do kompletu mieli chłopaka, który nazywałby się Stanisław. „Stanisław, pięknie" – przytaknęłam, wpatrując się w kilkupiętrowy, różowy tort. „Stanisław to przecież mój ojciec" – oświadczył ojciec Eli. „Rzeczywiście" – odparłam.

Rok po urodzeniu Eli uciekłam pierwszy raz. Wszystko niby stawało się lepsze i weselsze. Ojciec Eli został asystentem reżysera telenoweli *Warszawiacy*. Strasznie mu się spodobało i szybko zapomniał o niebieskim świetle, szumie bez rytmu i czarnej, wrzeszczącej postaci. Serial *Warszawiacy* opowiadał o perypetiach trzech młodych par, które właśnie wprowadzają się do swoich nowych, kolorowych i własnościowych mieszkań na pierwszym z nowo wybudowanych, lepszych osiedli. Kolorowi ludzie w kolorowym serialu mieli okraszone wesołą, pierdzącą muzyczką problemy typu brak miejsca do parkowania, korki, smog w centrum albo niespodziewany najazd rodziców.

Ojciec Eli zarabiał całkiem nieźle, kupił samochód z fotelikiem dla dziecka i zadeklarował, że wynajmiemy jakieś lepsze mieszkanie, a to, w którym mieszkamy teraz, wynajmiemy. Rozmawiał ze mną niewiele. Czasami brał swoją córkę na ręce i próbował nie być przestraszony i zakłopotany.

Matka Eli bez słowa przyniosła kolorowe, różowe zasłony i przyczepiła je do okna w mniejszym pokoju, który sama uznała za dziecięcy.

Spałam po dwie godziny dziennie, resztę doby spędzając w trybie stępiałego czuwania jak monitor, na którym bezustannie fruwa wygaszacz ekranu. Nie miałam żadnych przyjaciół, moi przyjaciele zostali na tamtej, niezidentyfikowanej imprezie, na której poznałam ojca mojego dziecka, i nikt jeszcze nie zorientował się, że wyszłam z klubu. Może nie chciałam ich mieć. Nie miałam tak naprawdę nikomu nic do powiedzenia. Karmiłam dziecko, nie rozmawiałam z teściową i nie zmieniałam kanałów

w telewizorze. Ojciec Eli kręcił serial i reklamy leków. Pomalowaliśmy mieszkanie. Rzeczy po zmarłej babci ostatecznie gdzieś wywieziono.

W końcu wyprowadziliśmy się stamtąd do trzypokojowego mieszkania na Ochocie. Było jasne i białe. Rano budziłam się w przekonaniu, że jestem w tym poprzednim. Nic się nie zmieniło. W świeżo kupionych szafach czułam zapach zawilgłych futer.

Pewnego dnia ojciec Eli wyszedł z samego rana kręcić świąteczny odcinek *Warszawiaków*. Przed wyjściem opowiadał mi, że Adrian się zastanawia, czy kupić Basi na Gwiazdkę peugeota, czy renaulta. Praktycznie nie rozmawialiśmy o niczym innym. Nie miałam potrzeby rozmawiać. Mówiąc szczerze, nie mogłam. Zgubiłam gdzieś wiedzę, kim on tak naprawdę jest. Zapomniałam, jak przyczepić imię i nazwisko do twarzy, postury, kroku i głosu. Każdego dnia, gdy wstawał z łóżka i dreptał w gaciach umyć zęby, widziałam zupełnie inną osobę. On, jego matka, większość ludzi – wszyscy stracili kontur, zmienili się w plamy bez obrysowania. Właśnie tak zaczęło się moje życie osoby chorej psychicznie.

Wiedziałam tylko, że moja córka jest moją córką i że nazywa się Ela, a ja nazywam się Agnieszka i że kocham moją córkę. Puszczałam sobie to zdanie w głowie na okrągło: „Wiem, że kocham moją córkę, kocham moją córkę, kocham moją córkę, kocham moją córkę, kocham moją córkę". Gdy on mówił o świąteczno-samochodowych, wesołych i przyciągających uwagę widza perypetiach serialu *Warszawiacy*, ja patrzyłam na różowe zasłony.

Rano wzięłam roczną Elę na ręce i pojechałam do mojej mamy. Wtedy uciekłam po raz pierwszy.

Uciekłam spokojnie. Do lodówki przykleiłam kartkę. Skłamałam, że chcę wrócić za jakiś czas. Jeszcze wszystko było w porządku. Jeszcze nie wrzeszczałam.

*

Korytarz jest aortą Instytutu. Wypełniają go: kupiona w IKEA biała lampa z kloszem z tworzywa sztucznego, na którym kiedyś pijana i upalona Iga namalowała komiks o dwóch filozofujących królikach; dwa odrapane, przyniesione ze śmietnika fotele z dwudziestolecia międzywojennego; obita zielonym skajem stara kanapa z Brzydkiego Kota; do tego popielniczki, kartony pełne nieczytanych gazet, porysowanych płyt, spranych ubrań, pudła trzeszczące od nieużywanych rzeczy, które nie zmieściły się do schowka zaimprowizowanego w ubikacji.

Instytut dzieli się na cztery duże pokoje – od korytarza dwa po lewej i dwa po prawej – każdy ma te same brązowe, ciężkie drzwi z prześwitami z grubego, rżniętego szkła. W tym momencie korytarz wypełniamy również my, obgryzający paznokcie, dzielący się papierosami, wygryzający dziury w rękawach ubrań, czekający. Jest poniedziałek, dziesiąta rano. Ostatnie godziny spędziliśmy, krzycząc i nawołując przez okno, lecz Aleje Trzech Wieszczów albo są tak zatkane falą samochodów i poutykanych w niej trąbiących autobusów i ciężarówek, że nikt nie usłyszy ludzi wołających z piątego piętra, albo nie ma kto ich usłyszeć, bo jest noc, ulice są zimne i puste. Z drugiej strony okna wychodzą na podwórko, na którym nigdy nikogo nie ma, poza mieszkańcami idącymi wyrzucić śmieci, nie ma nawet studentów, którzy próbują bezpiecznie upić się w bramie, ponieważ wejście do kamienicy jest ciągle zamknięte.

Za dwoma pokojami z lewej korytarz zakręca w kierunku jasnej kuchni z lodówką, kuchenką gazową, stołem i firmowym kalendarzem z firmy ubezpieczeniowej. Na kalendarzu widać ofiary wypadków, inny karambol na każdy miesiąc roku. Nad kuchenką wiszą szafki wyklejone wycinkami z działów kulinarnych kolorowych magazynów. Patrzymy na nie, żując ryż i parówki. Pannacota z karmelizowanymi gruszkami, węgorz zapiekany w sosie karmelowo-cytrynowym, tarta z krewetkami black tiger, tajska zupa z marynowanym imbirem. Jestem pewna, że jeśli kiedyś pójdę do restauracji i zamówię tajską zupę, wbiję kelnerce widelec w tętnicę, jeśli w środku będzie chociaż jedno ziarno ryżu.

Na wprost korytarza, z drzwiami wejściowymi z tyłu, znajdują się wejścia do ubikacji i łazienki. Nieużywana ubikacja jest wielkości małej szafy, dziewięćdziesiąt procent jej powierzchni zajmuje sedes, reszty miejsca wystarcza na papier toaletowy i gazetę. Nie korzystamy z niej, ponieważ jest zawalona piętrzącą się do sufitu stertą starych butów, ubrań, kartonów. Robi za składzik chociażby dlatego, że nie wystarczyło mi już pieniędzy na jej wyremontowanie. Starczyło za to na remont łazienki – jest wyposażona w nowe, granatowe kafelki, lśniąco białą wannę, baterię z imitacji marmuru, chromowane wieszaki na ręczniki. Niemniej teraz na nowych, granatowych kafelkach wyrasta śliska, twarda warstwa włosów, kurzu i starego naskórka, od rana z każdego kranu leci tylko zimna woda. Napełnienie wanny zimną wodą trwa czterdzieści minut. W mistrzostwach świata w porządkach i domowych naprawach nie mielibyśmy najmniejszych szans.

Co pół godziny zaczynamy z powrotem nasz rytuał walenia nogami w podłogę, włączania w każdym pokoju jak najgłośniej muzyki. Mniej więcej od siódmej rano próbujemy krzyczeć do przechodniów, ale ci nawet nie patrzą w górę. Żadne z naszych działań nie wywołuje reakcji, więc dalej czekamy, aż tu przyjdą, dalej siedzimy lub chodzimy w kółko, mówiąc coraz mniej, oszczędzając gardło na kolejne porcje wrzasków. Najwięcej dźwięków wydają Czarny i Biały, miaucząc, prosząc o żarcie, które już się skończyło. W przerwach pomiędzy miauczeniem jednak cały czas nasłuchują, tak samo jak my, gotowe do ataku, jakby wiedziały, że coś nie jest w porządku. Biały leży na kaloryferze, Czarny siedzi na liczniku gazu. Dwa tłuste, wykastrowane, dostojne kocury, o możliwościach nasłuchowych wojskowego radaru. Dajemy im to, co sami jemy, ale oba kapryszą. Wąchają rozgotowany ryż i kręcąc ogonami, odchodzą od misek, i pomiaukując, z powrotem zajmują swoje pozycje.

Na wszelki wypadek zgromadziliśmy wszystkie ostre narzędzia w jednym miejscu. Śrubokręty, noże do krojenia chleba, nożyczki.

– Stara, ale ci ludzie w ogóle nie wiedzą, co robią, przecież gdy w końcu nas stąd wypuszczą, od razu idziesz na policję i wszystko zgłaszasz – mówi

chyba piąty raz Iga, zakreślając wokół siebie dziesiątki okręgów żarem z papierosa.

Słucham jej, kiwając głową. Ma rację, jednak moją uwagę w tym momencie znacznie bardziej angażują ściany mojego mieszkania, pomalowane przez nas wspólnie na tęczowy pomarańczowy, krwisty czerwony i fluorescencyjny zielony, upstrzone pocztówkami z berlińskich knajp, zerwanymi na ulicy plakatami reklamującymi festyny, zgrupowania grup religijnych i imprezy z Kota w rodzaju *Plażowe party*, *Amerykański surf rock z lat osiemdziesiątych*, *Panie w bikini pierwszy drink free* albo *Alojzy Krzemień*, *Wydłubywanie nieznanego*, instalacja wideo, wernisaż. Pamiętam uczucie, które rosło we mnie podczas malowania ścian, przedtem zapleśniałych, burych i ciężkich, pokrytych plackami starego brudu. Uczucie zdejmowania czaru, wyciągania kolorów prawdziwego domu spod rzuconego na to miejsce uroku. Przez dwa tygodnie malowałam, cyklinowałam parkiet, wychodziłam na zakupy i wracałam do domu z siatkami pełnymi odświeżaczy powietrza i świec z IKEA o aromacie żurawinowego ciasta, aby zabić ten wszechobecny bukiet zapachów starego mieszkania, zawierający w sobie kwitnącą grzybnię, zżółkłe koszule, walerianę, denaturat.

– Mam nadzieję, że dostaną za to z dziesięć lat – mówi Iga.

– Z jakiego paragrafu? – pyta Rumun, z trudem podnosząc wzrok.

– Z tysiąca? Próba nielegalnego przywłaszczenia nieruchomości, porwanie, groźba, szantaż, przemoc psychiczna?

– Po chuj policja? Poradzimy sobie sami. – Sebastian stoi w korytarzu, cały czas w tych samych dresach firmy Banda, i myje zęby z ustami pełnymi piany i pasty.

Iga pyta mnie, czy chcę coś zjeść. Kiwam głową, chociaż do jedzenia mamy tylko ryż, parówki i bieżącą wodę z rdzą i chlorem, worek herbaty z dyskontu mieszczący w sobie czterysta torebek, z których można zrobić sto pięćdziesiąt w miarę mocnych herbat, i reklamówkę kwitnących ziemniaków. Tych kilka opakowań ryżu pozostało z zapasu sprzed paru miesięcy – Iga przytargała go kiedyś do domu po akcji „Jedzenie zamiast

bomb". Zapas parówek w wielkim kartonie przyniósł któregoś dnia Sebastian, obwieszczając w progu, że dostał to w prezencie. Gdy próbowaliśmy go naciskać, kto z jego znajomych rozdaje tak oryginalne prezenty, powiedział coś o zadłużonej hurtowni wędliniarskiej. Oprócz bycia bramkarzem w knajpach Sebastian od czasu do czasu dorabiał w windykacji.

Iga mieszka w jednym pokoju razem z Weroniką. W drugim po prawej. To największy pokój w Instytucie, podzielony na dwie odrębne galaktyki niby-salon z łóżkiem i bezładnym stosem książek, płyt i skserowanych plakatów po stronie Igi, z perfekcyjnie posłanym materacem, stolikiem z telewizorem, japońskimi obrazkami i przyczepionymi do ściany amuletami po stronie Weroniki.

Iga jest z nas najmłodsza. Ma dwadzieścia pięć lat, jest niska, mocno przy kości, ma krótko ostrzyżone, ufarbowane na platynowy blond włosy z dłuższą, zawsze natapirowaną grzywką. Jej twarz moja mama określiłaby mianem pogodnej i lekko pyzatej, gdyby nie wkłute w nią kilkanaście kolczyków i wkrętów. Iga zawsze jest okutana paskami, kieszeniami, skrytkami, jej pokryte naszywkami i przypinkami kurtki mają dziewięćdziesiąt kieszeni, tak samo jej spodnie i spódnice, wyłącznie czarne. Do tych czarnych i wielozadaniowych ubrań lewicowego terrorysty wkłada zawsze kolorowe, wrzeszcząco różowe rajstopy.

Dla Igi „Oni", na których czekamy, „Oni", którzy włamują się do naszego mieszkania i wykradają nam rachunki ze skrzynki pocztowej, „Oni", którzy do nas dzwonią, sapiąc przez słuchawkę albo powtarzając jedno słowo – niemieckie *raus!* – „Oni" są jak Sebastian, łysi i na szczycie cyklu, ociekający testosteronem, używający słów „pedał", „lesba", „pojeb", „żyd". Tak jak Sebastian to duży chłopak, Iga to niska, ale krępa i silna dziewczyna z czarnymi dredami, kolczykami w twarzy, głosem stworzonym do tego, aby wywrzaskiwać przez megafon komendy do ataku. Jest doktorantką na kulturoznawstwie, a punkówą jest od dwunastego roku życia. Ma sztywny, moralny kręgosłup i proste dogmaty. Te dogmaty to lojalność i przyjaźń, wierność i uczciwość, jeden za

wszystkich, wszyscy za jednego. Iga nie umie skłamać, nie umie powiedzieć „nie, nie dostaniesz jeść", „nie przenocuję cię", „nie pożyczę ci pieniędzy". Ma serce Matki Teresy i gdy trzeba, pięści chłopaka z Nowej Huty. Jest ode mnie dziesięć lat młodsza, ale nie przepadam za nią, ponieważ to z pokoju Igi, a nie Sebastiana, dudni czasami na całe mieszkanie polski hip-hop o jebaniu policji i ciężkim życiu za kratami, od którego dostaję zapalenia uszu.

Wracając do jedzenia – to nie jest jakiś szczególny dramat i wiem, że ludzie wielokrotnie znajdowali się w gorszym położeniu, ale w lodówce nie mamy żadnego sera, żadnej wędliny, mrożonej ryby, sosów w słoikach, mleka, chleba, żadnego normalnego jedzenia, bo nikt z nas nigdy nie pamięta, aby zrobić zakupy, zwłaszcza że nikt nie brał pod uwagę, że niedługo zostanie uwięziony w mieszkaniu.

Jacek, czyli Rumun, mieszka w pierwszym pokoju po lewej. Teraz siedzi obok na kanapie, starając się mnie nie dotknąć, patrząc na mój pokój wzrokiem kogoś, kto może być głęboko zamyślony, ale równie dobrze nie musi wcale myśleć o niczym.

Rumun jest wysoki, chorobliwe chudy, zarośnięty, ma szeroko otwarte oczy nadające jego twarzy wyraz zaskoczenia, właściwy człowiekowi, którego właśnie dopadły pierwsze w życiu halucynacje. Ma dwadzieścia dziewięć lat, ale jego zarośnięta i zniszczona twarz sprawia, że trudno odgadnąć jego metrykę, tak jak trudno zgadnąć prawdziwy wiek bezdomnego albo narkomana. Jego lewą rękę oplata dziwny, wężowaty, i widocznie niedokończony tatuaż. Pracuje w jakiejś niewidzialnej firmie, która formalnie zajmuje się doradztwem ubezpieczeniowym i inwestycyjnym, a tak naprawdę rozlewa pieniądze swoich klientów po giełdzie, podwaja je, kupując ropę, złoto, akcje. Zawsze ma pieniądze. Kiedyś, po wypiciu jakiejś koszmarnej ilości wódki, wyznał, że ma ich już cholernie dużo, ale woli wynajmować mały pokój bez żadnego umeblowania, z wyjątkiem materaca, laptopa, kilku gazet i kartonu na ubrania.

– Tak jest wygodniej, Agnieszka – powiedział wtedy – bo to wszystko jest balastem. A ja chciałbym się przemieszczać bez najmniejszych obciążeń. Lekko. Zresztą mnie nie interesują pieniądze. Mnie interesuje proces ich zarabiania.

– Co jest w nim interesującego? – zapytałam.

– Bo to dziecinnie łatwe. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy pieprzą, że to niemożliwe – odparł.

Rumun dostał się na Sorbonę. Po roku go wyrzucono, bo więcej czasu spędzał z menelami na przedmieściach Paryża. Gdy wrócił do Polski, skończył SGH z wyróżnieniem. W trzy lata.

Jacek stał się Rumunem, bo tak ochrzcił go Sebastian ze względu na wiecznie pogniecione spodnie i koszulki, nawyk chodzenia boso i długą brodę, w której obecnie kiełkują już strąki. Rumuna znam najlepiej ze wszystkich. W sumie chciałabym znać go trochę słabiej. Wtedy przynajmniej patrzyłby mi w oczy, zapytany o coś nie starał się odruchowo wyjść z pokoju, nie odsuwał się ode mnie, siedząc ze mną na jednej kanapie. Ale na razie to nie jest istotne.

Istotne jest to, co teraz. Zwykłe wytłumaczenia, które budowaliśmy przez cały poranek, przestają działać. Całe popołudnie próbowaliśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, kim „Oni" są, czego chcą. Bez skutku. W rezultacie przestaliśmy sobie przerywać, mówić, że nasze teorie są bez sensu, nielogiczne. W tym działaniu nie ma przecież najmniejszego śladu logiki.

– Przecież nie oddasz im tego mieszkania. – Iga w kółko tupie nogą, w kółko również pali papierosy. – To jakaś bzdura. „Oni" robią coś, za co pójdą do więzienia na ładnych parę lat. Kiedyś próbowali zastraszyć nas w podobny sposób na squacie. Ryglowali drzwi, wrzucali butelki z benzyną przez okna. Gdy dorwała ich policja, każdy dostał pół roku aresztu. A to nie jest żaden squat. To jest twoje mieszkanie.

Rumun tylko kręci głową. Według niego nic nie uda się zrobić. Nikt nie pójdzie do więzienia, bo „Oni" mogą wszystko. Dla Rumuna „Oni" to finansowa masoneria. Posiadacze kapitału, główni akcjonariusze,

właściciele pakietów kontrolnych. Kryjące się w mroku synody anonimowych miliarderów. Ludzie, których pieniądze przelewa z konta na konto, jakby wyjmował dłońmi powietrze z jednego kartonu i wkładał do drugiego. Rumun mówi, że przecież w Polsce wcale nie skończyła się komuna. Kapitał pozostał w tych samych rękach. To zawsze były ręce prywatne. Kiedyś te pieniądze leżały na szwajcarskich kontach. Potem kupiono za nie fabryki kabli, założono firmy importujące sprzęt komputerowy i banki. Ale Rumun twierdzi, że to ci sami ludzie. To „Oni". Opowiada o tym bez żadnego niezdrowego podniecenia, które zwykle towarzyszy wygłaszaniu tego typu teorii. Mówi cicho, lekko tylko rozchylając usta, powoli zaciągając się papierosem, wzruszając ramionami.

W drugim pokoju po lewej mieszka Sebastian.

Sebastian jest łysą klocowatą masą, jego imię jest w tym przypadku jak dowcip. Waży sto dwadzieścia kilo. Ma metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Trzydzieści dwa lata. Jego głowa i barki są pokryte drobnymi bliznami; jedna z nich, szczególnie wielka, po wypadku motocyklowym, jak sam mówi, biegnie mu od ucha przez łuk brwiowy aż do połowy czoła. Jego twarz jest grubo ciosana, jej pierwszy zauważalny element to równa, wielka krecha brwi, jednak spod niej wyzierają zaskakująco wiele mówiące, głębokie, brązowe oczy, po których widać każde wahanie jego nastroju. Gdy wpada we wściekłość, trzymaną na wodzy ostatnimi resztkami wychowania i świadomości, te oczy robią się przerażające. Sebastian jest czynnym kibicem Cracovii. Czasami pokazuje nam swoje zdjęcia z twarzą zakrytą kominiarką, w dopasowanych dżinsach i kurtce Fred Perry. Wierzę mu na słowo, bo pozostałych pięćdziesięciu mężczyzn na tych zdjęciach również ma kominiarki i kurtki Fred Perry. Jednak gdy dotyka palcem monitora, pokazując rzekomego siebie spychającego plastikowy kontener na śmieci w kierunku pięciu policjantów, oczy błyszczą mu mokro, śmieje się tak, że nie mogę mu zwyczajnie nie uwierzyć.

Sebastian jest ochroniarzem w knajpie Brzydki Kot, gdzie pracuję razem z Igą. Do tego zajmuje się wyczynowym wyciskaniem stukilowych sztang po dwie, trzy godziny dziennie oraz ustalaniem diet dla

kulturystów na forum strony www.dopakujsie.pl. Jego pokój jest schludny schludnością pomieszkującego u babci wnuczka. Pastelowe ściany. Zdjęcia z dziewczyną w ramkach na półce. Pluszaki, kwiaty w doniczkach, proporczyki Cracovii, plakat w antyramie z jakimś zawodnikiem MMA wyglądającym jak natłuszczony, żylasty worek mięsa z doczepioną głową. Przy łóżku hantle i wielkie pudełka białka w proszku.

Dla Sebastiana „Oni" to policja. Albo kibice Wisły. Albo zjednoczone siły jednych i drugich. Czasami mówi to na głos, dodając potem, że to żart, a następnie wraca do poprzedniej teorii, wykrzykując, że cała ta sytuacja jest wymierzona przeciwko niemu. Odgraża się, że gdy trzeba będzie, on ich pozabija, rozdepcze, porozrywa im gardła.

Sebastian jest najspokojniejszy z nas oprócz krótkich momentów, w których rezonuje mu każdy mięsień, każde pojedyncze więzadło; w tych chwilach przyciska sobie do oczu pięści jak lornetkę i połyka wielkie hausty powietrza. Próbując się opanować, zaczyna mówić szybko, połykając sylaby.

– Nic im nie będziesz oddawać. Będziemy tu siedzieć, aż przyjdą, a gdy przyjdą, dostaną wpierdol. Niech tylko tu wejdą, a będę ich zrzucał ze schodów jednego po drugim.

W końcu się uspokaja, chociaż sprawia wrażenie, jakby ten spokój wgniótł sobie pięściami w głowę; rozciąga się i staje nad nami, trzymając ręce w kieszeniach.

– Moja torebka – mówi głos, którego przez chwilę nie poznaję; odwracam się w jego kierunku i widzę Anię, dziewczynę Roberta. Kuca pod ścianą, pali papierosa w szybki i płytki sposób. Niestrzepywany popiół spada na jej buty. Robert stoi w drzwiach i patrzy na nią równie nieprzytomnie jak Rumun. Widzę po nim, że nie przespał ani sekundy.

Anka i Robert, znajomi Weroniki, którzy przyszli na kawę akurat wtedy, gdy nas tutaj zamknięto. Jedno z nich pracuje, a drugie studiuje. Może oboje i pracują, i studiują. Nie pamiętam, wiem tylko, że coś związanego z językiem hiszpańskim, bo gdy Ania była tu ostatnim razem, opowiadała głównie o Hiszpanii, Baskach, flamenco i pieśniach sefardyjskich. Prawdę

mówiąc, nie znam ich – przyszli tutaj trzeci lub czwarty raz w życiu. Anka cała drży, jakby w jej żołądku był mały, rozregulowany silnik, bębni palcami o kolano, tupie nogą o parkiet. Robert nie zwraca na nią uwagi, siedzi i bez przerwy obraca w palcach blaszaną podstawkę pod świeczkę, która przybrała już kształt aluminiowego gluta. Stara się być obecny, być tu i teraz, ale coś, najprawdopodobniej strach, mrozi mu mięśnie, sprawia, że się kuli i kurczy.

Anka wybucha nagłym kaszlem. Gdy się uspokaja, przepraszającym gestem pokazuje mi papierosa.

– Czemu palisz? – pyta Robert.

– To pierwszy – odpowiada Anka.

– Pierwszy od kiedy? – pytam, zapalając następnego.

– Pierwszy w życiu – wyjaśnia, znowu się krztusząc.

Robert siada na podłodze. Oboje siedzą teraz po przeciwległych stronach pokoju w tej samej pozycji. Patrzy na nią, jakby bardzo chciał jej coś powiedzieć, tylko nie wiedział, co powinien.

– Jaka torebka? – pyta Iga, wychodząc z kuchni, i trzymając w ręku dwa talerze, jeden z ryżem i parówkami, drugi z samym ryżem.

– Kiedy tu jechaliśmy, ktoś ukradł mi torebkę w tramwaju. – Anka cały czas krztusi się papierosem, próbuje zaciągać się jak najpłycej, ale nie daje to żadnego rezultatu. – Miałam w niej wszystko, dokumenty, telefon, wszystko. Ktoś, nie wiem kto, przeciął nożem pasek od torebki. Nawet tego nie zauważyłam.

– Miałaś w niej telefon – powtarzam.

Właśnie. Wszyscy zapomnieli zapytać się tych dwojga, czy mają telefony.

– A ty masz swój? – pytam Roberta, lecz on kręci głową.

– Zostawiłem w taksówce parę dni temu – mówi.

– Tak, telefon, dokumenty, wszystko, wszystko – potwierdza Anka; jej głos coraz bardziej się łamie, słowa pękają na pół z wyrazu na wyraz.

Robert wstaje, podchodzi do niej i wyciąga jej papierosa z palców, i gasi go w popielniczce.

– Nie panikuj, Ania. Uspokój się. Nie pal.

Anka zaczyna bezgłośnie płakać. Podnoszę się, biorę ją za rękę i prowadzę do łazienki.

– Chodź, poprawię ci, bo się rozmazało – mówię i wsadzam obie dłonie do pudła pełnego kosmetyków, jakbym miała jej wywróżyć z nich przyszłość. Czuję pod dłonią stary test ciążowy. Kosmetyki są wybrakowane, zużyte – resztki podkładu na dnie, grudy starego pudru, połamane kredki. Biorę płyn do demakijażu i waciki, powoli ścieram z twarzy Anki zaschłą sól z tuszem. Staram się uśmiechać.

Oprócz ryżu, herbaty i parówek mamy też papierosy, dał je nam Papa, dwa kartony, z których teraz zostało już niecałe półtora. Bez nich byłoby znacznie gorzej.

Chcę, żeby ta dziewczyna się uspokoiła, uśmiecham się do niej, ale to nie pomaga. Być może nie umiem udawać szczerego uśmiechu. Opieram się jedną dłonią o jej kolano i delikatnymi i krótkimi pociągnięciami zaczynam malować jej rzęsy, mówiąc, żeby patrzyła do góry, ale ona cały czas mruga i nieprzytomnie wpatruje się w moje oczy – zupełnie, jakbym robiła makijaż pijanemu chłopakowi.

– Ania – mówię – Ania, to się niedługo skończy.

– Pytanie jak – odpowiada na bezdechu.

– Na pewno skończy się dobrze – dodaję i wycieram nową partię łez z tuszem. To syzyfowa praca.

– A jeśli nam coś rzeczywiście zrobią? – pyta.

– Nic nam nie zrobią. Ktoś w końcu przyjdzie i nas uwolni. Przyjedzie pogotowie ślusarskie i przetnie bramkę – mówię.

Słychać uderzenie w ścianę i głośne klaśnięcie ciała o metalowe barierki. Rzucam tusz na podłogę i wybiegam na korytarz. Wszyscy zerwali się ułamek sekundy wcześniej i stoją w drzwiach; rozpycham ich i po drugiej stronie kraty widzę jakiegoś chłopaka. Nie może się ruszyć – Sebastian trzyma go za kurtkę wysuniętymi przez pręty dłońmi i z całej siły przyciska do kraty. Dzieciak na oko ma mniej więcej osiemnaście lat, spidową niedowagę i wyraźnie dygocze.

– Powiedz swoim kumplom, że ich zabiję. Że ich zrzucę ze schodów. Powiedz im to, kurwa, i dlatego nie masz teraz noża w brzuchu, bo masz im to, kurwa, powiedzieć – mówi Sebastian.

– Kto to? Sebastian! – krzyczę, ale zaraz widzę odpowiedź. Za chłopakiem, na schodach, leży rzucony termos z logo pizzerii, ochlapany sosem czosnkowym z pękniętego kubka. To samo logo jest na jego ortalionowej wiatrówce.

– Jak tu wszedłeś? – pytam go.

Nie może mówić. Sebastian przyciska go do kraty tak mocno, jakby chciał przeciągnąć go na drugą stronę. Pręty wrzynają mu się głęboko w twarz, że wygląda jak rozpłaszczony. Klepię Sebastiana w ramię. Ten łapie chłopaka jedną ręką, drugą chwyta go za podbródek, odchylając mu głowę do tyłu.

– Normalnie, schodami. Winda nie działała. Nie chciała zjechać. Remontują ją. Widziałem po drodze.

– Kto remontuje windę? – Przybliżam się do niego tak, jakbym miała zacząć się z nim całować. Czuję jego papierosy, gumę do żucia, dezodorant z Carrefoura i nasycony przerażeniem pot.

– Kurwa, ludzie od naprawiania wind! – wrzeszczy. – Popierdoliło was do reszty? W kombinezonach i z narzędziami. Mówią, że winda będzie nieczynna do jutra.

Przeciągam się i wyrzucam w górę ręce. Zdaję sobie sprawę, że większość dnia spędziłam, siedząc w fotelu i odpalając jednego od drugiego, w tej samej pozycji – pozycji kogoś gotowego do natychmiastowego zerwania się z miejsca i ataku. Jestem jednym wielkim skurczem.

– Powiedz swoim kolegom, że są martwi, kurwa, będzie po was jeżdżone samochodami, wasze matki pojadą w las w bagażnikach, będziecie stali, kurwy, z łopatami, powiedz im to wszystko – warczy jak wściekłe zwierzę Sebastian.

Tym razem kładę rękę na tej obłej, wielkiej i łysej głowie, jakbym sprawdzała, czy ma gorączkę.

– Puść go – mówię.

– Chyba cię popierdoliło, żebym go puścił.

– To tylko gość od pizzy.

– Na pewno.

– Puść, Sebastian.

Sebastian znowu dyszy i znowu pulsuje jak przegrzane urządzenie, ale w końcu robi to, o co go proszę.

– Nikt tutaj nie zamawiał pizzy – próbuję wytłumaczyć to chłopakowi, ale ten gwałtownie szuka czegoś po kieszeniach. W końcu wyciąga kwit z zamówieniem i zaczyna czytać na głos:

– Mickiewicza dwadzieścia przez dwanaście. Cztery duże pepperoni. Ktoś zamawiał tutaj pizzę. Powiedział, że kręcicie tutaj film, horror, ale widzę, że tu jest jeszcze gorsza faza, ja pierdolę – chłopak chce powiedzieć jak najwięcej i jak najszybciej.

– Tak, to tutaj – odpowiadam mu spokojnie, jakbym tłumaczyła coś upośledzonemu dziecku. – Ale nikt nie zamawiał tu pizzy. Nie mieliśmy jak po nią zadzwonić. Nie działają nam telefony.

– Nie rozumiecie, tej pizzy nikt nie zamawiał przez telefon. Jakaś kobieta przyszła do pizzerii mniej więcej rano, zaraz po otwarciu, zjadła coś na miejscu i zamówiła pizzę pod ten numer, do tego mieszkania, żeby przywieźć ją o tej i o tej godzinie.

Z mieszkania wychodzą Iga i Weronika.

– Jak wyglądała? – pyta Iga.

– Kręcimy film? Kto powiedział, że kręcimy tu film? – pytam.

– Boże, jak kobieta, okej? Jakieś czterdzieści lat. Farbowane włosy. Widać, że taka bardziej zadbana. Ale nic więcej nie zapamiętałem. Nic. Okulary. Pamiętam, że miała okulary.

– Jaki film? – pytam.

– Nie wiem! – krzyczy chłopak. – Nie wiem, nie wiem, kurwa, jaki film! Nie mam pojęcia. Ja pierdolę, co tu się dzieje, ludzie, wy jesteście normalni?

Na chwilę zapada cisza.

Sebastian pluje przez kraty w kierunku pizzy.

– Mamy co jeść – mówi, odwraca się do mnie i dodaje: – Pizza. Pewnie oprócz sera, kurwa, i salami jest tam coś, od czego już nie wstaniemy, więc zabieraj ją i spierdalaj, jak chcesz, możesz zeżreć ją sam.

– Jesteście jebnięci – podsumowuje chłopak.

– Spierdalaj stąd! – wrzeszczy Sebastian i się odwraca. – Wypierdalaj, już cię nie widzę, masz tu dwie dychy, bierz te placki i wypierdalaj stąd.

– Poczekaj – mówię do chłopaka jak najspokojniej, chcąc zatrzymać go tu jeszcze przez sekundę. – Poczekaj, musisz coś dla nas zrobić, poczekaj, proszę cię.

Chłopak chowa pieniądze do kieszeni, chwyta pizze, zrywa się i jednym susem zeskakuje na półpiętro. Po chwili jednak odwraca się i podchodzi z powrotem; na jego twarzy widać odciśnięte pręty, metalowy liść z secesyjnej ozdoby rozciął mu nos, po twarzy cieknie mu strużka krwi. Wyjmuje coś z termosu, wsuwa pomiędzy kraty i upuszcza to na podłogę pod moimi nogami.

– Ta kobieta prosiła, żeby jeszcze coś przekazać pod ten adres.

Podnoszę z podłogi typową dziewczyńską, fioletowo-czerwoną torbę upstrzoną bohomazami z kolorowych nitek i cekinów.

– Zrobisz coś dla mnie? – pytam chłopaka.

– Daj mi spokój. Jebnięta jesteś – odpowiada.

– Zrobisz coś dla mnie? – pytam go jeszcze raz. – Idź na komisariat policji. Powiedz, że ktoś nas zamknął w tym mieszkaniu. Że ukradł nam telefony i odciął nas od internetu. Że próbujemy krzyczeć przez okno, ale nikt nie reaguje. Pójdziesz? I powiedz tym na dole, tym facetom, którzy remontują windę, żeby przyszli na górę. Że chcemy z nimi porozmawiać. Powiesz?

– Jesteście jebnięci.

– Ja wiem, że to tak brzmi – powtarzam, patrząc mu w oczy. – Ale bardzo cię o to proszę. Mogę dać ci pieniądze. Mogę dać ci teraz dwieście złotych.

– Jesteście jebnięci – powtarza.

– Dwieście złotych teraz i więcej, gdy wrócisz – mówię.

– Nie chcesz – odpowiada.

– Czego nie chcę? – pytam.

– Aby ci z dołu weszli tu na górę. – Chłopak rzuca mi kartony z pizzą pod nogi i bardzo szybko zbiega po schodach, tak szybko, że przez chwilę jestem pewna, że zaraz się potknie i pokoziołkuje na sam dół.

– Moja torebka. Masz moją torebkę – głos Anki za mną brzmi jak pękająca szyba.

Podchodzę do niej i podaję jej torebkę, ona chwyta ją na krótką chwilę, ale zaraz upuszcza na podłogę, po czym schyla głowę i zastyga jak odcięte od zasilania urządzenie. Iga bierze ją pod ramię i wchodzą do mieszkania.

Anka otwiera torebkę. Zaczyna w niej grzebać.

– Jest tam coś? Co tam jest? – pytam.

– Nie ma, nie ma… nie ma telefonu… tylko bezużyteczne… – powtarza cicho sama do siebie. W końcu wyciąga coś ze środka. Zgniecioną białą kartkę. Na kartce jest czerwony napis:

NIEDŁUGO SIĘ POZNAMY.

– Idź do środka, Ania – mówię. – Idź do środka.

Patrzy na mnie. Przypomina wątłe, blade zwierzątko.

– Idź do środka – powtarzam i w końcu mnie słucha.

Sebastian wraca na klatkę. Cały się trzęsie, jakby stał kilka godzin przy młocie pneumatycznym.

– Musimy stąd wyjść – zwracam się do niego, pokazując kartkę. – Jak najszybciej. A potem iść na policję.

– Jak wyjść?! – krzyczy Sebastian, wymachując łapami. – I na jaką policję, po jakiego chuja?! Trzeba tu na nich czekać! Zaraz tu będą. Będą za moment, a wtedy ich zajebiemy!

– Nie, Sebastian – mówię głośno i wyraźnie. – Nie. Nie przyjdą. Wypuszczą nas, gdy dam im do zrozumienia, że oddaję im to mieszkanie.

– Nie rozumiem – odpowiada Sebastian.

– „Oni” muszą tu przyjść, żebyśmy mogli wyjść – odpowiadam.

– Oszalałaś. – Iga wraca na klatkę z nowym papierosem. – Oszalałaś, stara, przecież to jest twoje. Mieszkamy tu z tobą i pomożemy ci bronić tego, co twoje. Błagam cię.

Patrzą na mnie z zakłopotaniem i niezrozumieniem. Muszę wciągnąć jeszcze trochę powietrza, następnie powoli je wypuścić. I tak kilka razy. Gdy kończę, zaczynam tłumaczyć dalej:

– To moje mieszkanie i decyzja należy do mnie. Dajemy im znać, aby nas wypuścili, i idziemy prosto na policję. Siedząc tutaj, nie możemy nic zrobić. Już wiemy, że to nie jest żart, a skoro to nie jest żart, to znaczy, że stać ich na wszystko. Boję się, że nas podpalą, wpuszczą tutaj gaz, cokolwiek. Boję się.

– Agnieszka, czekaj – mówi Iga – przecież niedługo zaczną nas szukać. Ktoś tu przyjdzie, spróbuje nas odwiedzić, dostać się tutaj. Jutro rano. Najpóźniej. Jestem pewna. Może powinniśmy się wszyscy uspokoić?

– Iga, proszę cię, jak często dzwonisz do swojej matki? – Kręcę głową. – Moja córka dzwoni do mnie dwa razy w tygodniu. Tyle że ma dwanaście lat. Poza tym mieszka w Warszawie. Przyjaciele? Każdy z nich jest przyzwyczajony do telefonów wyłączonych przez parę dni, do nieodbierania. Znajomi? Wszyscy ludzie, których znamy w Krakowie, potrzebują dwóch tygodni, aby wytrzeźwieć, a co dopiero, żeby zorientować się, że kogoś brakuje.

– Pracodawcy – mówi Iga. – Ktoś z mojej uczelni. Ktoś z firmy Jacka.

– Iga, przecież z uczelni albo z pracy po prostu lecisz, jeśli cię w niej nie ma. Nikogo nie obchodzi to, gdzie jesteś.

– Ludzie z Kota, Agnieszka.

– Wszyscy ludzie z Kota – to tłumaczenie wyczerpuje mnie tak, że muszę usiąść – z którymi rozmawiasz, są z tobą w tym mieszkaniu.

– Agnieszka, jesteśmy w centrum dużego miasta w Polsce. To się zaraz skończy – pociesza Iga.

– No właśnie. Jesteśmy w centrum dużego miasta w Polsce – odpowiadam.

Iga odpala jednego papierosa od drugiego.

– To nie jest tego warte – mówię.

Każdy milczy, więc podnoszę ręce do góry na znak, że powiedziałam już wszystko.

– Jak chcesz im dać znać? – pyta Iga.

– Kurwa, pierdolenie – stwierdza Sebastian; odwraca się i wchodzi do mieszkania.

Ja zostaję na zewnątrz. Na korytarzu jest dotkliwie zimno, zaledwie parę stopni dodatniej temperatury.

– Napiszę to na drzwiach – odpowiadam.

Mówię Idze, żeby przyniosła kartki i mazaki. Robi to. Dzielimy je między sobą. Każda kartka jest jedną literą. Zaczynamy pracować. Razem z Igą i Weroniką siadamy na podłodze. Rozdzielam pomiędzy nas kolejne litery, żeby przyśpieszyć pracę. Rysujemy kontury liter i pieczołowicie je wypełniamy.

Rumun patrzy na zegarek, jakby mierzył nam czas.

– Chciałbym pójść do kina. Albo do knajpy. Najebać się – wtrąca.

– O tej porze nic nie grają – przypominam mu, rysując kontur litery D.

– To chociaż się upić – mówi Rumun. W końcu schodzi z fotela, bierze inną kartkę i w moment zgadując, jak ma brzmieć napis, zaczyna rysować literę J. – Napierdolić się tak, żeby o piętnastej dalej leżeć na ławce na Plantach.

Gdy kończę wypełniać A, z mojego pokoju wychodzi Anka. Okutana w mój sweter, spokojna i cicha.

– Mam lorafen, jakby ktoś chciał – mówi beznamiętnym i ciepłym głosem lektora. Podaję jej wolny mazak i kartkę. Potrzebuje dobrych trzech sekund, aby włączyć odruch chwytny.

– Namaluj wielkie M – zwracam się do niej. Mija kolejne parę sekund, aż w końcu kuca i zaczyna powoli, metodycznie rysować linię.

– Mogę jeszcze zapalić? – pyta.

Podaję jej papierosa, zerkając na Roberta, który jednak ma już zamknięte oczy. Zbyt szybko oddycha, aby spać; chyba po prostu już nie potrafi na nic patrzeć.

Około czwartej rano napis jest gotowy. Bierzemy ostrożnie nasze kartki i wychodzimy, aby przykleić je na drzwi. Rumun, nie patrząc na nas, mówi:

– Daliśmy się wkręcić w jakiś ostatni debilizm. To wszystko będzie jutro na YouTubie.

Nie słucham ich. Idę wywiesić moje kartki według mojego planu. „Oni" wejdą, a my wyjdziemy. Gdy wyjdziemy, możemy przecież zrobić wszystko.

– Wyjdziemy – oznajmiam, przyklejając do drzwi równomiernie wypełnione, proste P. – I wrócimy – dodaję, przyklejając O. – A „Oni" wyjdą. – Przyklejam D, a potem następne drugie D.

Gdy kończymy, całe drzwi Instytutu, czyli mojego mieszkania, są oblepione kartkami. Cztery wyrazy, dwa na dziewięć liter, dwa na trzy. Łącznie dwadzieścia cztery litery na takiej samej liczbie białych kartek.

PODDAJEMY SIĘ. WYPUŚĆCIE NAS.

Ten napis mnie wzmacnia, wlewa do środka krzepkie ciepło. Niech przyjdą. Niech biorą. Nie można komuś tak po prostu zabrać stumetrowego mieszkania.

Przez chwilę stoimy w milczeniu na klatce. Pijemy wodę z kranu. Potem wchodzimy do środka, blokujemy drzwi kijem od mopa, a następnie barykadujemy je zieloną kanapą. Potem wszyscy zamykają się w swoich pokojach. Musimy położyć się spać. Chociaż na chwilę. Idę do mojego pokoju; jest pierwszy po prawej. Wygląda jak magazyn pełen kolorowych przedmiotów kilka sekund po zamachu bombowym. Przedzieram się przez porozrzucane po podłodze śmieci, ciuchy, torby, buty, książki. Do łóżka, pod kołdrę, w ubraniu, na brudno. Zaczyna mnie piec twarz. To niezmyty makijaż. Za mną do pokoju wchodzi nasz kot Czarny, wskakuje na moje łóżko, kuli się obok mojego brzucha, ale nie mruczy. Cały czas nasłuchuje.

Na zewnątrz zaczyna się przejaśniać, w moim pokoju powoli wzrasta stężenie bieli, słychać ptaki, są na gałęziach blisko okna. Wyobrażam sobie pierwszych ludzi idących do pracy i ostatnich pracowników fabryk i sklepów, wracających z imprez i przygarbionych kredytami, a także

zmierzające w kierunku hoteli, uwieszone na ramionach egzotycznych facetów pijane studentki. Nawalonych Anglików. Bezdomnych. Straż miejską i ludzi od oczyszczania miasta. Całą masę szczęśliwych i wolnych ludzi.

Do pokoju wchodzi Weronika, otwiera drzwi, delikatnie, chociaż nikt jeszcze nie śpi. Aż do sygnału budzika mieszkanie będzie wypełnione odgłosami prób zaśnięcia: skrzypieniem sprężyn, nerwowym połykaniem wody, otwieranymi cicho drzwiami. Tylko przez ten moment, krótką i przerażoną chwilę, wszyscy próbują wyrównać swoje oddechy, być przez chwilę nieruchomo.

– Wykąp się – mówi.

– Powinnam – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Ale nie mam siły.

– Wszyscy się już wykąpali. Łazienka jest wolna – powtarza dalej Weronika łagodnym głosem stawiającej tarota prezenterki ezoterycznej telewizji.

Nie mam siły już nic mówić. Weronika to rozumie, uśmiecha się. Ona zawsze rozumie. Ja też się do niej uśmiecham.

Weronika mieszka z Igą w jednym pokoju. Wprowadziła się tutaj ostatnia, w sumie niedawno, bo dwa miesiące temu. Jest bladą dziewczyną z burzą rudych włosów, przeważnie uśmiechniętą. Ubiera się zabawnie, jak chodząca reklama India Shopu. Ma trójkątną twarz, wąskie usta, wściekle zielone oczy ukryte za rogowymi okularami. Jak już mówiłam, jej oczy są jak studnia, wzrok Weroniki zatrzymuje cię nagle, dając ci dwie opcje do wyboru: albo szybko odwrócić głowę, albo wpatrywać się w jej spojrzenie przez następne minuty, nie mogąc się odwrócić. Weronika nie ma faceta, mało wychodzi, praktycznie nie ma znajomych – ludzie z Instytutu to pierwsi, których poznała. Pracuje w bibliotece, a w weekendy dorabia w kasie Cinema City w Kraków Plaza.

Dla Weroniki „Oni" nie istnieją w trójwymiarowej, namacalnej przestrzeni. Są czymś w rodzaju lśnienia, niewidzialnymi śladami wydarzeń z przeszłości. Weronika – bez uciekania się do tak banalnych sztuczek jak sprawdzanie linii życia – potrafi powiedzieć, jak długo ktoś

będzie żył, i każe ci brać tabletki, bo wie, że za dwa dni złapiesz anginę. Dla Weroniki „Oni" to martwi, poprzedni mieszkańcy, którzy nie mogą stąd uciec, bo nie posiadają cielesnej formy obdarzonej rękami i nogami. Są tutaj zamknięci jak powietrze w szklance postawionej dnem do góry. Są na tyle wściekli, że przedostali się do naszego, ludzkiego, namacalnego wymiaru. Weronika jest tego pewna i jest z nas wszystkich najspokojniejsza.

Dlatego się przestraszyłam, gdy Weronika użyła słowa „dziwne". I dlatego, gdy przypomnę sobie sposób, w jaki wymówiła ten wyraz – „Agnieszka, stało się coś dziwnego" – zaczynam wątpić w to, co stanie się jutro, w to, że pójdziemy do komendy pełnej dzielnych policjantów i razem z nimi odbijemy moje mieszkanie, w to, że w ogóle wyjdziemy z Instytutu. Ale zaraz zapominam o wyrazie „dziwne", który zgniatam w głowie jak jakiś zbędny papier. Wyjdziemy. Wrócimy. Odbijemy.

– Dobranoc, Weronika – mówię z wielkim wysiłkiem i odwracam się na drugi bok.

Wychodzi z pokoju jeszcze ciszej, niż tutaj weszła. Na moment staje w drzwiach i odwraca się do mnie.

– Jak myślisz, kim są „Oni"? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Czy to ważne?

Bo to nieważne.

To przestaje mieć znaczenie. Nie ma w tym żadnej zagadki.

Powoli przestaje mnie interesować, kto chciał zamknąć kilkoro ludzi w mieszkaniu i po co.

Interesuje mnie to, jak się powstrzymam, aby rzeczywiście nie zrobić im trwałej krzywdy.

Mrugam oczami przed zaśnięciem. Staram się ochłodzić mózg, by móc przespać chociaż dwie lub trzy godziny. Ale nie mogę. Coś spada na moją głowę, otrzymana w prezencie myśl; ta myśl nie pozwoli mi zasnąć, będzie mnie parzyć jak noszona w pełnym słońcu czapka. Być może podejście Weroniki jest słuszne; być może w pewnym sensie „Oni" są lśnieniem, śladem, pamiątką. Jednak zanim ta myśl się wyklaruje, zaczynam zasypiać.

Powoli na mój mózg spada ciężka, czarna kołdra. Poddaję się jej, kładę pod jej ciężarem, wydycham powietrze, pozwalam, by wlała mi się do oczu, do nosa, do uszu.

Wtedy pojawia się następna myśl. Błyskawicznie. Budzi mnie jak igła wbita w kark. Siadam na łóżku i oddycham głęboko, serce bije mi szybko, czuję je, jakby druga, mniejsza, schowana w moim wnętrzu Agnieszka z całej siły uderzała we mnie pięścią od środka.

„Tu kręcą jakiś film" – powiedział chłopak od pizzy. „To wszystko będzie jutro na YouTubie" – powiedział Rumun.

Wybiegam z pokoju, walę do drzwi Igi. Walę mocno.

– Iga, Iga, wstawaj. Wstawaj – mówię. Słyszę tylko cichy jęk skrajnie wyczerpanej osoby, ale uderzam dalej. – Wstawaj, musimy przeszukać mieszkanie. Musimy przeszukać mieszkanie, czy tu nie ma kamer! – krzyczę.

*

Zanim moja córka powiedziała mi, że Thelma i Louise idą do nieba, zanim położyłyśmy się we dwie na łóżku, spędzając całą noc przed moim wyjazdem do Krakowa na wycieraniu nosa, jedzeniu wymiotnych ilości lodów i oglądaniu *Mamma Mia* i *Notting Hill*, zanim wstałam o siódmej rano, zanim zrobiłam dla nas śniadanie, jajka sadzone dla dwóch osób, chociaż ta trzecia osoba, ojciec mojej córki, spał na kanapie, zanim uciekłam od niego definitywnie, po raz drugi – zanim to wszystko się wydarzyło, parę dni wcześniej rozległ się sygnał telefonu. Dzwoniła moja matka. Rzuciła:

– To ja. – Potem chrząknęła i powiedziała: – Babcia Wera nie żyje.

Ścisnęłam mocniej telefon, aby nie wypadł mi z dłoni, i spokojnie odparłam:

– Oddzwonię do ciebie.

Usiadłam na krześle. Akurat gotowałam sos do makaronu. Przez piętnaście minut energicznie go mieszałam, aby się nie przypalił. Teraz po prostu usiadłam na krześle i czekałam, aż sos zacznie śmierdzieć.

Ta śmierć nie była oczywiście żadnym zaskoczeniem – babcia Wera miała dziewięćdziesiąt lat. Jak sama mówiła, od dwudziestu lat jest przeszczęśliwa, gdy codziennie rano otwiera oczy i dalej widzi sufit swojego pokoju, a nie wielkiego jak Pałac Kultury mężczyznę z białą brodą czy coś w ten deseń. „Ta śmierć jest właściwie powodem do radości, w końcu przyszła dopiero teraz, najpóźniej, jak się dało" – wmawiałam sobie, oddychając głęboko. Tymczasem sos zaczął wydzielać zapach podobny do oleju silnikowego.

Gówno prawda. Mogłam sobie mówić, że przeżyła godne i długie życie, odeszła otoczona miłością, wsparciem i tak dalej, ale tak naprawdę rosła we mnie wielka rozpacz. Właziła mi do ust. Wypełniała je tak, jakby ktoś na siłę nasypał mi tam piasku. Są ludzie, którzy nigdy nie powinni umrzeć. Babcia Wera była na tej liście.

Babcia Wera na każdym spotkaniu rodzinnym siedziała u szczytu stołu. W wieku osiemdziesięciu lat na weselu mojej starszej siostry tańczyła z moim ojcem na stole, tym samym, przy którym przed chwilą siedziała, a gdy twarz mojego taty zaczęła robić się czerwona i ociekać potem, powiedziała do niego:

– Popracuj nad kondycją, młody człowieku.

Babcia wiedziała wszystko o wszystkich. O babci Werze wiedziano, w najlepszym przypadku, niewiele. Była żywą tajemnicą, nieprzeniknioną nawet dla swojego męża, który zmarł mniej więcej w czasie moich urodzin. Dziadek Wacław pracował jako dyrektor w jakimś państwowym przedsiębiorstwie. Babcia odnosiła się do męża, jak mówiła moja mama, z serdeczną pobłażliwością. Był potulnym i poczciwym człowiekiem, którego ulubione rzeczy stanowiły kapcie, zeszyt krzyżówek i fotel. Podobno poznał Werę w połowie lat pięćdziesiątych w SPATIF-ie. Na temat babci Wery, która była już wtedy po trzydziestce, krążyły legendy. Warszawa szeptała, że Wera podobno pochodziła z rodu bogatych greckich kupców albo wileńskiej szlachty, że podobno całą drugą wojnę światową spędziła z taborem cygańskim w Szwecji albo z bogatym amerykańskim Żydem na jachcie.

Wera była zagadką. Dziadek Wacław potrafił to uszanować. Nie pytał, bo wiedział, że każdy człowiek, którego przyjmujemy do swojego życia, nosi plecak swojej przeszłości. „Po co do tego plecaka zaglądać, skoro nie można go zdjąć?" – powtarzał. Na przykład sam nigdy nie zapytał, kim był czarnowłosy mężczyzna w grubych, rogowych okularach, biegnący jeszcze dobre pół kilometra za taksówką, do której tamtego wieczoru w SPATIF-ie na zaproszenie dziadka Wacława wsiadła babcia Wera. Dopiero później, patrząc na zdjęcie w gazecie, skojarzył, że ten facet był łudząco podobny do Tyrmanda.

Wiadomo było tylko tyle, że zanim babcia Wera przyjechała do Warszawy i zanim poznała w SPATIF-ie dziadka Wacława, mieszkała, studiowała i pracowała w Krakowie, gdzie przydzielono jej mieszkanie w świeżo wybudowanej Nowej Hucie. Szczerze go nienawidziła, tak jak

całej Nowej Huty i komunizmu w ogóle. Ale małe mieszkanie było jej własnością do dzisiaj; mój ojciec wynajmował je jakimś studentom. Gdy raz zawiózł tam babcię Werę, podobno napluła na wycieraczkę.

Babcia miała przedwojenne maniery. Ze stalową konsekwencją wymagała ich również od otoczenia. Jeśli w restauracji jakiś mężczyzna nie wstał, gdy podchodziła do stolika, ostentacyjnie nie odzywała się do niego do końca wieczoru. Ale potrafiła bez czerwienienia się i bez używania wulgaryzmów opowiadać kawały, przez które wszyscy siedzący przy stole nabierali karnacji koloru barszczu. Uwielbiałam ją. Ona mnie też. Pewnego razu powiedziała mi:

– Agnisiu, nie pozwól, żeby jakiś bydlak sobie pomyślał, że jesteś jego własnością. Każdemu z nich się wydaje, że jak pójdziesz z nim do łóżka, to potem już może cię nazywać idiotycznym zdrobnieniem zamiast imienia, klepać po boku jak krowę i przestać przepuszczać cię w drzwiach. Nic bardziej mylnego, moja droga.

Schemat stosunków babcia–wnuczka jest oczywisty. Do pewnego momentu, gdzieś do piętnastego roku życia wnuczki, babcia jest ukochaną babcią, wnuczka jest ukochaną wnuczką. Potem wszystko się rozpada, rozwadnia, rozmywa, coraz więcej osób przychodzi na imprezę pod tytułem twoje życie i powoli zaczynasz zapominać o tych, którzy pojawili się na samym początku. A babcia to typ człowieka, który zamiast klepać cię w ramię i przypominać o swojej obecności, grzecznie wycofuje się najpierw do kuchni, gdzie dopija lampkę wina, myje po sobie kieliszek, gasi papierosa w zlewie i w końcu bezszelestnie wychodzi z mieszkania.

Ostatni raz rozmawiałam z babcią Werą dłużej niż piętnaście minut wtedy, gdy wróciłam do ojca Eli. Po pierwsze, po to, aby odzyskać Elę. Po drugie, dlatego, że on mnie kochał. Całym swoim durnym sercem.

„On nie był zły – powtarzałam sobie. To jego matka jest zła".

– Otworzył drzwi do mieszkania i powiedział: „czekałem na ciebie", babciu – mówiłam, a babcia Wera kręciła głową.

– A ty na niego czekałaś? – zapytała.

Nie odpowiedziałam.

– Ja mam dziecko – powtórzyłam – dziecko ma ojca, dziecko musi mieć rodzinę.

Babcia popatrzyła na mnie ze specyficzną mieszanką uczucia miłości i zniesmaczenia.

Naprawdę wierzyłam wtedy w to, co mówiłam. Byłam w trakcie uchwalania mojej nowej, wewnętrznej konstytucji. Jej zapisy były proste. Życie musi być normalne. Dziecko musi mieć rodzinę. Tatę i mamę. Dziecko nie może przejechać przez pierwsze lata życia na kilkunastu przyszywanych tatusiach, a następnie w wieku czternastu lat wycinać sobie na rękach wyrazów „ciemność" i „samobójstwo" po angielsku ani wstrzykiwać dopalaczy w piętę. Każde pismo dla kobiet używające więcej niż dwóch tysięcy wyrazów poinformuje cię w podstemplowanym przez znanego psychologa artykule, że to trochę bzdura. Ale wierzyłam w to święcie.

Po części nie wierzyłam, że z kimkolwiek uda mi się jeszcze stworzyć coś, co uznaje się za udany związek. Zdecydowałem, że lepiej, aby Ela była świadkiem gnoju z własnym ojcem niż z obcym facetem.

A tak naprawdę nie chciałam jej już nigdy stracić.

– Wnusiu, to twoje życie i robisz, co chcesz. – Wypiła łyk herbaty, przewierciła mnie wzrokiem i dodała: – Ale ten twój mąż...

– On nie jest zły, babciu – powiedziałam. – To jego matka jest zła.

– Gorzej, wnusiu, jakby był skurwysynem, to pół biedy – moja babcia po raz pierwszy w mojej obecności użyła gorszego wulgaryzmu niż „pal licho" – ale on jest po prostu głupi. Głupi, a co gorsza, słaby.

– Słaby – powtórzyłam to słowo, nawet nie próbując polemizować.

– Słaby, bo gdy zabrali ci małą, to on nic nie powiedział, nic nie zrobił – stwierdziła.

– To jego córka – odparłam – można to było inaczej załatwić.

– Ty jesteś głupia. Jaka ty jesteś głupia. Agusiu, idź stąd, pogadamy, jak się przestanę denerwować – mówiąc to, babcia mocno mnie przytuliła. – Oni zabrali ci twoje dziecko. Nigdy o tym nie zapomnij.

Pocałowałam ją i wyszłam. To był ostatni raz, kiedy z nią rozmawiałam.

Gdy sobie to w końcu uświadomiłam, rozryczałam się tak, że po chwili zadzwoniła do mnie sąsiadka z góry, czy nie wezwać policji albo pogotowia.

Nie zdążyłam jednak odwodnić się od płaczu, bo moja matka zadzwoniła jeszcze raz.

– Kiedy jest pogrzeb? – zapytałam.

– Za trzy dni. Ale ty musisz przyjechać wcześniej.

– Dlaczego wcześniej? Po co wcześniej? – Wycierałam oczy chusteczką i połykałam wyrazy.

– Musisz jechać do notariusza. Babcia przepisała na ciebie mieszkanie w Krakowie.

– To w Nowej Hucie? – Przełknęłam ślinę, policzyłam do czterech i dodałam: – Ja nie chcę tego mieszkania. Babcia go nienawidziła. Weź je sobie.

– Jesteś durna – powiedziała moja matka. – Masz córkę. Poza tym to inne mieszkanie.

– Jakie inne? – Najgorszy możliwy stan to być zrozpaczonym i zirytowanym jednocześnie. Moja matka potrafiła doprowadzić mnie do tego stanu bez konieczności informowania mnie o czyjejś śmierci. – Jakie inne, mamo, co ty pieprzysz?

– Inne. Babcia miała jeszcze jedno mieszkanie. Sto metrów w kamienicy przy alei Mickiewicza. Wynajmowała je komuś, nikt o nim nie wiedział, wszyscy myśleli, że je sprzedała w osiemdziesiątym dziewiątym, aby spłacić długi wujka Staszka, jak mu z kantorem nie wyszło. Ale jak się okazuje, nigdy tego nie zrobiła, więc teraz jest twoje.

– Moje – powtórzyłam.

– Tak, twoje – przytaknęła moja mama.

– Czemu nie było o nim nic wiadomo?

– Bo to babcia Wera.

Nie odezwałam się.

– Babcia przed śmiercią powiedziała, żeby ci coś przekazać – dodała moja matka.

– Boże, musisz mi mówić takie rzeczy przez telefon? – Łzy znowu pociekły mi z oczu.

– Powiedziała: „Powiedzcie Agnieszce, że będzie potrzebowała mnóstwo, mnóstwo siły".

– Przyjadę pojutrze – oznajmiłam, rozłączyłam się, wstałam i przykręciłam gaz pod przypalonym sosem, zalałam patelnię płynem z ciepłą wodą i weszłam do pokoju, w którym na kanapie leżał ojciec Eli.

Ojciec Eli przeżył głęboką, wewnętrzną przemianę. Z polskiego Lyncha zamienił się w głównego reżysera programu *Gwiazdy szukają skarbów*. Poza tym robił reklamy i cały czas pracował przy kręceniu kolejnych odcinków *Warszawiaków*, w których podłysiały już Adrian kazał robić Basi testy genetyczne, ponieważ ich poprzednie dziecko, mały Jasiu, okazał się bękartem z krótkotrwałego związku Basi z jej przełożonym w firmie, Jarkiem, który zabrał ją na służbowo-romantyczny weekend na Maderę i tam żwawo dupczył lekko czerstwą już Basię w hotelowych wnętrzach niebezpiecznie przypominających Ibisa przy Ostrobramskiej. Do tego niedoszły polski Lynch zdążył półtora roku temu nakręcić komedię *Pięć dni cool-mena*, historię licealnej drużyny hokeja halowego, trafiającej na ślad międzynarodowego spisku, którego członkowie na zlecenie rosyjskich służb specjalnych próbują wydestylować z ludzkiej śledziony piorący mózg narkotyk. *Pięć dni cool-mena* wygrywało rankingi najgorszych polskich filmów ostatniego dwudziestolecia.

Przez pierwsze trzy lub cztery lata od czasu, kiedy wróciłam do ojca Eli, było mniej więcej w porządku. Wybaczyłam mu, że bez mrugnięcia okiem zgodził się, aby zabrano mi Elę, że w ten sposób zmusił mnie do powrotu. Było w porządku, o ile terminem „w porządku" można określić zmuszanie wszystkich swoich mięśni, stawów i nerwów do zbudowania dookoła siebie rodziny.

W każdym razie tolerowałam obecność ojca Eli. Czasami nawet sprawiała mi przyjemność. Oglądaliśmy razem telewizję, jedliśmy odgrzewane pierogi od mamy i zupę, czytaliśmy razem gazety, rozmawialiśmy, głównie o naszej córce – chowaliśmy do plastikowych

woreczków jej mleczne zęby, oprawialiśmy w antyramy jej obrazki i pierwsze napisane przez nią litery, naklejaliśmy plastry na jej rozwalone kolana. Czasami nawet opowiadaliśmy sobie dowcipy. Niekiedy szczerze się z nich śmialiśmy. Od czasu do czasu nawet poszłam z nim do łóżka. Nie wiedzieć czemu, zawsze potrzebowałam dwóch butelek wina, aby to zrobić, chociaż z reguły cała akcja trwała najwyżej dziesięć minut. Pewnego razu polecieliśmy razem do Tajlandii, gdzie pokłóciliśmy się zaledwie piętnaście razy przez dziesięć dni, a Ela dostała gorączki, która okazała się dzięki Bogu grypą, a nie malarią. Wszystko było jak zwykle i u wszystkich, tyle że z każdym dniem garnki i patelnie stawały się coraz cięższe, jakby z tygodnia na tydzień ktoś obciążał je drobinami ołowiu. Tyle że z każdym dniem moment od usłyszenia budzika do podniesienia się z łóżka stawał się o parę sekund dłuższy. Swoją drogą, zawsze jest jakieś „tyle że"; założę się, że wszystkie największe osobiste tragedie tego zasranego świata zaczynają się od zwrotu „tyle że".

Ale było w porządku. Znowu, tak jak na początku, lubiłam, gdy dużo do mnie mówił; słuchałam z troskliwą uwagą roztaczanych przez niego wizji, scenariuszy filmów, które kiedyś nakręci, żarliwych tyrad o twórczości reżyserów, utyskiwań na komercję i plastikowy świat, który zatracił gdzieś swoją prawdziwą duszę. Wmawiałam sobie, że to dobrze, że mówi, bo do wielu kobiet ich mężowie nie odzywają się prawie w ogóle. Dalej czytał książki i nadal potrafił wyrwać mnie na spacer o piątej nad ranem, robił mi nieostre zdjęcia, gdy leżałam goła w wannie. Już mnie to nie fascynowało, ale podobało mi się, że coś robi, że jest jak dziecko uwięzione w szklanym pudełku, chcące za wszelką cenę rozbić jego ściany.

Po prostu się starał. A skoro się starał, to i ja się starałam; graliśmy w obrazek rodziny niczym w jakąś grę fabularną, dopóki on chciał w nią grać: gdy udawał męża, faceta, mężczyznę. Gdy zmieniał koła w samochodzie i kosił trawnik. Gdy mi pomagał, zwykle i po ludzku, odbierał Elę ze szkoły, chodził na wywiadówki, jeździł do banków i urzędów, zajmował się naprawami w domu, przynosił mi prezenty. Te wszystkie zwykłe rzeczy, które robi facet uważany przez twoją matkę za

Porządnego Mężczyznę i które sprawiają, że sama zaczynasz tak sądzić, nawet jeśli nic do niego nie czujesz.

Starał się, jednak pod tym wszystkim była cisza, pustka, wiatr. A jeszcze niżej – drapiące, piekące przekonanie, że to właściwe życie jest gdzie indziej, że je przegapiłam, że zostało daleko za mną, na skrzyżowaniu, na którym źle skręciłam.

Ela poszła do zerówki. Spędzałam swoje dwudzieste ósme urodziny sama w domu, przy stole, wypijając trzy butelki wina z rzędu i słuchając radia, w którym puszczano na zmianę polski rock, bełkot i muzykę z supermarketów. Po pierwszej butelce okazało się, że pamiętam tekst *Kocham cię jak Irlandię* Kobranocki. Po drugiej okazało się, że pamiętam tekst *Nocy komety* Budki Suflera. W połowie trzeciej moja sytuacja życiowa stała się dla mnie wyraźna jak znak drogowy. Poza moją małą stabilizacją, ojcem Eli, który gdy nie pracował, większość czasu spędzał na rozrzucaniu po mieszkaniu brudnych ubrań i gapieniu się w telewizor, nie miałam nic. Nie miałam przyjaciół, bo ci poznani na imprezie wciąż na niej tkwili, z roku na rok coraz bardziej smutni i zmęczeni, albo zniknęli gdzieś w otchłaniach Londynu, Glasgow, Brukseli, Amsterdamu. Nie miałam żadnego sensownego zajęcia, nic nie umiałam, nie miałam zawodu, umiałam jedynie przypalać zupy, zbyt grubo obierać ziemniaki, niedokładnie myć podłogi i naczynia. Moja córka, jeszcze kiedy tkwiła w moim brzuchu, wystrzeliła mnie ze studiów, co sprawiło, że od tamtej pory nie narysowałam nawet mapki objaśniającej, jak dojechać na dworzec. A ja – ja byłam już na stałe przybita gwoździmi do szmaty, garnka i palnika gazowego, byłam kobietą, która najintensywniejsze rozmowy w życiu przeprowadza z lekarzami dziecięcymi, okulistami i babami handlującymi na bazarach podczas kupowania jak najładniejszych marcheweczek.

Miałam potworne wyrzuty sumienia, że nie jestem z tego powodu obezwładniająco szczęśliwa. Bo przecież powinnam. Bo to było dobre. Bo tak miało być.

Koleżanka ojca Eli, makijażystka, wzięła mnie parę razy na plan. Robienie zwykłego makijażu wychodziło mi bardzo dobrze. Przez jakieś kilka miesięcy była to robota na zasadzie: jeden telefon na dwa tygodnie; pewnego dnia jednak koleżanka makijażystka wzięła mnie na plan jakiegoś taniego policyjnego serialu w rodzaju *Brygada Niepokonani*, który zawieszono po sześciu odcinkach. Okazało się, że jedna z charakteryzatorek miała stłuczkę w środku miasta i tkwi tam, obwarowana policją, lawetą i kilometrowym korkiem. Trzeba było szybko zrobić pobitego mocno przez paru kolesi faceta, namalować siniaki, dokleić rozcięty łuk brwiowy, uformować nabrzmienie na wardze. Druga charakteryzatorka zrobiła mi szkolenie, które trwało czterdzieści pięć sekund, bo sama musiała ucharakteryzować aktorkę na rosyjską prostytutkę, która wpadła pod samochód. Spanikowałam. Nie wiedziałam, jak używać silikonów, pudrów, doklejek, sztucznej krwi, jak formować z masy strupy, rysować otarcia, wykonywać ze specjalnego tworzywa płaty zwisającej skóry. Zaimprowizowałam. Potem skupiłam się i zaczęłam produkować z materiałów na plastykę zadrapania, skaleczenia, opuchnięcia i otarcia. Gdy skończyłam, wszyscy na planie popatrzyli to na mnie, to na aktora, to znowu na mnie i znów na aktora, aż w końcu koleżanka ojca Eli powiedziała:

– Agnieszka, miałaś go ucharakteryzować, a nie pobić.

Po dwóch miesiącach telefon dzwonił co parę dni. Po roku musiałam odrzucać połowę zleceń. Czasami zarabiałam niewiele mniej niż ojciec Eli. Czasem więcej, gdy wzięli mnie na zastępstwo do niemieckiego filmu wojennego. Wepchnęłam sobie w ręce zajęcie. Zaczęłam nim żyć. Zaczęłam oddychać przez dłonie, które wyczarowywały najwspanialsze w świecie zmiażdżone i złamane nosy, rany postrzałowe, wyłupane oczy, wybite zęby, poparzenia, trąd i egzemy. Żyjący w ciemności, zamienieni w zombi żołnierze SS, których zrobiłam po znajomości do jakiegoś francuskiego filmu klasy B, zdobyły nagrodę na międzynarodowym festiwalu horroru. Nie czekałam już, nie słuchałam, nie wypatrywałam, nie siedziałam sama przy stole, nie prałam i nie gotowałam. Całymi dniami

lepiłam, kleiłam i malowałam, zmieniając ludzi w wampiry, trupy i ofiary wypadków samochodowych. Wieczorami grałam w scrabble, piłam herbatę i razem z moją córką oglądałam komedie romantyczne. Odczepiłam się od szmaty, zamiast tego co tydzień u nas w domu zjawiała się pani Ałła z wielkimi, czarnymi okularami przeciwsłonecznymi i sygnetami na palcach niczym rapujący biskup, która myjąc podłogę, opowiadała głosem herolda historię nie tylko swojego życia, ale i całej Jałty, skąd pochodziła. Tak mijały tygodnie, tak mijały lata mojego życia, odmierzane kolejnymi, zaznaczanymi na framudze centymetrami wzrostu mojej córki, jej coraz doroślejszymi pytaniami, jej awansem do podstawówki, jej nauką czytania, pisania, śpiewania, grania na pianinie, angielskiego.

Mijały powoli w nowym, względnym porządku, nieco znośniejszym, ale w oczekiwaniu na coś złego, na brak happy endu. Jakbym już wtedy czuła, że to jest oczekiwanie na koniec, że nad naszymi głowami wiszą zegary odmierzające czas do kraksy. Ale wtedy o tym nie myślałam. W ogóle nie myślałam o niczym. Pewnie dlatego, wspominając ostatni okres, w którym ja, moja córka i ojciec mojej córki funkcjonowaliśmy we względnej koegzystencji, przypominam sobie najspokojniejszy czas w moim dotychczasowym życiu.

Jednak wszystko się kończy To, co spokojne i normalne, z reguły kończy się pierwsze.

*

Ściany są grobowo zimne, powietrze jest na tyle suche, że każdy idzie co parę minut napić się wody, a i tak po chwili ma wyschnięte usta. Niewyspanie powoduje drobne, współodczuwalne przez każdego pęknięcia w rzeczywistości. Wszystko, co widzimy, jest przejaskrawione, ze sztucznie podkręconą ostrością jak na zrobionym pod koniec imprezy zdjęciu z fleszem. Chcemy spać, ale to niemożliwe. Czekamy. Obijamy się o ściany, ale miękko jak wlany do wody olej, w półśpiączce, wygnieceni, skacowani, chociaż nic nie piliśmy. Ktoś podnosi się z fotela tylko po to,

aby następna osoba mogła miękko uderzyć w siedzenie. Ktoś idzie położyć się na pół godziny tylko po to, aby ktoś inny kazał mu wstać. Mówimy do siebie rzadko, jakby na każde nasze słowo „Oni" przysuwali się do nas o parę centymetrów.

Czekamy na Jacka. Jacek zaraz przyjdzie. Musi przyjść. To nie jest tak, że to mieszkanie nagle wycięto z rzeczywistości ogromnymi nożyczkami i zawieszono w próżni jak bombkę. Ono dalej jest na świecie, w Polsce, w Krakowie, przy alei Mickiewicza. Wśród ludzi, ulic, lamp, kabli, aut i drzew.

Siedzimy przed telewizorem w moim pokoju. Ekran śnieży, dźwięk jest zmodulowany i charczący, ale puszczają *Płonący wieżowiec* z Richardem Chamberlainem, który ostatnio w identycznej jakości widzieliśmy najprawdopodobniej jako dzieci w telewizorze z grożącym eksplozją kineskopem.

Staramy się skoncentrować na ludziach wyskakujących przez okna z płonącego budynku, ale cały czas przerywamy sobie nawzajem tymi samymi pytaniami.

Czemu go jeszcze nie ma?

Czy przyjdzie z policją, czy z administracją budynku?

Może będzie tutaj w nocy?

Może składa jakieś zeznania i nie chcą go jeszcze puścić? Może nikt mu nie chce uwierzyć?

Minuty przelewają się jedna po drugiej jak na wpół skrzepły syrop. Chrzęszczący głos zaśnieżonych aktorów wydaje się dochodzić z zepsutego, zwalniającego taśmę magnetofonu. Nawet nie wiemy, czy to my zadajemy pytania, czy dobiegają z głośników telewizora. Wydaje nam się, że czasu już nie ma; patrzymy na zegarki, aby się o tym przekonać; sekundniki pracują, ale w niezbyt przekonujący sposób.

Za oknem jest ciemno. Na klatce cały czas panuje cisza. „Wszystko będzie dobrze" – powtarzamy to szeptem jak różaniec. I potem: „Jacek tu przyjdzie. Czekamy na Jacka".

Około dziesięciu godzin wcześniej szukaliśmy kamer. Zerwałam wszystkich z łóżek i kazałam im dokładnie przeszukać całe mieszkanie. Pewnie miałam taki wyraz twarzy, że nikt nawet nie próbował ze mną polemizować. Tak więc odsuwaliśmy łóżka, zaglądaliśmy do mebli, wyrzucaliśmy na podłogę całą zawartość szaf. W sytuacjach tego rodzaju szuka się logicznych wytłumaczeń, aby nie oszaleć. Rozkręcaliśmy kontakty, oglądaliśmy dokładnie i ze wszystkich stron lodówkę, piekarnik, pralkę, zaglądaliśmy w kratki wentylacyjne, w głąb piecyków gazowych.

Gdy skończyliśmy, mieszkanie wyglądało jak po rewizji.

W sytuacjach takich jak ta szuka się racjonalnych wytłumaczeń, aby nie oszaleć. Szukaliśmy więc jakiegokolwiek racjonalnego tropu. Może rzeczywiście to czyjś eksperyment. Może jesteśmy w telewizji, może ogląda nas teraz cała Polska.

Nic nie znaleźliśmy. Dawno zgubione przedmioty, trochę pieniędzy, wszystko zupełnie nieprzydatne. Nikt nas nie nagrywał. To nie było dla żartu. Chociaż może nie zdołaliśmy dostrzec żadnych kamer.

Po wszystkim usiedliśmy na podłodze po turecku.

Iga stała nade mną z zaciśniętymi ustami, pod oczami wykwitły jej ciemne sińce, których nie miała jeszcze nad ranem, gdy każdy z nas poszedł do swojego pokoju, by spróbować zasnąć. Jej twarz nie mówiła „jest dobrze", nie mówiła „krata jest otwarta". Zamiast tego było w niej coś, czego nigdy wcześniej nie zauważyłam. Iga się bała. Miała zaciśnięte usta, rozbiegany wzrok, który usilnie próbował nie spotkać się z moim. Przełknęłam ślinę. Iga podała mi kubek z herbatą, jakby chciała powiedzieć: „To jedyne, co mogę dla ciebie zrobić". Usiadłam i wypiłam łyk. Iga przygryzła wargę.

– I co? – zapytałam.

– Wstawaj. – Wykonała niemrawy gest ręką.

Drugi raz wstawałam znacznie wolniej. Otwierałam drzwi pokoju bardzo, bardzo długo, chcąc powstrzymać czekające za nimi nieuchronne. Rumun i Sebastian stali w korytarzu z tak samo podkrążonymi oczami i zaciśniętymi ustami. Sebastian wskazał palcem klatkę. Gdy zobaczyłam

drzwi, usiadłam gwałtownie, jakby ktoś chwycił mnie za ramiona i pchnął w dół.

– Skurwysyny – wyszeptałam i zaczęłam płakać.

Iga podeszła, kucnęła i objęła mnie.

– Mówiłem – odezwał się Rumun.

– Dobrze, byłeś mądry, ale co z tego?! – Iga zaczyna krzyczeć, a w jej krzyku jest płacz, który czeka, żeby się wydostać. – Kogo to, kurwa, obchodzi, że tak mówiłeś?!

Rumun wzrusza ramionami. Ja również obejmuję Igę. Płacz mija, a właściwie czuję, jak go połykam, dławię, spycham siłą do niższych partii ciała.

– Co z tą dziewczyną? Anką? – pytam.

– Dałam jej xanax. – Iga pokazuje płaski, do połowy opróżniony blister małych tabletek, wyjęty z kieszeni spodni.

„Oni" wiedzą, że nie mogą nas wypuścić. Z dwóch powodów. Po pierwsze, na zewnątrz możemy zrobić im wszystko; zamknięci tutaj, nie możemy zrobić im nic. Po drugie, wypuszczenie nas oznaczałoby koniec zabawy.

Będą nas tutaj trzymać, dopóki nie oszalejemy. Teraz już wiem – „Oni" nie chcą tego mieszkania. „Oni" chcą czystej zabawy, chcą tego nieokreślonego czegoś, czego chce kot przerzucający sobie z jednej łapy do drugiej jeszcze żywą mysz ze złamanym kręgosłupem.

Pod drzwiami leżą zerwane i zmięte kartki. Na drzwiach jest napis, namazany pędzlem białą olejną farbą, ściekający w dół, wykonany tym samym pismem co zdania na kartkach.

NIE WIERZYMY WAM.

Siadam na podłodze i zaczynam wpatrywać się w te litery tak usilnie, jakbym chciała zmazać je siłą woli. Rumun podaje mi papierosa. Zapalam. Wypijam łyk herbaty, która na nieogrzewanym korytarzu z gorącej momentalnie przybiera temperaturę ciepłego piwa. NIE WIERZYMY WAM. Zastanawiam się, czy ktoś, kto wykonał napis, celowo podzielił go na cztery części:

NIE
WIERZ
YMY
WAM

Zrobił to tak, aby ostre końcówki liter w dwóch ostatnich członach: YMY i WAM, przypominały wyszczerzone w uśmiechu zęby. Ale nie potrzebuję tego napisu, aby wiedzieć, że „Oni", kimkolwiek są, gdziekolwiek są, się śmieją. Rechoczą jak idiota oglądający gify na Kwejku z walącą konia małpą. Gdziekolwiek są, kimkolwiek są, naprawdę dobrze się bawią.

– Popatrz na windę – mówi Iga.

Patrzę na drzwi, ale nic nie widzę.

– Podejdź i przypatrz się – powtarza.

Podchodzę do starych drzwi i wysilam wzrok. Za zmatowiałą szybą widać dyndające kikuty przeciętych lin.

– Ci faceci naprawiający windę, których widział ten chłopak – szepcze Iga – zniszczyli ją. Przerżnęli liny.

Wstaję i wchodzę do mieszkania. Zatrzaskuję drzwi. Idę do łazienki. Patrzę w lustro. Wyglądam na sto dziewięćdziesiąt osiem lat, moja twarz przypomina stary worek ze skóry, do którego ktoś bezładnie zapakował mięśnie, nerwy i kości.

Puszczam zimną wodę. Leci tak drobnym, pozbawionym ciśnienia ciurkiem, że potrzeba kilkudziesięciu sekund, aby wypełniła moje złączone dłonie. Tak jakby z godziny na godzinę zawór wody przykręcał się coraz mocniej. Przemywam twarz. Wygląda jeszcze gorzej. Biorę waciki i płyn do demakijażu i czyszczę ją ze starej skorupy podkładu, z plam tuszu, aż z fizjonomii potwora przemienia się po prostu w twarz zużytej, trzydziestopięcioletniej, sterroryzowanej we własnym mieszkaniu baby, z bruzdami jak kaniony w miejscu zmarszczek mimicznych. To przykry widok, ale znajomy. Uśmiecham się do niego. On uśmiecha się do mnie.

Wychodzę z łazienki. Reszta stoi w korytarzu, czekają na mnie, aż powiem im, co robić, co teraz, co dalej. Staję przed nimi, zaciskam z całej

siły wszystko, co można zacisnąć w środku siebie, aby znowu się nie rozryczeć. Staram się jak najszybciej coś wymyślić, błagam samą siebie o wymyślenie czegokolwiek, ale ta modlitwa o pomysł napełnia mózg jedynie czystym powietrzem.

Odwracam się, mijam ich, wchodzę do swojego pokoju, siadam z powrotem na łóżku.

– Dajcie mi chwilę – proszę, głaszcząc Czarnego, ale oni dalej stoją w korytarzu, dalej na mnie patrzą, jakby mówili: „To twoje mieszkanie, Agnieszka, to twoje pole bitwy, ty jesteś generałem, wymyśl coś".

– Proszę, dajcie mi chwilę – powtarzam.

– Przecież nikt nic do ciebie nie mówi – odpowiada Sebastian.

Kręcę głową, próbuję jakoś pokazać mu dłonią, że się przesłyszałam; wiem, że nic nie mówili. Nie muszą. To moje mieszkanie, to ja jestem dowódcą, jeśli się załamię, możemy wszyscy przecinać sobie żyły albo skakać przez okno.

Zza okna słychać szum przejeżdżających aut, dzwonienie tramwajów, karetkę na sygnale. Nie wierzę w to, co słyszę. Mam wrażenie że to, co jest za oknem, to złudzenie, dekoracja, parawan. Że wszystkie te dźwięki dobiegają z zamontowanego gdzieś ogromnego głośnika. Spoglądam na łóżko, na skłębiony, wielki węzeł składający się z pościeli, ubrań i zaplątanych w cały ten chaos naszych dwóch kotów, i nagle wpadam na pomysł. Głupi i bardzo niebezpieczny, ale zawsze jest to jakiś pomysł. Wychodzę z pokoju, wskazuję palcem okno i mówię:

– Prześcieradła.

Patrzą na mnie, jakbym powiedziała coś po łacinie, więc powtarzam, tym razem tłumacząc:

– Prześcieradła. Poszewki od kołder. Związane ze sobą. Zrobimy z nich sznur. Wypuścimy go przez okno. Jedna, dwie osoby zejdą po nim i pójdą na policję.

Nikt się nie sprzeciwia, nikt nie mówi, że to idiotyczne i że można się przy tym zabić, więc zaczynam zrywać poszwy z kołder, wyjmować z szaf stare poszewki, kupione w szmateksach płachty z wizerunkami Barbie

i New Kids On The Block. Przez chwilę wszyscy są zdziwieni, ale zaraz sami biegną do swoich pokojów, przynoszą pościel i rzucają ją na wspólny stos na środku podłogi. Pracujemy w rozbieganej euforii jak dzieci, które przygotowują największy kawał swojego życia, wyrywamy sobie materiał, próbując związać dwa prześcieradła na chybił trafił, aż w końcu Iga mówi:

– Zaraz, zaraz. Te frotté i te stare krochmalone odpadają. Zerwą się. Dajcie te ze sztucznych materiałów. Rumun, twoje są najlepsze, damy je na początek, przywiążemy do kaloryfera.

– Czemu moje?

– Najrzadziej prane – odpowiada Iga, rozciągając materiał w rękach.

Ma rację, to piąte piętro. Jeśli któreś prześcieradło zerwie się w okolicach trzeciego, efekt będzie oczywisty. Na dole nie ma trawnika, krzaków ani niczego poza gołym, ostrym, twardym chodnikiem.

– Poczekajcie chwilę – mówi Jacek, opierając się o ścianę – musimy ustalić, kto schodzi na dół. Piąte piętro to piąte piętro. To może się udać raz, ale drugi… drugi to głupota. No i pytanie, co robić, czy wejść do kamienicy i iść do sąsiadów…

– To chyba oczywiste, co robić. – Iga patrzy na niego, jakby zapytał ją o swoje imię. – Zapieprzać do komisariatu przy Królewskiej.

– Ja nie zejdę. – Sebastian wzrusza ramionami, opiera się o ścianę, wyjmuje z kieszeni zmiętą paczkę gum, wyjmuje jedną i zaczyna żuć. Patrzy na Igę, jakby zaraz miał wyjąć tę gumę z ust i przykleić jej do czoła.

– Jestem za ciężki – mówi z płaskim jak podłoga wyrazem twarzy. – Za dużo ważę.

– Ta, za dużo ważysz – prycha Iga, skręcając kolejne supły. – Okej, więc ja zejdę.

– Ty też. – Sebastian z całej siły zaciska supeł. – Ty też za dużo ważysz.

Iga nic nie odpowiada, ale patrzy na Sebastiana z obrzydzeniem, jakby ten nagle narobił pod siebie, a Sebastian tylko się uśmiecha, przykleja gumę do framugi, podchodzi do Igi, zabiera jej z rąk skręcone prześcieradła, rozwiązuje je i wiąże jeszcze raz, zaciska potrójny supeł kilkoma mocnymi szarpnięciami.

– Dajcie resztę – mówi.

Razem z Igą drzemy resztę odpowiednio wytrzymałych prześcieradeł. Sebastian związuje je na supły. Po około godzinie mamy piętnaście metrów sznura.

– Więc kto idzie? – ponawia pytanie Iga.

– Ja mam lęk wysokości – oznajmia Weronika, poprawiając okulary na nosie.

– Ja to zrobię – mówię.

– Nie, Agnieszka, ja to zrobię. – Rumun opiera się o parapet i po raz pierwszy od dwóch miesięcy z własnej woli patrzy mi prosto w oczy.

Nikt się nie sprzeciwia. Ja również. Chciałabym zejść, ale powinnam tutaj zostać. Muszę tu zostać. To moje mieszkanie, ci ludzie to moi przyjaciele i znajomi, to w pewnym sensie moja rodzina, ja ich tutaj ściągnęłam i jestem za nich odpowiedzialna. Kapitan opuszcza statek na samym końcu.

– Na pewno? – pytam.

Rumun kiwa głową.

– Jestem lekki i kiedyś trenowałem wspinaczkę – odpowiada. Patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle się rozmyślił. Po chwili jednak dodaje, drapiąc się w głowę: – Chyba wiesz, że nie zostawię was tutaj. Że wrócę. Chyba mi ufasz, Agnieszka.

– Ufam ci – mówię, odruchowo jeszcze raz wyciągam rękę w kierunku jego ramienia, ale zaraz ją cofam i chowam do kieszeni. – Czemu miałabym ci nie ufać?

Patrzy na mnie przez chwilę, jakbym powiedziała kiepski dowcip. Uśmiecha się delikatnie kącikiem ust. Odwraca się ode mnie i podchodzi do okna.

– Wracam tu maks za dwie godziny – mówi.

Wypuszczamy sznur przez okno, drugi koniec przywiązujemy do rury kaloryfera pod parapetem. Patrzymy na przechodniów, ale nikt nie reaguje. Nawet jeśli ktoś zwróci uwagę na związane prześcieradła, a następnie spojrzy do góry, od razu odwraca głowę, najpewniej traktując

to, co robimy, jako durny żart schlanych studentów. To normalne, to jak z dzwonieniem na policję. Ludzie w Polsce nie dzwonią na policję wtedy, gdy słyszą, jak ktoś woła o pomoc, gdy przejeżdżają obok rozbitego samochodu stojącego w wielkiej kałuży z krwi, benzyny i drobin szkła albo gdy przechodzą obok kogoś systematycznie i w skupieniu kopanego po głowie. Ludzie w Polsce dzwonią na policję wtedy, gdy sąsiad z dołu zrobi imprezę.

Sznur sięga do okna pierwszego piętra.

– Dam radę – mówi Rumun. – Po prostu spuszczę się aż do parapetu pierwszego piętra. Stamtąd albo zejdę na parapet na parterze, albo po prostu zeskoczę. Wszystko powinno być w porządku.

– Jak to: spuścisz? – pyta Weronika. – Nie rozumiem.

– Po prostu. – Rumun wygląda przez okno. – Nigdy nie schodziłaś z okna po prześcieradle?

– Chyba powinniśmy jeszcze to umocnić – mówię, ale Rumun kręci głową.

– Czym chcesz umocnić? – Wzrusza ramionami. – Poczekajcie chwilę.

Znika w swoim pokoju, po czym wraca z dowodem osobistym i kurtką. Wkłada ją i wsuwa dowód do wewnętrznej kieszeni zapinanej na suwak. Już wskakuje na parapet, gdy Iga kładzie mu dłoń na ramieniu, prosząc, aby moment poczekał. Wychodzi z mojego pokoju i wraca z kaskiem rowerowym. Rumun parska śmiechem, ale Iga wcale się nie uśmiecha, w dodatku ten brak uśmiechu jest dość stanowczy, więc schodzi z parapetu i nakłada kask. Wchodzi z powrotem na parapet, odwraca się do nas i kuca, a my wstrzymujemy oddech.

– Będę zaraz. Z policją – mówi, po czym bez ruchu patrzy na nas przez dłuższą chwilę.

– Chcesz jeszcze coś powiedzieć? Jakieś słowo na pożegnanie? – pyta Iga.

– Nienawidzę was i nie mogę z wami wytrzymać. – Uśmiecha się kwaśno.

Jeszcze chcemy mu coś odpowiedzieć, ale jego nogi są już w powietrzu. Przytrzymuje się najpierw wewnętrznej strony framugi, następnie parapetu, później łapie prześcieradła i obejmuje je kolanami. Patrzę, jak przy moich dłoniach, po drugiej stronie parapetu, materiał napręża się na framudze.

Wszyscy bierzemy głęboki oddech. Przepadam za nim, ale on i ja – to nigdy, przenigdy nie mogło się udać.

Rumun coś odpowiada, jednak przez kask i hałas z ulicy zupełnie nie słychać jego słów.

Zaczyna zjeżdżać w dół, kawałek po kawałku, a my przestajemy oddychać. Robi to powoli, w stałym rytmie, najpierw poluzowuje ucisk i zsuwa się odrobinę, po czym chwyta się z powrotem. Gdy dochodzi do pierwszego supła, ma nogi w połowie okna na czwartym piętrze. Na chwilę przestaje. Nie patrzy w dół. My patrzymy. Rumun maleje z każdym swoim ruchem, ale nie jest jeszcze na tyle mały, abyśmy mogli wypuścić z płuc powietrze, jeszcze nie na tyle, aby bezpiecznie wylądować, gdyby sznur się zerwał.

To trwa, trwa, trwa i trwa. Gdy Rumun chwyta się parapetu na trzecim piętrze, odwracam głowę.

Odwracam się i kątem oka patrzę na materiał. Napina się coraz bardziej na metalowej krawędzi parapetu. Patrzę w dół. Rumun jest między trzecim a drugim piętrem.

Sebastian wykrzykuje coś w rodzaju „dajesz, morda!". Odruchowo kładę mu dłoń na ustach, tak jakby każdy wydawany przez nas dźwięk mógł przerwać prześcieradła i go zabić.

Na ulicy zupełnie nikt nie zwraca na Rumuna najmniejszej uwagi, może poza kilkoma osobami na przystanku po drugiej stronie ulicy, wskazującymi na niego palcami.

– Halo! – zaczyna krzyczeć Iga.

Zatykam jej twarz dłonią.

I wtedy Rumun luzuje uchwyt, trąc dłońmi i kolanami o prześcieradło, leci całe piętro w dół. To trwa ułamek sekundy.

I wtedy materiał znów się napręża, i słychać trzask, to trzask prześcieradła, które pękło tuż przy mojej dłoni, na krawędzi parapetu, i teraz trzyma się na jednej czwartej swojej grubości.

Patrzę na Igę, ale to tak, jakbym popatrzyła w lustro, jej oczy są tak samo wytrzeszczone jak moje i wtedy Sebastian drze ryja:

– Na parapet, kurwa! Na parapet!

I wtedy prześcieradło pęka do końca, i materiałowy sznur spada, a ja z całych sił przyciskam dłonie do oczu.

Nigdy bym ich nie oderwała z powrotem, gdyby Sebastian nie krzyknął:

– Jest gitara! Zleziesz?

Rumun stoi przyklejony do okna na pierwszym piętrze, jedną ręką trzyma się idącego z dachu kabla od internetu, drugą, zaczerwienioną jakby na pół dnia zanurzył ją w śniegu, zwyczajnie nam macha.

– Jesteś hardkorem! – Sebastian rechocze. – Jesteś hardkorem, kurwa.

Rumun macha jeszcze raz, zdejmuje kask i zrzuca go na chodnik. Kuca na parapecie i opierając się nogami o ścianę, schodzi dalej w dół, wspierając się o parapet łokciami, w końcu chwyta się za niego dłońmi, wisząc na nim przez chwilę jak bohater filmu na krawędzi przepaści. Po kilku sekundach ostrożnie wyłapuje stopami parapet okna na parterze i staje na nim. Gdy skacze w dół, mamy wrażenie, że to wszystko – jego schodzenie w dół, stanie przy oknie – trwało cały dzień. Gdy ląduje, słyszymy klaśnięcie jego butów o chodnik. Parę osób odwraca się w jego kierunku. Na chwilę traci równowagę, kuca, jednak po chwili wstaje, bierze kask pod pachę i coś do nas krzyczy, prawie w ogóle nie słyszymy co.

– Będę zaraz – przebija się przez szum przejeżdżających aut.

W końcu wypuszczamy z siebie mnóstwo starego, zużytego powietrza i wdychamy nowy, prosto z taśmy, z delikatną nutą smogu tlen zza okna. To mówi nam, że już wszystko będzie dobrze. Słaby horror urwie się tak szybko, jak się zaczął, zaraz wyjdziemy na klatkę, następnie na ulicę, ulicą pójdziemy do miasta zjeść jakiś dobry obiad, a potem wybierzemy się na kawę na Kazimierz, a po tej kawie zostaniemy na Kazimierzu i będziemy chlać do nieprzytomności nieważne, w jakim lokalu, ważne, że potem

będziemy mieli trzydniowego kaca. W tym czasie zupełnie uwalona zadzwonię kilka razy do mojej córki. Potem spakuję się i pojadę do niej do Warszawy.

Już za chwilę wszystko będzie w porządku.

Jacek odwraca się w prawo i biegnie przed siebie, przecina przejście dla pieszych, biegnie wzdłuż Parku Krakowskiego, przez chwilę jeszcze widzimy go, jak wymija ludzi na przystanku, ale zaraz przeskakuje przez murek oddzielający chodnik od parku i zupełnie znika nam z oczu.

Mniej więcej dziesięć godzin później, kiedy już zrewidowaliśmy całe mieszkanie w poszukiwaniu kamer, wciąż go nie ma.

W telewizji kończy się *Płonący wieżowiec*. Z Weroniką i Anką siedzimy bez słowa na mojej kanapie. Cały czas pijemy wodę, ale mimo to mamy zupełnie suche usta. Ściany są zimne, ale jest mi tak gorąco, że najchętniej zdjęłabym z siebie skórę. Anka i Weronika siedzą opatulone kocami, grzejąc się dodatkowo skulonymi na ich brzuchach kotami. Robert cały czas leży w pokoju Jacka i wychodzi stamtąd jedynie, żeby się odlać.

– Sebastian, zabarykaduj dokładnie drzwi – mówi Iga. – Musimy się trochę przespać.

– Przespać? – Propozycja Igi jest równie absurdalna jak wypicie skrzynki szampana. – Teraz? A Jacek?

– Poczekaj na niego, Sebastian. Ja muszę spać – prosi.

Sebastian kiwa głową, a potem wraca do tego, czym zajmował się przez ostatnią godzinę – ostrzenia wszystkich kuchennych noży na starym, skórzanym pasku.

Zmieniam kanał. Na Polsacie przez śnieg i szum przebija się *Obcy 2*, ale to, co leci, jest bez znaczenia, w telewizji mógłby być nawet sam szum; po prostu muszę na coś patrzeć, na coś, co się porusza, na zbiór dynamicznych punktów.

– A ty, Weronika? Nie chcesz? – pyta Iga i wyciąga w stronę Weroniki zawartość zaciśniętej dłoni, w której są cztery przepołowione tabletki xanaxu.

Weronika kręci głową.

– Mówiłaś, że musimy być przytomni – przypominam jej.

– Już dawno nie jesteśmy. – Wzrusza ramionami. – A ja muszę iść spać. Muszę.

Ma rację. Pragnę snu jak niczego innego na świecie. Powiedziałam jej, że spałam, ale tak naprawdę to nie był sen, ale podziurawiony pobudkami letarg.

– Ty też weź pół, stara. – Iga próbuje się uśmiechnąć. – Będzie dobrze. Gdy się obudzisz, Jacek już tu będzie.

Próbuję się do niej uśmiechnąć, a potem bez popijania połykam tabletkę. Gdy się obudzę, Jacek już tu będzie.

*

Ja i ojciec Eli poszliśmy na kolację. Świętowaliśmy moje sukcesy w tworzeniu sztucznych ran i rozpoczęcie produkcji *Pięciu dni cool-mena*, które w założeniu producenta miały być hitem nie tylko w Polsce, ale nawet w Kanadzie, w RPA i na Jowiszu. Ojciec Eli nie mógł usiedzieć w miejscu, wiercił się na krześle jak mały chłopiec przed nowym playstation. Naprawdę szczerze i z całego serca wierzyłam w jego sukces. Nie interesował mnie film, interesował mnie on.

Chciałam, aby we własnym mniemaniu zamienił się w dorosłą osobę. Chciałam, aby zarobił tyle pieniędzy, by w końcu zrealizować film o niebieskim korytarzu. W krótkich chwilach pomiędzy jego karabinowymi monologami o świetlanej przyszłości a kolejnymi karafkami wytrawnego stołowego to, że ojciec Eli był ze mną, miało jeszcze jeden drobny sens, inny niż ten, że Ela ma ojca.

Nie kochałam ojca Eli. Nie miałam z nim żadnej bliższej więzi. Obserwowałam go z boku, studiowałam jak obcą osobę. Zastanawiałam się, co wtedy we mnie wstąpiło, aby wyjść z nim z klubu, i co powiedziało mi, aby z nim być? Ale teraz było za późno, teraz mieliśmy córkę, teraz on nie dawał mi żadnych racjonalnych powodów do zakończenia współpracy poza moimi uczuciami. Wierząc więc w to, że jedyne, co robią uczucia, to wszystko psują, że nie należy zwracać na nie większej uwagi, po prostu chciałam, żebyśmy byli razem, i chciałam, aby to działało.

– Wiadomo, że to komercyjny film. Bardzo komercyjny – mówił ojciec Eli, jakby się tłumaczył. – Ale będzie hitem. Producent przewiduje, że do kin pójdzie jakieś półtora miliona. I wtedy wiesz. Będę miał wolną rękę. Będę mógł...

„Niebieski pokój. Postać, światło. Wrzeszczenie" – to były ostatnie rzeczy, o których chciałam pamiętać.

– Mam już scenariusz. Nazywa się *Zatrzymana*. – Nachylił się przez stolik i strącając na podłogę karafkę z winem, pocałował mnie w policzek.

– Chciałabym przeczytać – skłamałam.

– Dam ci następną wersję. – Starał się tajemniczo uśmiechnąć i nawet mu się to udało.

Pamiętam, że gdy przyszliśmy do domu, uprawialiśmy seks, i pamiętam, że lubiłam polskiego Lyncha, gdy zasypiałam.

Rano zrobił nam śniadanie, którego nie dało się zjeść, bo przypalał nawet herbatę, ale wciąż go lubiłam.

Ela, po prostu – to wszystko musiało skończyć się Elą.

I lubiłam go, dopóki trwały zdjęcia do filmu. Następne pół roku było jak sos beszamelowy o ciepłej i gładkiej konsystencji. Było bezpiecznie i spokojnie. Wszystko działało. Ela chodziła do szkoły. Odrabialiśmy z nią lekcje. Chodziliśmy do znajomych. Organizowaliśmy rodzinne obiady.

Tak było do momentu, gdy po dwóch tygodniach od premiery *Pięciu dni cool-mena* film zszedł z ekranów kinowych. Akurat wróciłam po dwunastu godzinach charakteryzowania jeńców wojennych na planie serialu o Westerplatte i doczyszczałam naczynie żaroodporne po perfidnie przypalonej zapiekance, kiedy ojciec Eli zadzwonił do producenta i zapytał:

– O co chodzi, dlaczego już go nie grają?

– Bo zobaczyło go jakieś dziewięćset osób – usłyszał głos po drugiej stronie słuchawki. – Bo wszędzie w gazetach piszą, że to gówno, i kropka. W każdej jednej. Otwórz sobie.

– I co teraz? – zapytał ojciec Eli głosem spanikowanego dowódcy, który wysłał swój batalion na pewną śmierć, a teraz musi zdać raport przed generałem.

– I co teraz? Teraz to jest tyle, że wjebałem trzy bańki, bo nie potrafiłeś mi nakręcić, kurwa, filmu – powiedział producent, otyły, wiecznie bekający facet, który zawsze, gdy go widziałam, miał na ręku małego, wygłodzonego pekińczyka. – I trochę mi teraz przykro.

Ojciec Eli zastygł.

– To ty mnie w to wpierdoliłeś – oznajmił ojciec Eli tonem, który słyszałam u niego pierwszy raz w życiu, chłodnym i zimnym. – Ja chciałem robić swoje rzeczy.

– To idź gdzieś i sobie rób – odparł producent.

– Byliśmy umówieni – powiedział ojciec Eli.

– Nie byliśmy umówieni na to, że stracę trzy miliony – odpowiedział producent.

Odłożył słuchawkę i usiadł na krześle, po czym, tak jak widział to w kilkudziesięciu filmach, schował twarz w dłoniach. Otarłam czoło dłonią w gumowej rękawicy.

– Ten film naprawdę się nie udał – stwierdził i wzruszając ramionami jak w filmie, dodał: – To był błąd. Zrobiłem błąd.

– Nie zrobiłeś żadnego błędu. Dobrze wykonałeś swoją pracę – pocieszałam.

– To był błąd, że ją w ogóle, kurwa, zacząłem – powiedział ojciec Eli.

– Po prostu musisz robić swoje, kochanie – dodałam i z całą czułością, jaką w sobie miałam, położyłam mu dłoń w gumowej rękawicy na głowie.

Ojciec Eli się popłakał, a ja w końcu uświadomiłam sobie, że mam dwoje dzieci.

Próbował jeszcze składać wszelakie podania i dokumenty o dofinansowanie filmu. Wysłał scenariusz do różnych wypłacających pieniądze komisji i instytutów. Tygodniami, które spędzał na podrygiwaniu w fotelu i kompulsywnym sprawdzaniu e-maili, trzymano go w niepewności. W końcu zadzwonił do niego kolega ze szkoły, któremu z kolei udało się odnieść jakiś sukces w postaci dwóch nakręconych w IKEA komedii romantycznych z tytułami w rodzaju *Życie jak ciastko* albo *Kochać do wariactwa*. Kolega dostał do przeczytania scenariusz o korytarzu i krzyku, i niebieskim świetle i wcale go nie zachwyciło, że to właśnie on musi być tym dobrym, dającym rady kolegą.

– Słuchaj, stary, ja bym się na twoim miejscu uspokoił. To jest, takie, wiesz, no, to znaczy, hm, ja bym to, wiesz, nie obraź się, kurwa, hm, ale jak to mówią, wiesz, hm, gadałem z Dawidem na bankiecie, to za duże ryzyko jest, hm, no wiesz, ja bym to, kurwa, no, dopracował – powiedział i dodał: – Wiesz, nawet jak ci się uda, to pamiętaj, że teraz jesteś dobrym

wyrobnikiem, okej, ten *cool-men* to wiesz, ale to wina tego producenta, wszyscy o tym wiedzą, stary. A teraz to będzie twoja wina.

– Może ja to komuś dam do przerobienia? – zapytał ojciec Eli.

– Wiesz, kurwa, jest już jeden Lynch, i to on jest Lynchem – odpowiedział kolega ojca Eli.

Tak więc gdy kocha się kogoś, kto właśnie poniósł wielką porażkę, być może jedną z większych porażek w swoim życiu, kładzie się go do pozycji horyzontalnej, pije się z nim alkohol, przyciska się do siebie, powtarzając w kółko, że to wcale nieprawda, że jeszcze dostanie swoją szansę i że wszystko będzie dobrze. A ja nie mogłam nawet na niego patrzeć. Czułam się z tym potwornie, bo byłam zła. Ale nie mogłam patrzeć na to, jak błaga o wsparcie, jak zasmarkany snuje się po kuchni, jak na znak swojej wielkiej porażki zaczyna dzień od butelki wina. Brzydziłam się go, jakby był pokryty pleśnią. Co więcej, trochę brzydziłam się siebie.

Wzięłam Elę do samochodu, pojechałyśmy do lasu, cały dzień piłyśmy gazowane świństwa, jadłyśmy dziesięć rodzajów ciastek, próbowałyśmy bez skutku puścić latawiec oraz przygarnąć bezpańskiego kota o rozmiarach zabawkowej spycharki, również bez skutku. Potem pojechałyśmy do pizzerii z plastikowymi krzesłami i roślinami, w której serwowano placki o wielkości małej łazienki i grubości starego śpiwora.

Tymczasem ojciec Eli pił. Mówiłam już o butelce wina na śniadanie. Stało się to pewnym rytuałem. To znaczy, pił zawsze, ale gdy okazało się, że nigdy nie wydostanie się z serialu *Warszawiacy*, reklamówek Biedronki i teleturnieju *Europejski omnibus*, że jego uprawiana od dziesięciu lat tymczasowa praca jest jak najbardziej dożywotnia, że i jego nazwisko nigdy nie znajdzie się w grubej książce z wybitymi na grzbiecie literami *Wielcy reżyserzy*, jego alkoholowe hobby wrzuciło wyższy bieg.

Ojciec Eli stał się pijakiem.

To nie tak, że zaczął nagle robić w domu samotne konkursy rzutu zastawą stołową, skakać na nas z łapami, próbować o czwartej rano sforsować otwarte drzwi siekierą albo samochodem bramę wjazdową na strzeżone osiedle. Nastąpiło coś innego. Zatapiał szklany wzrok

w telewizorze albo monitorze komputera, pijąc małymi łykami wódkę z lodem. Lekka zgaga, którą zawsze miał po piciu czystej wódki, minęła mu po paru dniach. Rozsmakował się.

Stał się wyłączony, nieobecny i rozpity, spędzał tak całe dni, chyba że musiał wychodzić na zdjęcia; o trzeciej, czwartej w nocy walił się na łóżko albo zasypiał w fotelu. Nie wrzeszczał, nic nie mówił, przestał się odzywać, przestał reagować.

Dzwonił jedynie do matki. Albo do kumpli, których w ogóle nie znałam. Wracał nad ranem, padał na łóżko w ubraniu, więc zrzucałam go na podłogę i przykrywałam kocem.

Gdy próbowałam z nim o tym porozmawiać, machał ręką. Gdy zaproponowałam pójście na terapię, wydarł się na mnie. Więc zaproponowałam redukcję albo ograniczenie. Odparł, że wie, ile może, i pije tyle, ile może, i żebym się od niego łaskawie odpierdoliła, bo coś musi dawać mu wsparcie, skoro ja nie potrafię.

– Ja muszę robić tutaj dom – odpowiedziałam chłodno.

– Nikt ci nie każe – odparował, chwytając się fotela, trochę z braku równowagi, a trochę ze zdziwienia własną bezczelnością.

Mogłam dać mu w mordę, ale zostawiłam go w spokoju.

To była klasyczna historia, która rozgrywa się w dziesiątkach polskich domów.

Z biegiem czasu odgłos otwieranych przez niego drzwi coraz bardziej przypominał w moich uszach powolne przeciąganie kawałkiem styropianu po szybie. Coraz częściej, gdy musiałam do niego cokolwiek powiedzieć, nawet jeśli były tak proste komunikaty jak „wstań”, „przesuń się”, „zrobiłam obiad”, w moich ustach pojawiało się pół szklanki niewidzialnej bułki tartej.

Najpierw w niektóre noce, potem w co drugą noc, a potem codziennie, leżąc obok niego pod jedną kołdrą, musiałam się upewniać, czy aby na pewno żadna część mojego ciała nie dotyka żadnej części jego ciała. Dowiedziałam się, że koleżanka ojca Eli, makijażystka, której zawdzięczałam moją pracę, była przez niego radośnie posuwana podczas

dni zdjęciowych do reklamy kosmetyków na Teneryfie. Potraktowałam to obojętnie i nie miałam mu tego za złe. Już nie miałam najmniejszej ochoty, aby nawet oddychał w moim kierunku. Kupiłam własną kołdrę.

Gdy ojciec Eli zaczął pić, przestał udawać męża, a ja jego żonę. Krótko mówiąc, przestaliśmy udawać rodzinę. Gdy ojciec Eli uświadomił sobie, że całe życie żył w złudnym przekonaniu o własnej wartości, przestał się starać. Przestał robić cokolwiek. Raz na jakiś czas wychodził do pracy, ale zdarzało się to coraz rzadziej. Nie otwierał drzwi nawet listonoszowi. Był wyłączony, nieprzytomny, obcy i potwornie żałosny, tak żałosny, że nawet nie miałam siły na niego nawrzeszczeć.

On był pewien, że już nic więcej go nie spotka. Ja zaczynałam być pewna, że nic więcej nie spotka nas.

Poza tym przez dziewięć lat, od kiedy do niego wróciłam, miałam nadzieję, że stanie się w końcu silnym człowiekiem. Potrafił udawać silnego całkiem nieźle, śmiejąc się w momentach jakichś drobnych niepowodzeń i chwilowych zastojów, obracać w żart czyjeś podśmiechujki czy nawet jeden raz dając w mordę jakiemuś, co prawda dość wątłemu, operatorowi, który złapał mnie za tyłek. Ale nie można liczyć na to, że ludzie się zmieniają. Mój mąż zaszył się w pokoju, bezgłośnie płacząc, spał w ubraniu, zaniedbał zupełnie swoją rodzinę wyłącznie dlatego, że ktoś uniemożliwił mu nakręcenie filmu o drącej się w korytarzu babie.

To było o wiele gorsze od głupiego wydymania jakiejś idiotki; zresztą pewnej nocy znalazłam za regałem jego scenariusz. Przeczytałam dwadzieścia stron i włożyłam z powrotem.

Byłam szczęśliwa, że go nie zrealizował.

Kontynuowanie imprezy nie miało sensu. Ojciec Eli praktycznie się do mnie nie odzywał. Spędzałam życie w ładnym, dużym mieszkaniu z młodą córką i obcym pijakiem. Aby popakować swoje rzeczy w kartony, aby się przemeldować, pojechać do Krakowa, spotkać z notariuszem, aby uzgodnić wszystkie formalności, potrzebowałam dwóch tygodni. Te dwa tygodnie minęły na wrzaskach oznajmiających mi, że jestem podłą, pozbawioną serca kobietą lekkich obyczajów.

– Ja przez ostatnie dziewięć lat też kilka razy potrzebowałam wsparcia – odpowiadałam cicho, sucho i krótko.

– Kocham cię. – Zaczynał smarkać i płakać jak stara baba. Nawet nie patrzyłam w jego kierunku. – Jesteś sensem mojego życia – zakwilił, aż zatkałam uszy.

– Proszę cię – powiedziałam. – Zrozum. Ty jesteś bezsensem mojego życia.

– Przestanę pić. Masz rację. Pójdę się leczyć – mówił.

– To dobrze, dobrze dla ciebie, ale jeśli chodzi o nas, to nic nie zmieni – odpowiadałam.

– Jesteś podła, jesteś kurwą! – wrzeszczał.

– Uspokój się, godność, najważniejsza jest godność – próbowałam mu przypomnieć.

Gdy ojciec Eli przestał wrzeszczeć i kwilić, i przykrył się na powrót wódką, zaczęły się telefony od jego matki.

– Nawet nie próbuj zabierać Eli ze sobą – mówiła moja teściowa i były to najdłuższe zdania, jakie kiedykolwiek skierowała w moją stronę. – My wiemy, jaka jesteś. Zabierzemy ci ją od razu. Jesteś narkomanką, pijaczką. Jesteś wariatką. Ty myślisz, że ja nie wiem. Ale ja wiem.

– Prawo w Polsce jest po stronie matki. – To jedno zdanie zdołałam przecisnąć przez ścianę, którą postawiłam przed wszystkimi kłębiącymi się w moich ustach wrzaskami i bluzgami.

– W naszej rodzinie prawo jest po naszej stronie – odparła moja teściowa – bo nasza rodzina jest po stronie prawa.

Ojciec ojca Eli znał wszystkich i umiał dokonać cudów, jakby miał pod palcami magiczne przyciski przyśpieszania i cofania czasu; za pomocą swojej książki telefonicznej potrafił przywrócić odebrane prawa jazdy, zajęte przez komornika nieruchomości, wyprowadzać z aresztów. Sam specjalizował się w alimentach.

– Wylądujesz w psychiatryku i nigdy jej nie zobaczysz – powiedziała matka ojca Eli – więc uważaj. Ela zostaje przy ojcu. Ty rób sobie, co chcesz. Nas nie interesuje, co się z tobą stanie. Okręciłaś go sobie wokół palca,

wrobiłaś go w dziecko. Jak pójdziesz do sądu, już nigdy nie zobaczysz Eli. Spróbuj jeszcze raz powtórzyć ten numer, który zrobiłaś wtedy. Spróbuj, naprawdę. Spróbuj.

Nie przerywałam jej. Lubiła gadać. Miała naprawdę wielki talent do głośnego, długiego mówienia. Jak Hitler.

– To przez ciebie jest cała ta sytuacja z tym filmem – kontynuowała. – Jak on mógł, biedny, zrobić coś sensownego, będąc z takim potworem jak ty. To przecież niemożliwe. Ja wiem, jak było. Miał wszystko na głowie, dom, dziecko, przecież ty nic nie robiłaś, w ogóle niczym się nie zajmowałaś. Nigdy nie byłaś dla niego wsparciem. Dla nas to dobrze, że ty w końcu odchodzisz. Kiedy wpuścił cię z powrotem, to wtedy był najgorszy dzień dla mnie, ja się modliłam, żeby tego nie robił. – A potem zaczęła płakać. – Jak ty możesz to robić mojemu synkowi? – jęczała. – Jak ty możesz sprawiać, żeby on tak cierpiał?

– Skończ – poprosiłam.

– Zabierzemy ci małą, tak jak zabraliśmy ci ją wtedy – powiedziała.

– Skończ – poprosiłam znowu. – Skończ już, do kurwy nędzy.

– Zabierz dziecko ze sobą, a zniszczymy ci życie. Naprawdę. Niejednego już to spotkało. Nawet nie wiesz, co my możemy zrobić. Zabiorą ci wszystkie prawa rodzicielskie. Ubezwłasnowolnią cię. Ty myślisz, że takie sprawy się nie dzieją – wyrzuciła z siebie, długo i głośno, a potem dodała ciszej: – Ja wiedziałam od samego początku, że jedyne, co możesz mu dać, to cierpienie.

– Do widzenia – pożegnałam się i rozłączyłam, a następnie rzuciłam telefonem o ścianę. Wiedziałam, że ta kobieta jest zdolna do wszystkiego, co mówi.

– Będziemy razem niedługo – pocieszałam córkę, gdy leżała na łóżku, a ja wyjmowałam z napędu *Mamma mia* i rozpieprzając po całej podłodze płyty DVD, szukałam *Dziennika Bridget Jones*. Moja córka skinęła głową. Przyniosłam jej jeszcze trochę lodów. – Muszę wyjechać – powiedziałam chyba setny raz tego wieczoru, jak zwykle bardziej do siebie niż do niej. –

Wiesz, że jak pojedziesz ze mną teraz, to babcia przyjedzie po ciebie i już nigdy więcej się nie zobaczymy.

– To mówiłam ci, mamo, proszę cię, zróbmy to, ucieknijmy gdziekolwiek. – Zapłakana taplała łyżeczką w pudle z lodami.

– Zrobimy tak, ale muszę to przygotować. To jest plan, który musimy mieć razem, we dwie. To musi być nasz supertajny, wspólny plan, okej? – Pocałowałam ją w czoło.

Ela pokiwała głową. Nie mogłam jej powiedzieć, że babcia już raz mi ją zabrała, ani postraszyć jej tym, że zrobi to znowu, a wtedy najprawdopodobniej już nigdy jej nie zobaczę. To mogłoby sprawić, że Ela zrobi coś pochopnego. To mogłoby zepsuć mi plan.

– Mamy razem żyć – mówiłam dalej z ogromną trudnością, jakbym pluła żyletkami. – Zostaniesz na razie z tatą. Będziesz codziennie do mnie dzwonić i opowiadać, co tata robi, jak tam w szkole, jak się czujesz. Będziesz grzeczna dla taty i dla babci. Od czasu do czasu przyjadę na weekend i będziemy spędzać razem czas.

– A potem? – zapytała moja córka.

– Potem, potem pojedziemy do Krakowa i już zostaniemy tam na zawsze albo w ogóle pojedziemy gdzie indziej – powiedziałam.

Im dłużej mówiłam, tym bardziej rozumiałam, że daję jej słowo.

Słowo, którego nie mogę złamać.

– Ale czemu tak daleko, czemu do Krakowa, a nie po prostu do innej dzielnicy? – zapytała moja córka.

– Bo mam tam supermieszkanie. I będziemy w nim niedługo razem mieszkać. – Z powrotem położyłam się na łóżku i wpakowałam sobie do ust łyżkę już trochę ciepłej czekoladowej brei.

– To mieszkanie po babci? – Przysunęła się do mnie.

– Tak, to mieszkanie po babci. W ogóle ma niesamowitą historię. Jak chcesz, mogę ci ją opowiedzieć. Trochę straszną.

– Co? – Moja córka się podniosła.

– Tak, trochę straszną. – Uśmiechnęłam się i podrapałam ją po głowie. – No, wydarzyło się w nim kiedyś coś bardzo dziwnego.

Moja córka zamieniła się w słuch, chociaż była czwarta rano, a ja miałam wsiąść do pociągu, który odjeżdżał trzy godziny później. Chciałam, abyśmy w końcu przestały beczeć jak dwie zarzynane kozy, więc zaczęłam jej opowiadać to, co opowiedziała mi prawniczka i zaprzyjaźniona z nią agentka nieruchomości. Zaczęłam jej mówić tę dziwną i śmieszną historyjkę mojego mieszkania, do którego miałam się jutro wprowadzić.

I w końcu moja córka przestała płakać.

*

Gdy otwieram oczy, za oknem jest ciemno. „To xanax – myślę – przespałam cały dzień". Pierwsze pytanie, które wyświetla mi się w głowie wyraźnie i głośno jak reklama w kinie, brzmi: gdzie jest Jacek? W ułamkach sekund przychodzą następne. Czy przyszedł? Kiedy przyszedł? Czy jesteśmy dalej zamknięci? Dlaczego nikt mnie nie obudził, jeśli przyszedł? Jeśli nie przyszedł, to gdzie jest?

Przecieram oczy. Czuję się jak wybudzona z narkozy. W mieszkaniu jest zupełnie cicho. Podnoszę się z łóżka i podchodzę do okna. Zapalam lampkę. Moje serce spada do żołądka i w ułamku sekundy wraca do gardła.

– Iga! – wrzeszczę. – Iga! Iga!

Iga, i nie tylko ona, zrywa się z łóżka i pędzi do mojego pokoju.

– Co jest? – pyta. – Co się stało? Dlaczego jest tak ciemno?

– Zamurowali okna – mówię cicho, powoli, jakbym sama w to nie wierzyła.

– Jak? Co? Zamurowali? – pyta Iga.

– Nie mam pojęcia – nadal mówię cicho. – Nie mam pojęcia.

Zamiast Parku Krakowskiego, alei, zamiast widniejących naprzeciwko drzew w oknach tkwią proste rzędy białych cegieł. Uderzam się w twarz, raz, drugi i trzeci. Modlę się, aby był to sen w śnie, abym zaraz się obudziła. Mogę być wciąż zamknięta w Instytucie, ale z otwartymi oknami. Uderzam się po raz czwarty, piąty, mocno. Cegły nie znikają, są wciąż w oknach, białe, oddzielone pasami szarej zaprawy.

Przez krótki moment proste, szare pasy zaprawy zaczynają tańczyć mi w oczach. Gdy zamykam oczy i otwieram je z powrotem, są znowu proste.

Przez bardzo krótką chwilę chce mi się śmiać. Powstrzymuję się w ostatnim momencie. Dlatego mocno gryzę się w język.

– Ja nie rozumiem, jak to nas nie obudziło, ja nie rozumiem, jak to zrobili, przecież musieli wjechać tutaj na jakiejś, nie wiem, kurwa, platformie, ja nie rozumiem – mówi Iga. Nie wie, co zrobić z rękami. Bez

przerwy dotyka swojej twarzy albo kompulsywnie szuka czegoś po kieszeniach. W końcu podchodzi do Sebastiana i kilka razy uderza go w ramię i w nogę. Sebastian najpierw nie reaguje, aż w końcu ją odpycha. Łapię Igę za rękę.

– Zasnąłem na chwilę, kurwa mać! – wrzeszczy.

– Zasnąłeś? Zasnąłeś!? – podnosi głos Iga. – Jak to zasnąłeś?

– Tak jak wy zasnęłyście, boście się, kurwa, naćpały! – odkrzykuje Sebastian.

– Też wziąłeś tabletki!? – krzyczy głośniej z każdym słowem Iga.

– Przestańcie się drzeć! Przestańcie, kurwa, drzeć te mordy! – teraz i ja się drę. Milkną na chwilę. Wychodzę z mojego pokoju i po kolei oglądam całe mieszkanie. Wszędzie jest to samo. W oknach są cegły. Tak jakby rzeczywiście stało się to, co sobie wyobrażałam, jakby ktoś wyrwał Instytut z tej ulicy, z tego budynku i wrzucił go w czarną próżnię, skazał go, razem z nami w środku, na nieskończony dryf.

„Może umarliśmy – myślę przez chwilę – i jesteśmy w czyśćcu. Może to jakaś forma życia pozagrobowego".

Kręci mi się w głowie. Zamykam oczy, muszę się o coś oprzeć, macam dłońmi ścianę. Opieram się o nią. Oddycham głęboko. Chyba jednak żyję, chyba nie umarłam, chyba płynie we mnie jeszcze krew; w końcu trupom nie kręci się w głowie, trupom nie tańczą przed oczami szare linie, trupy nie gryzą się w język, aby się histerycznie nie śmiać. A może się zaśmiałam, ale nikt nie zwrócił uwagi.

– Sebastian – mówię – musiałeś coś słyszeć. Musiałeś. Tego nie da się bezgłośnie zrobić.

– Ale to zrobili – odpowiada Robert, wychodząc z łazienki. Wygląda trochę lepiej niż wczoraj. Tylko trochę. Opiera się o framugę. – Pewnie weszli najpierw do mieszkania i wszystkich uśpili. – Podchodzi do zamurowanego okna, przez chwilę patrzy na cegły. – Betonowe – stwierdza, jakby to miało jakiekolwiek znaczenie.

– Jak to weszli do mieszkania? Jak to uśpili? – Pytania wypadają ze mnie same, zadaje je jakaś inna Agnieszka, schowana w moim żołądku.

– W sumie można to zrobić w parę godzin, gdy ma się wszystko przygotowane – odpowiada obok pytania.

Zauważam, że jest dziwnie spokojny, bardzo dziwnie spokojny.

– Jak to uśpili? – powtarzam, podnosząc głos.

– Nie wiesz, która jest godzina, jaki jest dzień, ile spałaś, co się dzieje – odpowiada.

Przez chwilę milczymy. Patrzę na zegarek. Pokazuje pierwszą. Nie wiem, czy pierwszą w nocy czy trzynastą.

Jestem pełna paniki, pełna lęku, jakbym połknęła mnóstwo małych, żywych zwierząt.

– Jest ich kilku – stwierdza Robert i zamyka się z powrotem w łazience.

Wracam do swojego pokoju i siadam na łóżku. Czuję bezsilność jako stan ciała. Mam wrażenie, że moje kości są miękkie i rozpuszczone, że moje mięśnie to mokre sznurki.

– Musieli widzieć Jacka – mówi Iga. – Kurwa. Musieli go widzieć. Może stali na przystanku. Widzieli, jak wychodził, i od razu zgarnęli go za rogiem. Mają go. Jezus Maria, ja chcę się stąd wydostać. Chcę jakoś wyjść. Chcę wyjść, proszę. Ja już nie chcę. Proszę. – Siada obok mnie i zaczyna gwałtownie szlochać, płacz podrywa jej ciało do góry, jakby ktoś systematycznie uderzał ją pięścią w podbródek. Pęka, ja też jestem na granicy pęknięcia, czuję, jak wszystko się ode mnie odrywa, najpierw ubrania, potem palce, stopy i dłonie, nogi i ręce, potem organy wewnętrzne: wątroba, płuca, serce, każda część mojego ciała po kolei spada w bezdenną, czarną studnię i już właśnie jako ostatnia ma spaść tam moja głowa, gdy nagle zdaję sobie z czegoś sprawę.

– Zaraz. – Rozglądam się wokół. – Zaraz, zaraz.

Do pokoju wchodzi Weronika, rozkładając ramiona. Patrzy na nas, jakby oprócz zabitych okien „Oni” zgotowali nam coś jeszcze, czego dotąd nie zauważyliśmy.

– Nie ma kotów – mówi Weronika.

– Właśnie. – Rozglądam się. – Nigdzie nie ma kotów. Zniknęły koty.

Zrywam się z łóżka. Chodzę po mieszkaniu wzdłuż i wszerz. Zaglądam do kuchni, do łazienki, do każdego pokoju. Nigdzie nie ma Czarnego i Białego. Szukam ich przez kilkanaście minut, nawołując, chociaż to idiotyzm, dzwoniąc piłkami z dzwonkiem w środku, kładąc po kątach resztki parówek. Bez skutku.

Nie ma ich, nie ma naszych kotów, ktoś je stąd zabrał.

Wracam do pokoju. Patrzę na Weronikę, proszę ją wzrokiem, żeby wyjaśniła przyczynę zniknięcia kotów, zamurowania okien, aby opowiedziała nam, dlaczego to wszystko się, kurwa, dzieje. Ale ona tylko zerka raz na mnie, raz pod swoje nogi, jakby swoimi stalowymi oczami chciała schłodzić powietrze do tego stopnia, żeby każdy się uspokoił.

– Nie ma ich – powtarza jeszcze raz, nie ruszając się ani o milimetr. – Mówiłam ci.

– Finkiel – rzucam. – Trzeba jeszcze raz zapukać do Finkiel.

– Przecież dobijaliśmy się do niej cały pierwszy wieczór. – Iga wyciera nos i twarz. – Przecież nie zareagowała. Nie ma jej, tak jak pewnie nikogo nie ma w tej kamienicy.

– Nie – odpowiadam – trzeba do niej zapukać. Koty. Ona nienawidzi naszych kotów.

– Tego nie zrobiła jedna stara kobieta – odzywa się z łazienki Robert.

– Ona nienawidzi naszych kotów – odpowiadam i resztką zdrowia psychicznego czuję, że przestaję wiedzieć, co właściwie mówię.

– To nie ona, to stara kobieta – powtarza Robert i wychodzi z łazienki.

„Jaki on jest dziwnie spokojny" – myślę. „Jaki on jest dziwnie spokojny".

Za to Sebastian w ogóle nie jest spokojny.

– Dlaczego na to wcześniej nie wpadliśmy, kurwa, przecież to ona, to ten stary kurwiszon, ta ropa, to dlatego nie otwiera?! – krzyczy Sebastian i wybiega na korytarz.

Wybiegamy za nim. Korytarz jest trochę inny i trochę krzywy. Może taki sam, ale nie potrafię tego do końca określić. Jest w nim coś innego, coś się nie zgadza. Mijamy zamkniętą kratę i windę. Stajemy przed drzwiami pani Finkiel. Pukamy. Walimy. Kopiemy. Pukamy. Zero odzewu.

– Pani Finkiel! – drę się, pukając coraz silniej.

Zero odpowiedzi. Nikt nie otwiera. Przystawiam ucho. Dźwięki zza starych, przedwojennych drzwi wejściowych łowi się długo. Trzeba zatkać jedno ucho, a drugie w całości przyssać do drewna, starając się oddychać jak najciszej. Ale zza drzwi nic nie słychać. Najmniejszego ruchu, przestawienia przedmiotu, szurnięcia.

Pani Finkiel jest naszą jedyną sąsiadką. Być może została zamknięta w swoim mieszkaniu tak samo jak my w Instytucie. Ona i jej schorowany mąż po kilku wylewach muszą wiedzieć cokolwiek o tym, co dzieje się tutaj od siedemdziesięciu dwóch godzin. Albo nam otworzy, albo przebijemy drzwi na wylot.

Z panią Finkiel mieszka również pan Finkiel, ale ten człowiek tak naprawdę jest tu zupełnie nieistotny – z tego, co wiemy, od jakiegoś czasu jego życie polegało głównie na kontemplacji sygnału kontrolnego w telewizorze albo oglądaniu złuszczonej farby na ścianie. Za to pani Finkiel miała znacznie więcej czynnych zainteresowań. Na przykład dzwonienie na policję, jeśli po dwudziestej drugiej ktoś zaczynał napuszczać wody do wanny.

– Mogły mi się przemknąć pod nogami, kiedy tarasowałem drzwi. – Sebastian rozciera zlepione oczy. – Mogłem nie zauważyć.

– Nie można ich nie zauważyć, one są wielkie jak psy – mówię, przysuwając ucho do ściany.

– No to co, wyparowały, kurwa? – Głos Sebastiana odbija się od każdego kąta klatki. – Musiały spierdolić, i tyle. Nie ma żarcia w domu, to poszły szukać. Albo ta stara kurwa porwała je na zupę, bo jej też się kończy żarcie tak jak nam.

Czarny, starszy i tłustszy, już kiedyś zniknął – wylazł z mieszkania na klatkę, po czym zawędrował aż do piwnicy. Wychodząc na podwórko, słyszeliśmy go stamtąd, jak na zmianę charczy i piszczy, nie mogąc się wydostać. Nie mieliśmy własnego klucza, więc poszłam do pani Finkiel, aby dała mi swój. Zapukałam. Po dwóch minutach otworzyła. Ze środka buchnęła kompilacja zapachów, jakby mieszkanie pani Finkiel mieściło

w sobie potajemnie kilka różnych miejsc – bar mleczny, korytarz starego szpitala, antykwariat, pracownię wypychacza zwierząt. Nigdzie nie dostrzegłam żadnych ozdób, sztucznych kwiatów, zdjęć w ramkach, obrazków. Ściany były nagie, brudne, upstrzone gdzieniegdzie tłustymi plamami. Podłogę pokrywało stare, odrapane linoleum. Z pokoju, do którego prowadził korytarz, wystawał róg kolorowego telewizora. Widziałam również dłoń, dłoń starego mężczyzny, zwisającą bezwładnie z oparcia fotela. Dłoń była nieruchoma, przez chwilę przebiegło mi przez myśl, czy pani Finkiel nie trzyma w mieszkaniu, z sobie tylko znanych powodów, zmumifikowanego trupa.

Z tego, co słyszałam, w telewizji leciał *Klan*. Dźwięk był ustawiony na maksimum; głośniki trzeszczały, głosy aktorów brzmiały, jakby mówili przez procesyjny megafon. Zmrużyłam oczy. Czegoś mi tu brakowało. Widziałam wiele mieszkań starszych kobiet, a to było w jakiś sposób niekompletne.

– Czego? – zapytała wtedy pani Finkiel, a oglądający zapewne telewizję pan Finkiel wydał z siebie gardłowe jęknięcie.

– Chciałam prosić o klucz do piwnicy – powiedziałam i odruchowo dygnęłam jak dziewczynka na szkolnej akademii. Chciałam być dla niej miła, bo jeszcze nie wiedziałam, że bycie dla niej miłą nie ma żadnego sensu.

– Po co? – zapytała pani Finkiel, nie patrząc mi w oczy, ale w usta, jakby czegoś w nich szukała. Odruchowo dotknęłam twarzy, by sprawdzić, czy czegoś tam nie ma.

– Mój kot tam wszedł – odparłam.

– Wcale nie – powiedziała pani Finkiel – i nie dam ci klucza.

Oparłam się dłonią o framugę i westchnęłam. Pani Finkiel, okutana w różowy i podarty szlafrok z kieszeniami wypełnionymi lekami zawiniętymi w foliowe torebki, cały czas obserwowała moją jamę ustną z uwagą emerytowanej dentystki. Tłuste włosy miała zlizane w skołtuniony kok, a wystające ze zmarszczonej skóry gałki oczne przewiercały mnie na wylot. Jeszcze raz zerknęłam na korytarz. Już wiem, czego mi brakowało.

Nigdzie nie było krzyży, wizerunków ani figurek Matki Boskiej, poświęconych obrazków. Na drzwiach nie było napisu K+M+B. Pani Finkiel, w przeciwieństwie do prawie wszystkich swoich polskich rówieśniczek, nie miała w domu żadnych religijnych akcesoriów. Nie było również kominiarskich kalendarzy, zdjęć w ramkach ani kryształowych waz za szkłem meblościanki.

– Dlaczego? – zapytałam, wykonując coraz większą pracę nad spokojnym oddechem. – Przecież zaraz go pani przyniosę.

– Bo nie. Bo nie dam ci nic – warknęła pani Finkiel, po czym praktycznie na bezdechu wyrzuciła z siebie: – Wynoś się stąd. Wynocha. Te wasze zasrane koty miauczą, śmierdzą, są obrzydliwe, sama bym je wyrzuciła przez okno i do tej piwnicy, aby mi tu więcej nie miauczało paskudztwo, toż nie można spać, bo aż uszy od tego bolą, wracaj tam, do tego burdelu twojego, wynoś mi się stąd.

Pamiętam, że zastygłam. W życiu natknęłam się na wystarczająco dużo zdewociałych, zdemenciałych, wrednych i głupich starych bab, aby umieć z nimi rozmawiać, ale pani Finkiel pokazywała mi, że zawsze można nauczyć się czegoś nowego. Nabrałam do płuc dobrą porcję powietrza i postarałam się jak najgrzeczniej wysyczeć zdanie:

– Proszę pani, nie musimy w ten sposób rozmawiać.

Pani Finkiel przysunęła się do mnie o dwa kroki i z całych sił, podpierając się drżącą ręką na kuli, przysunęła swoją twarz do mojej. Jej oddech miał stary, ale śmieszny i dziwnie znajomy zapach. Aby nie patrzyć jej w oczy, jeszcze raz zerknęłam na korytarz. Obok obrosłego starymi paltami wieszaka stał skórzany futerał na jakiś większy instrument smyczkowy – wiolonczelę albo kontrabas. Kalafonia. Pani Finkiel pachniała kalafonią.

– Nie zawracaj mi więcej głowy swoimi kotami ani niczym innym – powiedziała pani Finkiel. Lekko mnie popchnęła, zrobiłam dwa kroki w tył, a wtedy zatrzasnęła drzwi.

Stałam przed nimi jeszcze przez chwilę, tak jak teraz, próbując wychwycić jakieś dźwięki, ale wszystko zagłuszały przesterowane

perypetie bohaterów *Klanu*. I tak jak teraz, nie słyszałam człapania, chrząknięć, stukania kuli. Pani Finkiel musiała wiedzieć, że stoję przed drzwiami. Gdy odwróciłam się od nich, usłyszałam:

– Trzeba było zostać z córką, a nie się kurwić.

To było tak, jakby ktoś mną szarpnął i rzucił o drzwi jej mieszkania. Złapałam za klamkę. Dziękowałam później wszystkim możliwym siłom wyższym, że wcześniej starucha zatrzasnęła zamek. Gdyby tego nie zrobiła, wyrwałabym jej kulę i tłukłabym nią w jej pomarszczony łeb, aż zamieniłby się w dżem.

– Może to rzeczywiście nie ona – powiedziałam.

Nie zadałam sobie wtedy pytania, skąd ta wiedźma wie o Eli. Wydało mi się to oczywiste; przecież stare, złe kobiety wiedzą wszystko.

Teraz, z twarzą przyklejoną do starych, pokrytych złuszczoną farbą drzwi, próbuję sobie wmówić, że osiemdziesięcioletnia kobieta poruszająca się o kuli po własnym mieszkaniu nie zdołałaby zatrzasnąć kraty na klatkę, poprzecinać kabli od telefonu i internetu; powtarzam sobie w duchu: „Nie zabijaj jej od razu, gdy otworzy drzwi. Nie rób tego. Nawet jeśli to pani Finkiel otruła twoje koty. Nawet jeśli to ona, opierając się na kuli, swoim gadzim wzrokiem pilnowała zamurowywania okien".

Przystawiam z powrotem ucho do drzwi. Nic nie słychać. Patrzę na moich współlokatorów. Nie wiem, czy bardziej chcemy wyjść, czy bardziej chcemy wiedzieć, co się stało. Całe nasze życie skurczyło się do stu metrów kwadratowych – więc niech na tych stu metrach znajdzie się również wyjście z sytuacji. To byłoby sprawiedliwe i logiczne.

„Gdy otworzy drzwi, po prostu zapytaj, czy wszystko w porządku, przeproś ją, że przeszkadzasz, i zapytaj, czy nie widziała naszych kotów" – myślę.

– Niech się pani nie boi! – krzyczę, uderzając w drzwi ręką.

– Otwieraj, stara kurwo! – huczy Sebastian. Walę pięścią w jego mięsiste łapsko; łapie się za miejsce uderzenia i patrzy na mnie wzrokiem psa, którego ktoś bez powodu chlasnął smyczą przez łeb. – Agnieszka, to ona. To ten stary kurwiszon.

– Słuchajcie – odwracam się do nich – Robert ma rację. Proszę was. Ona ledwo chodzi. Ja chcę tylko zobaczyć, czy żyje, czy coś o tym wszystkim wie, czy w ogóle zdaje sobie z tego sprawę, oni potrafią przecież tygodniami nie wychodzić z domu.

– To ona. – Iga odsuwa mnie i Sebastiana sprzed drzwi i kopie w otwór do wrzucania gazet. – Kurwa, Aga, gdy to wszystko się zaczęło, ta stara ropa, ta jędza, ta stara, obsrana zaraza jakoś spakowała się i wyjechała na wakacje. Tak jak widocznie każdy w tej kamienicy.

– To ona mogła być w tej pizzerii – rzuca Sebastian. – Stara pizda.

– Ona ledwo dochodzi do sklepu na rogu. Ta pizzeria jest na początku Karmelickiej – mówi Weronika.

– Powiedzcie mi jeszcze raz – pytam, obrzucając wszystkich wzrokiem – na spokojnie: kto widział ją po raz ostatni? Zanim nas zamknęli.

Kiedy koty zniknęły po raz pierwszy, klucze do piwnicy miał sąsiad z dołu, pan Banicki – dostojnie poruszający się po mieszkaniu w polarowych dresach emerytowany neurochirurg, który jak zwykle zaprosił mnie do środka i zaproponował herbatę. Zawsze to robił, za każdym razem używając jakiejś zaimprowizowanej na poczekaniu argumentacji. Tym razem powiedział, że szukanie kluczy trochę potrwa, więc mam do wyboru – sterczeć przed jego drzwiami albo wejść do środka i „zapalić sobie papieroska".

Rozmowa jak zwykle była niezmiernie miła. Żona pana Banickiego akurat wyjechała do sanatorium, a on, jak to określił, delektował się „najświętszym ze spokojów". Szukając kluczy, robił mi wykład o mieszkających w Anglii synach, domku na Mazurach, psującym się passacie i nieuczciwym mechaniku. Wiedziałam już wszystko o nieuczciwym mechaniku. Jak zwykle pan Banicki, opowiadając to wszystko i szukając kluczy, taksował bez przerwy moją figurę, ale starał się to robić dyskretnie, był bowiem dobrze wychowanym mężczyzną. Na tyle dobrze, że zapytany o panią Finkiel po prostu odmówił dłuższego komentarza.

– Zastanawialiśmy się kiedyś z żoną, czy jej nie otruć – powiedział tylko.

Czarny piszczał i jęczał, zaklinowany swoją masą pomiędzy ścianą a starą, wyliniałą wersalką. Sebastian musiał ją wtedy odsunąć, a ja go wyjęłam, straumatyzowanego, osranego i tak głodnego, że gdy wzięłam go na ręce, momentalnie ugryzł mnie w palec. Jego miauczenie i pisk było słychać na całą kamienicę. Teraz, stojąc na korytarzu przed drzwiami pani Finkiel, nie słyszeliśmy nic.

– Widziałam ją jakoś z tydzień temu – odzywa się w końcu Weronika, nie odrywając wzroku od podłogi, jakby widziała tam coś, co wyłącznie ona potrafi zauważyć.

– I co? – pytam.

– To, co zwykle – odpowiada beznamiętnie. – Ja wchodziłam do domu, a ona kuśtykała do windy. Powiedziałam jej dzień dobry, ale nie odpowiedziała. Jak zawsze.

– Dobra. – Sebastian odpycha mnie delikatnie od drzwi i zaczyna je uważnie oglądać.

– Co chcesz zrobić? – pytam.

Jest tak skupiony, że nie słyszy pytania. Po chwili odwraca się do Igi i mówi:

– Daj mi jakąś spinkę do włosów.

– Co chcesz zrobić, Sebastian? – powtarzam pytanie.

– To, co wszyscy chcą zrobić – odpowiada, cały czas wpatrując się w dwa zamki – jeden stary, gruby, zapewne na ciężki, stalowy klucz; drugi najzwyklejszy, polski yeti. – Dowiedzieć się, co tu jest, do chuja, grane. Spinka.

– Proszę, dziękuję. – Iga podaje mu spinkę.

– Jak byłem małolatem, na Kazimierzu chodziło się na palta. – Wysuwając język, ostrożnie, ze skupieniem śmiesznie kontrastującym z jego rozmiarami i głosem Sebastian wsuwa drucik w zamek yeti. – Tak około piętnastej, w czasie obiadów. Baba gotowała obiad, chłop po robocie czytał gazetę albo kimał przed telewizorem. Otwierało się drzwi, macało się palta w przedpokoju i rura.

– Ja chyba nie chcę tam wchodzić. Chyba nie chcę – mówi cicho Weronika.

– Robiliśmy sobie różne zajebiste konkursy. – Sebastian kręci spinką w zamku na lewo i prawo, próbując wyczuć ten moment, w którym przejmie kontrolę nad zamkiem. – Inni robili palta, jeśli były otwarte drzwi. Ja robiłem też przy zamkniętych. To już był inny paragraf. Nauczył mnie niejaki Wacław. To był, kurwa, poeta. Przeleżał pół życia. Na amnestii go puścili. Opowiem wam o nim później. Obrobił więcej klawiszy, niż wy zjedliście bułek.

Nie podejrzewałabym Sebastiana o to, że jego palce mogą poruszać się i działać odrębnie. Myślałam, że mogą działać jedynie razem, zwijając się w pięść. Nie przypuszczałam też, że może być tak skupiony i skrupulatny.

– Skoro możesz otwierać te drzwi, dlaczego nie otworzysz zamka od kraty? – pytam.

– Nie ma szans. Te pręty są, kurwa, za gęsto, nie wcisnę tam ręki, poza tym nigdy w życiu takich nie otwierałem, to jakieś przedwojenne chujostwo, tego nie da się tak prosto, ty myślisz, że ja o tym nie pomyślałem… Dobra, czekajcie, jak ten duży jest zamknięty, to chuja zrobię, trzeba będzie wybijać z kopa – mówi w skupieniu, co chwilę wyrzucając na wierzch końcówkę języka. – Ale jak ten… o… jest…

Szczęk przekręcanego zamka. Gdy Sebastian otwiera drzwi, wszyscy z wrażenia przestajemy na moment oddychać.

Za drzwiami nadal biegnie ten sam korytarz, który zapamiętałam. Jest obwieszony ubraniami, pełen przeżartych przez mole palt, ortalionowych kurtek z kontenerów PCK, wkładanych do kościoła wełnianych płaszczy. Pod wieszakiem leżą sterty przeróżnych butów – rozchodzone, skajowe ciapciaki, klapki, zakładane na niepogodę relaksy. Postawiony w korytarzu wzdłuż ściany stół, na którym stoi samotna szklanka po niedopitej herbacie z dryfującą w środku torebką. Tak jak pamiętałam wcześniej, zero ozdób, zero zdjęć, zero obrazków w ramkach na ścianie, zero zawieszonych na ścianie Jezusów czy Matek Boskich. Owszem, zawiązane w foliowe torebki buteleczki z lekami i do połowy opróżnione blistry

tabletek. Owszem, ten zapach starego, z trudem konserwowanego ciała, zapach najtańszego mydła i szamponu do włosów, i lakieru loton, zapach wilgoci, zapach niedokładnie, pomimo najwyższego wysiłku, posprzątanego mieszkania. Zero pamiątek, fotografii dzieci, kalendarzy, świętych obrazków. Przemknęło mi przez głowę, że to dziwne jak na mieszkanie starych ludzi.

Wchodzimy na korytarz, zapalamy światło i zamykamy za sobą drzwi. Mieszkanie ma identyczny rozkład jak Instytut – dwa pokoje z lewej, dwa z prawej, za łazienką skręt do kuchni. Jest jego lustrzanym odbiciem. Czterdzieści lat temu Instytut musiał wyglądać identycznie.

– Pani Finkiel – odzywam się – pani Finkiel, jest pani w domu?

Odpowiada nam tylko głuche, niskie buczenie dochodzące jakby ze starego agregatu, rozlewające się gęstą falą po podłodze pomieszczenia, jakby jeden z pokoi był w całości wypełniony przez wielki, stary transformator.

– To stara lodówka. Prawdopodobnie radziecka. Moja babcia miała taką. Identyczny dźwięk – mówi Iga.

– To może ma w niej jakąś szamę. – Sebastian rusza w kierunku kuchni. – Nie wiem, czy wiecie, ale my już nie mamy żadnej.

– Poczekaj. – Łapię go za rękę. – Sprawdzimy pokoje po lewej. Iga i Weronika sprawdzą pokoje po prawej.

Robert i Anka stoją na progu mieszkania, pod drzwiami, kompletnie nieruchomi. Nie mają siły i odwagi wejść dalej, w głąb mieszkania. Rozumiem ich. Anka delikatnie się trzęsie, jej ciało wpada raz na pół minuty w dziwny, trwający chwilę rezonans. Jakby w ułamkach sekund przychodziły do niej regularne fale chłodu. Jest nieruchoma ze strachu. Nawet nie patrzy na swojego chłopaka, Roberta, z kolei ten nawet jej nie dotyka. Robert również jest nieruchomy, ale jakby sztucznie spokojny, otumaniony ciężkimi lekami.

Może to dziwne, że nie zachowujemy się tak jak oni, że jednak nadal się ruszamy, nadal szukamy, rozglądamy się, krzyczymy – ale może każde z nas ma coś jeszcze, coś, co minimalizuje strach, jakieś zewnętrzne

zaplecze, okop w środku serca. Ja mam Elę. To Ela przypomina mi, że po każdym koszmarze przychodzi pobudka. Że każdy dom, każda klatka, każda pułapka ma wejście i wyjście. Że każda sytuacja ma swój koniec. Weronika stoi obok mnie. Weronika nasłuchuje, próbuje zrosnąć się z tym mieszkaniem, z tą kamienicą, usłyszeć to coś, co według niej jest schowane w ścianach. Zacząć z tym czymś rozmawiać. Poprosić to coś o łagodność, a w zamian pomóc się wydostać, uciec – przecież to coś nie chce tu być, to coś jest tu uwięzione. Weronika mieszka w świecie duchów.

Nikt nie brał jej na poważnie, gdy wykonywała dziwne gesty nad swoim talerzem lub mówiła mi, abym o szesnastej danego dnia nie wychodziła z domu. Nie braliśmy jej na poważnie również dwa dni później, gdy skojarzyliśmy, że na placu Inwalidów jakiś nawalony kretyn wjechał stunningowanym fordem w ludzi na przejściu, jak powiedzieli w radiu, dokładnie o szesnastej dziesięć.

Uznawaliśmy Weronikę za wariatkę, gdy Iga opowiedziała jej swój sen, w którym chodziła za nią po ulicy czarno-biała postać. Czarno-biała w dosłownym sensie, niewyraźna i płaska, jakby wklejona do normalnej, kolorowej rzeczywistości ze starego filmu. „To Gucek chce z tobą porozmawiać" – mówiła Weronika.

Gucek był chłopakiem Igi z dawnych czasów, kiedy miała kilkanaście lat, była na gigancie i mieszkała na squacie z czterdziestoma innymi punkowcami. Gucek miał osiemnaście lat, palił heroinę, pisał koszmarne wiersze o nieskończenie wysokich wieżach i murach, które kończą się dopiero wraz ze wszechświatem („a każdą cegłą w murze jesteś ty"), hodował szczury, dwa, ale planował więcej, założył zespół punkowy o nazwie Ostatnia Obstrukcja Majora. Iga powiedziała Guckowi, że go kocha i że spóźnia jej się okres. Parę dni później Gucek wyskoczył z siódmego piętra, a Iga wyjechała na parę dni do Niemiec.

Nigdy nikomu nie mówiła o Gucku i o tym, co się stało. Swojej matce. Kolejnym chłopakom. Mnie. Nikomu. Zwłaszcza Weronice. Weronika była obcą osobą, współlokatorką z ogłoszenia.

Z opowieści Igi wynikało, że Gucek miał fiksację na punkcie czarno-białych filmów. Gdy oglądał kolorową telewizję, bawił się ustawieniami kontrastu tak, że obraz stawał się bezbarwny.

„Inaczej to nie ma sensu" – mówił.

Postać ze snu, którą Weronika nazwała Guckiem, była czarno-biała, chociaż wszystko inne pozostawało kolorowe.

Zdarzyła się jeszcze inna sytuacja. Jeden z poranków, nie wiadomo który, bo były ich setki, jeden z poranków, kiedy wracałam ze zmiany w Kocie z daną nam wspaniałomyślnie przez nieprzytomnego Lemona wódką, gdy siadaliśmy we czwórkę albo piątkę w kuchni i piliśmy tę wódkę sobie na złość, bo przewidywany kac mógł być za słaby, otwierając szeroko okna, aby do środka wpadły wszystkie odgłosy i kolory świtu, kiedy piliśmy ją do momentu, aż pod nami, za oknem, na ulicy wyszykowani ludzie maszerowali do kościoła, rodzice prowadzili rozwrzeszczane dzieciaki na spacer do Parku Krakowskiego albo na Błonia, a skatowani wódką, podobnie jak my, angole powoli zwlekali się na śniadanie i pierwsze piwo na Karmelickiej.

Podczas jednego z takich poranków sztywna po dwóch drinkach, z reguły niepijąca Weronika, która mieszkała w Instytucie od jakichś dwóch tygodni, asekurując łokciami opadające na stół tułów i głowę, powiedziała:

– Tak cudownie mi się z wami mieszka. I taka szkoda, że przydarzy nam się coś niedobrego.

Szybko o tym zapomniałam, ale przypomniało mi się to dzisiaj.

– Nikogo tu nie ma – mówi Weronika. – To mieszkanie jest puste.

– To dobrze. Musimy otworzyć okna – proponuję. – Musimy otworzyć okna i po kolei zejść po sznurze. Zwiążemy te wszystkie ubrania, na pewno są tu jakieś koce, na pewno...

– Chyba jest noc – przerywa mi Iga. – Moim zdaniem jest noc.

– Idziemy dalej? – pytam. – Czy stoimy w korytarzu?

– Skąd wiesz, że nikogo tu nie ma? – Iga odwraca się w stronę Weroniki.

– Wiem – odpowiada Weronika.

– My zostaniemy przy drzwiach – mówi Robert, po raz pierwszy na moich oczach obejmując Ankę. Ta, nie zmieniając wyrazu twarzy, bezgłośnie kiwa głową.

Sebastian już rusza do przodu. Robert odwraca się i zamyka drzwi od wewnątrz na zamek.

– Anka się boi – dodaje i w końcu mocno przyciska do siebie swoją dziewczynę; ona w reakcji tylko zamyka oczy, z których spływają dwie wielkie łzy.

Kiwam do nich głową i macham ręką do Weroniki; wchodzimy do pokoju po lewej – w bliźniaczym pokoju w Instytucie mieszkał Rumun. Zapalamy światło. Nikogo nie ma w środku. To niewielki pokój, przestrzeń życiowa ma powierzchnię raptem kilku metrów.

Okno, tak samo jak w Instytucie, jest zamurowane.

– Nie – szepczę, dotykając cegieł – nie. Kurwa, nie.

Ale nie mogło być inaczej. Nie mogliśmy sobie tak po prostu wyjść, wejść do mieszkania obok i uciec, gdy „Oni" zadali sobie tyle trudu.

W pokoju nie można nawet rozprostować rąk – z jednej strony jest gruba, zajmująca całą ścianę zbita z dykty meblościanka, właściwie zupełnie pusta. Oprócz kurzu jest w niej jedynie wystawka kilkunastu przyklejonych od wewnątrz szybki zdjęć.

Zdjęcia są czarno-białe, pozowane, z nieruchomymi, czarno-białymi figurami wpatrzonymi w dłoń fotografa z zabawną dostojnością i kłopotliwym zmieszaniem jednocześnie; w czerni i bieli wyblakłych konfiguracji widać starców, dzieci, młode dziewczyny, upiększone tapirowanymi włosami i przyciężkawym makijażem, stojące na tle drzew i rozpadających się płotów. Przysuwam twarz do zdjęć, próbując odgadnąć, która z nich to pani Finkiel, ale Weronika odsuwa mnie od gabloty, pokazuje drzwi i mówi:

– Chodźmy dalej. Chodź.

Przechodzimy do drugiego pokoju. Większego, też ciemnego. Też z zamurowanym oknem. Po prawej stronie pomieszczenia jest

pozbawiony posłania, zniszczony tapczan; obok stoi zamknięta szafa; wsuwam dłoń między szafę a ścianę, macam kontakt i włączam światło.

Całą ścianę nad łóżkiem pokrywa malowidło. Obraz jest wielki i paskudny; ktoś, kto go robił, starał się z całych sił, pomimo zupełnej nieznajomości proporcji, oddać jego istotę, czyli mężczyznę na koniu. A właściwie kontur mężczyzny na koniu, namalowany teraz burośliwkową farbą o niemożliwej do odszyfrowania oryginalnej barwie, mężczyzny, który ma na głowie rogi albo hełm z rogami, który przystawia sobie do oka podłużny, trudny do zidentyfikowania przedmiot, w drugiej dłoni trzymając wagę.

– Co on trzyma? – pytam na głos sama siebie, a Weronika odpowiada:

– Lunetę.

– Poczekaj – proszę – poczekaj. – Wracam do poprzedniego pokoju.

Weronika rusza za mną.

– Co ty robisz? O co ci chodzi? – pyta.

– Poczekaj chwilę – powtarzam.

– Nie dotykaj. To nie twoje. To zły urok. Nie dotykaj – mówi.

Przyglądam się bliżej jednemu ze zdjęć. Portretowa, podmalowana fotografia mężczyzny z równo przyciętym, krótkim wąsem, kwadratową, mocną szczęką, stanowczym spojrzeniem małych oczu pod wąskimi brwiami. Klapa marynarki.

– Zobacz, Weronika. – Pokazuję wpięty w szeroką klapę znaczek na tyle spory, że nawet na tak małym zdjęciu można rozszyfrować jego kształt. – To to samo. To to samo, zobacz.

Ozdabiający marynarkę mężczyzny znaczek jest tym samym symbolem, który w tysiąckrotnie większej wersji góruje w tamtym pokoju. Jeździec na koniu z lunetą. I nagle, przez chwilę, w przebłysku déjŕ vu, wydaje mi się, że skądś go znam, że gdzieś już go widziałam. I to w tym samym miejscu, w klapie ubrania.

– Chodź – mówi Weronika. – To teraz drugorzędna sprawa. Chodź.

Kładzie mi rękę na plecach. Czuję, jak jej dłoń drży.

Kolejny pokój, drugi po prawej, to chyba sypialnia Finklów. Dwa oddzielone od siebie łóżka, nocne szafki, po stronie pani Finkiel krzyżówki i kolejne foliowe torebki pełne lekarstw, samotna srebrna łyżeczka i jakieś nieczytelne notatki, najprawdopodobniej lista zakupów, po stronie jej męża jedynie szklanka z wodą. Na szafce poustawiane kilka książek, Trylogia Sienkiewicza, encyklopedia, jakieś zmięte powieści detektywistyczne i książeczki ze starej Biblioteki Żółtego Tygrysa.

To mieszkanie jest jak grób. Zimny i brzydki. Zaczynam rozumieć, dlaczego pani Finkiel wrzeszczała na nas przez drzwi, gdy wracałyśmy rano z pracy. Żyjąc w takim miejscu, wrzeszczałabym bez przerwy.

– Niewiele tutaj jest, wam powiem – charczy Sebastian z głębi mieszkania. Idziemy szybko korytarzem, mijamy ostatni pokój, do którego jeszcze nie weszliśmy, i wpadamy tam, gdzie powinna być kuchnia. Zapalam światło; jest tak samo martwa i ascetyczna jak cała reszta pomieszczeń, pozbawiona wystroju poza jedną drewnianą szafką na naczynia, paroma krzesłami i lodówką. Na parapecie nie ma nawet śladu po żadnej roślinie. Nie ma żadnej książki kucharskiej. Wyszczerbione i liche kubki przy zlewie wyglądają na ukradzione ze stołówki dobre trzy dekady temu. Ściany są w kolorze moczowatej, wyblakłej żółci. Na tym tle Sebastian wydaje się dwa razy większy niż zwykle, wygląda jak olbrzym na tle karlich mebelków, jak nieproporcjonalny do dekoracji aktor.

– O, konserwa. Dwie konserwy. I koncentrat pomidorowy. I makaron. Będzie szamanie – mówi i ładuje zawartość lodówki do sfatygowanej reklamówki ozdobionej zdjęciem półmiska owoców cytrusowych. Bierze kolejne rzeczy do rąk, odkręca, otwiera i obwąchuje; to, co zepsute, chowa z powrotem do lodówki.

– Agnieszka, popatrz na to – słyszę za sobą szept. To Iga, która pokazuje palcem zamknięte drzwi do pierwszego pokoju po prawej, w którym pan Finkiel oglądał *Klan*, gdy byłam tu ostatnio. Każe mi podejść.

Podchodzę i patrzę. Z pokoju przez identyczne szklane prześwity na korytarz rozlewa się błękitnoblada plama światła. Dziesięć sekund temu jej nie było. Coś mnie kłuje w klatce piersiowej. Wstrzymuję oddech.

– Ekran – szepcze Weronika. – Ktoś włączył telewizor – dodaje.

Sebastian wybiega na korytarz. Podchodzi do drzwi pierwszego pokoju po lewej. Naciska klamkę. Idę za nim. Drzwi do pokoju mają szklane, wzorzyste szyby. Poza nimi widać tylko niebieskie, blade światło, zimne jak lód.

– Zamknięte od środka – mówi. – Mam wyjebać te drzwi w pizdu?

„Tak, Sebastian, zrób to, wyjeb te drzwi w pizdu" – chcę to powiedzieć, a następnie wejść do środka tego pokoju, zobaczyć, skąd pochodzi ten niebieski blask, zobaczyć to i zniszczyć, ale nagle zapominam o tym, co może być w środku tego pokoju, nie mówię nic, bo gdy odwracam się w lewo, chcąc zapytać Roberta, jak się czuje Anka, to orientuję się, że przy drzwiach wejściowych do mieszkania nikogo nie ma.

Ani Roberta, ani Anki, ani nikogo innego.

– Robert?! – krzyczę – Anka?!

Zaglądam do każdego z pokojów oprócz tego zamkniętego, świecącego na niebiesko, a Sebastian rzuca popakowaną zawartość lodówki i dobiega do drzwi wejściowych. Naciska klamkę.

– Są zamknięte – mówi. – Ktoś zamknął na drugi zamek z tamtej strony.

Iga i Weronika wychodzą na korytarz z kuchni. Drzwi od pokoju z telewizorem są cały czas zamknięte, niebieskoszara łuna zalewa pusty korytarz.

– Co? – pytam.

– Są zamknięte – powtarza, szarpiąc za klamkę ze wszystkich sił.

– Finkiel, ty kurwo! – krzyczy Iga.

Podbiegam do drzwi, również próbuję je otworzyć, ale jakby ktoś zaparł się o nie nogami od zewnątrz i je zabarykadował. Sebastian podbiega do mnie, szarpiemy przez chwilę razem, po chwili daje znak ręką, abym się odsunęła, i kopie w drzwi z całym impetem, ale jedyne, co w ten sposób uzyskuje, to wgniecenie w obiciu z tapicerki z brązowej skóry.

Ktoś, być może Robert, być może Anka, a być może ktoś zupełnie inny, zamknął nas w mieszkaniu pani Finkiel.

– Otwierać! Otwieraj, pizdo! – wrzeszczy Iga. Ale to nic nie daje.

Po chwili coś słychać zza drzwi. Kroki. Szuranie. Metaliczny klekot, następnie dalekie, przytłumione wkładanie klucza do zamka po drugiej stronie korytarza i jego przekręcanie, trzaśnięcie, a potem, po jakichś dwóch sekundach, cichnące, stłumione kroki w dół, jakby ktoś założył sobie na buty wełniane papcie.

Ktoś otworzył kluczem drzwi do Instytutu.

Ktoś wszedł do środka.

Zaczynamy szarpać i kopać z całych sił. Sebastian cofa się do kuchni. Słychać hałas spadających na podłogę sztućców, trzask tłuczonych talerzy. Po chwili Sebastian wraca z dwoma nożami kuchennymi o ciężkich, drewnianych rękojeściach, jeden ściska z całych sił w garści, drugi wręcza Idze. Na klatce jest cały czas cicho.

Dajemy sobie jeszcze kilka sekund, a potem znowu zaczynamy szarpać jak najmocniej. Chcemy wyrwać drzwi z zawiasów. I wtedy, w jednej sekundzie, jakby wszystkie elementy tego mieszkania były ze sobą sprzężone, znika niebieska poświata z błękitnego pokoju, o którym zdążyliśmy zupełnie zapomnieć, a drzwi otwierają się z impetem, prawie łamiąc mi nos.

– Robert, Anka! – krzyczymy, wybiegając na pustą klatkę schodową. Iga szarpie za metalową kratę. Jest zamknięta tak samo, jak była. Zaczynam gwałtownie naciskać guzik windy. Nic się nie dzieje. Roberta i Anki nigdzie nie ma.

– Wracamy do Instytutu – mówi Iga. – Umiesz to z powrotem zamknąć?

– Po chuj? – Sebastian wzrusza ramionami, po czym odwraca się i znika na chwilę w mieszkaniu pani Finkiel. Wraca ze starą, naddartą reklamówką z sitodrukiem przedstawiającym grubego świętego mikołaja otoczonego dezodorantami i dżinsami ze sklepu Baltona.

– Zamykałam drzwi – powtarzam to zdanie na głos jak mantrę na zajęciach z tai chi w rodzaju „jestem kulą światła". – Zamykałam.

Zamykałam drzwi na oba zamki, górny i dolny – na górny na gruby, stożkowy klucz, którego nie można dorobić w całym mieście, i na dolny yeti, taki jak u Finkiel. Zamykałam; powietrze wchodzi do mojego ciała

przez nos i trzy razy wolniej dostaje się do płuc, zamykałam na oba zamki, sprawdzałam dwa razy, oddycham spokojnie, światła, zamykałam.

– Jesteś pewna? – pyta Iga, a ja jestem pewna. Lekko popycham drzwi dłonią. Otwierają się na całą szerokość.

Tapczan leży na drugim końcu przedpokoju, przewrócony, tak jak przewrócony jest stolik, tak jak wywalona jest kanapa w pokoju, popielniczka, a na dodatek wszystko jest pokryte warstwą ubrań, między innymi moich, okraszone posypką z podartych gazet, rachunków i zdobiących kuchnię przepisów z gazet.

Na ścianie jest napis. Wykonany olejną czerwoną farbą. Tak świeżą, że jej oleiste strumyki ściekają po ścianie do podłogi. Zatykam usta ręką, aby nie wrzasnąć. Iga i Sebastian podchodzą bliżej.

Weronika wydaje z siebie krótki, rwany, parosekundowy wrzask, jakby była przeznaczonym do wrzeszczenia urządzeniem, które ktoś na chwilę włączył i wyłączył.

Napis brzmi: MAMY SWOJE KLUCZE.

Drugi, mniejszy, jakby przypis do poprzedniego, mówi: DO NASZEGO MIESZKANIA.

– Anka! Robert! Anka! – zaczynam krzyczeć, ale nikt nie odpowiada, nie ma żadnego odgłosu, żadnego szmeru, nic.

Nagle wdeptuję w coś miękkiego, ciepłego i mokrego. Zaczynam się trząść, bo chyba wiem, co to jest. To coś miękkiego i ciepłego jest zapakowane w reklamówkę, taką samą, w której Sebastian przyniósł makaron i konserwę z mieszkania Finkiel. Odsłaniam folię i zatykam usta dłonią. Gdy patrzę, co jest w środku, przyciskam ją jeszcze mocniej. Krzyk chce się ze mnie wydostać, gwałtownie, ale gdyby to zrobił, zniszczyłby mi struny głosowe.

Iga nachyla się przez moje ramię i momentalnie odwraca wzrok.

W środku reklamówki są nasze koty, Biały i Czarny. Z wywalonymi na wierzch językami. Podzielone na części. Z metodycznie, ostro odciętymi od tułowia łapami, głowami i ogonami. Z rozciętymi brzuchami, tak że

poszczególne wnętrzności, sznurki jelit pływają w brei z krwi, sierści, gówna.

Ktoś to zrobił powoli i skrupulatnie. Bez mrugnięcia okiem wrzucił do tej reklamówki i jeszcze wymieszał niczym zupę.

I wtedy, jakby na moje życzenie, bezgłośnie i nagle, po prostu gaśnie światło.

*

Agentka nieruchomości miała na imię Marta. Teraz sobie przypominam – Marta, kobieta, która była moim przeciwieństwem do tego stopnia, że mogłybyśmy wystąpić razem w głupiej komedii. Przyprowadziła ją, bez mojej wiedzy i pozwolenia, prawniczka, która załatwiała wszystkie sądowe sprawy związane z mieszkaniem. Na spotkanie z prawniczką poszłam prosto z pociągu, człapiąc przez Planty po nieprzespanej nocy, czterech kawach z whisky, wypitych samotnie w kuchni do całego sezonu jakiegoś amerykańskiego serialu o zabitej dziewczynie i detektywie alkoholiku, mając na sobie wielkie, workowate spodnie z dwudziestoma kieszeniami, kurtkę, trzy bluzy, czapkę i pięć pośpiesznie zawiązanych chust, chociaż był późny sierpień i całkiem przyjemna, październikowa pogoda.

Prawniczka czekała na mnie pod Teatrem Bagatela; ruszyłyśmy do mieszkania, o którym nie wiedziałam zupełnie nic. Nigdy tam nie byłam, trzy miesiące temu dostałam je w spadku po mojej babci i planowałam jak najszybciej się do niego wprowadzić. Kiwałam głową, udając, że słucham, gdy opowiadała o wszelkich możliwych formalnościach, zależnościach, wpłatach i podatkach. Jej monolog trwał, gdy już byłyśmy w Instytucie i przechadzałyśmy się po pustych, pozbawionych mebli pomieszczeniach, dotykając brudnych, matowych ścian, wchodząc do zimnej łazienki z kwadratową, pokrytą żółtym nalotem wanną i różowymi, obłupanymi tu i ówdzie kafelkami. Zaglądałam po kolei do każdego z ogołoconych pokojów. Pocierałam w palcach zatęchły materiał zasłon, pukałam w szyby, naciskałam klamki. Jakbym chciała sprawdzić, czy to wszystko jest

prawdziwe, czy następny etap mojego życia nie składa się ze styropianowych podróbek prawdziwych przedmiotów.

Kiedy pierwszy raz weszłam do Instytutu, pachniał starością, rdzą, zbutwiałym drewnem, fetorem z rur – tak jakby od paru lat nikt nie otwierał tutaj okien. To mieszkanie, tak jak moje życie, wymagało generalnego remontu.

– Pani jest przekonana, że chce się tu za tydzień wprowadzić? – zapytała prawniczka, a ja pokiwałam głową, kucając na podłodze i obmacując parkiet, wydłubując paznokciem brud z przerw pomiędzy klepkami żądającej wycyklinowania podłogi. Tak naprawdę nie miałam wyjścia. – Mieszkanie wymaga remontu. A remont nie będzie trwał trzy dni, rozumie pani. – Prawniczka wisiała nade mną, gdy studiowałam fakturę brunatnych zacieków na ścianie w łazience. W końcu zauważyła, że jej celne spostrzeżenia i pytania retoryczne zupełnie po mnie spływają. – Mamy dużo dokumentów do podpisania. Może zróbmy to gdzie indziej. Zapraszam panią na kawę – powiedziała, rozglądając się po mieszkaniu z lekkim niepokojem.

Pomimo ekscytacji mdlałam ze zmęczenia, więc kawa brzmiała okej. To wtedy, wychodząc z mieszkania, zauważyłam na domofonie napis „Instytut". Zapytałam o niego, gdy szłyśmy na przystanek. Nie miała zielonego pojęcia, co oznacza ten wyraz, i dlaczego nie ma tam nazwiska babci Wery. Wsiadłyśmy do tramwaju i pojechałyśmy do kawiarni przy Brackiej, tej należącej do znanego, polskiego piosenkarza, który również mieszka przy tej ulicy, a którego piosenki o deszczu na Brackiej zawsze sprawiały, że żołądek wywracał mi się na drugą stronę.

W kawiarni panował równie nieświeży nastrój jak w kompozycjach piosenkarza. Czekała tam urządzona przez prawniczkę niespodzianka, czyli Marta. Marta miała mocno spięte do tyłu, ufarbowane na kasztanowo włosy, nabłyszczoną i lśniącą skórę, która w sztucznym świetle wyglądała jak guma, okulary korekcyjne z rogowymi, brązowymi oprawkami i beżowy, pozornie asymetryczny kostium. Byłyśmy rówieśniczkami, ale Marta znajdowała się zupełnie gdzie indziej. Nawet nie orientowałam się

zbytnio, gdzie leży planeta, na której mieszka. Marta zamówiła zieloną herbatę. Ja poprosiłam o wielką, czarną americanę.

– Wie pani, w tym momencie jest doskonały okres. Ceny na rynku są wysokie, ale dalej jest wielu zainteresowanych. Głównie Anglików, którzy niespecjalnie się orientują, a na przykład przyjechali tu na wieczór kawalerski swojego kolegi i… rozumie pani. Potem, owszem, ceny będą jeszcze wyższe. Ale wtedy będę pani mieszkanie sprzedawać przez rok. Dwa lata. I przez ten czas, rozumie pani, ceny zmaleją.

Jakby nie zauważyły mojego spojrzenia.

– A mieszkanie po remoncie można wynająć i będzie miała pani z tego stały dochód, to oczywiście się wynajmie od razu, i to za dobre pieniądze – mówiła zadowolona z siebie Marta, siorbiąc małe łyczki zielonej herbaty.

Wysoce anemiczny kelner przyniósł tartę dla prawniczki i sałatę dla agentki.

– Rozumiem, że pani Marta jest pani koleżanką – powiedziałam do notariuszki, która miała chyba na imię Ola. Ta kiwnęła głową. Ola i Marta musiały być koleżankami ze studiów. Obie musiały mieć w indeksach same piątki od dołu do góry. Musiały podkochiwać się w wykładowcach.

– Tak, znamy się z Martą…

– Rozumiem, że ze względu na koleżeństwo podrzuca pani od czasu do czasu jakieś smaczne kąski pani Marcie – powiedziałam. Kawa zaczęła działać, ale obie kobiety też podnosiły mi ciśnienie do tego stopnia, że nie musiałam jej dalej pić.

– Wie pani, dostać nieruchomość w spadku to i szczęście, i dużo problemów. My po prostu zaradzamy takim problemom. Dobrze zarobić, niczym się nie przejmując, to chyba najlepsze, co może być, nieprawdaż? – zapytała retorycznie prawniczka Ola i przełknęła swoją gazowaną wodę z cytryną.

– O ile wiem, pani mieszka w Warszawie z mężem i z córką. – Marta wypiła odrobinę zielonej herbaty.

Dopiłam kawę drugim i trzecim łykiem. Patrzyłam na nią zafascynowana, próbując rozwikłać zagadkę, w którym to kościele chrzczą

tak bezczelne i impertynenckie suki.

– Mieszkam tam, gdzie mieszkam. – Uśmiechnęłam się i zwróciłam do prawniczki: – Wie pani, dopiero zobaczyłam to mieszkanie, a już rozmawiamy o jego sprzedaży. Ja nie mam zamiaru niczego sprzedawać.

Prawniczka zgubiła mój wzrok i zaczęła śledzić krążącą po wnętrzu, widoczną tylko dla niej muchę. Agentka poprawiła okulary na nosie i upiła jeszcze łyk herbaty.

– Takie mieszkanie, w takiej lokalizacji… Zainwestuje pani w remont, owszem, ale po remoncie może pani sprzedać. Teraz za jakieś półtora miliona – powiedziała po chwili.

– Bardzo dziękuję za pomoc. Poradzę sobie – odparłam. Starałam się być tak grzeczna, że zaczęłam się pocić. Mówiąc do nich, czułam w ustach żółć.

– Rozumiem, że pani ma klucze. – Uśmiechnęłam się do prawniczki. – I wszystkie dokumenty do podpisania.

– Komplet będzie gotowy na jutro – powiedziała cicho.

Nagle zorientowałam się, że mówię dosyć głośno i że patrzy na nas z niekłamanym zainteresowaniem połowa gości lokalu.

– Właściwie to miałam dzisiaj wracać do Warszawy. Nawet nie mam noclegu – odparłam.

– Dobrze, postaram się jeszcze na dzisiaj. – Notariuszka kiwnęła głową.

Zauważyłam, że delikatnie zaczęły się trząść jej ręce. Z torebki wyjęła stos wepchniętych do plastikowego skoroszytu papierów, długopis i pęk kluczy. Marta obserwowała jej gwałtowne, nerwowe ruchy z kamienną twarzą i spod półprzymkniętych powiek.

– Nie wyszłaby pani zapalić? – zapytała.

Nie cierpiałam jej od pierwszego wejrzenia, ale jeszcze bardziej chciało mi się palić. Zgodziłam się.

Wyszłyśmy przed bar krakowskiego piosenkarza. Na Brackiej rzeczywiście zaczynał padać deszcz jak w złym dowcipie. Marta poczęstowała mnie cienkim davidoffem.

– Miałabym klienta, który dałby pani jeszcze więcej za to mieszkanie – oznajmiła.

– Pani Marto, proszę – powiedziałam – nie ma mowy. To kapitał dla dziecka, po pierwsze. Po drugie, jestem w pewnej życiowej sytuacji…

– Dwa i pół miliona. – Nie zmieniła nawet wyrazu twarzy. – Jest gotów tyle dać. To bardzo grubo powyżej ceny rynkowej.

Nie zareagowałam.

– Klient płaci gotówką. Praktycznie nie ma takich okazji – mówiła twardo z takim naciskiem, jak gdyby chciała wgnieść mi każde słowo pod czaszkę.

– Dlaczego? – zapytałam z ciekawości.

– Gdy ludzie są bogaci i sentymentalni, to… sama pani rozumie – odparła.

– Proszę mu podziękować za przemiłą ofertę – powiedziałam.

– Proszę się jeszcze zastanowić – dodała i zgasiła papierosa. Paliła jeszcze szybciej i jeszcze łapczywiej niż ja.

Popatrzyłam na prawniczkę przez szybę kawiarni. Studiowała rozłożone na stole dokumenty. Była zakłopotana i zdenerwowana. Marta otworzyła drzwi i wpuściła mnie pierwszą do środka.

– Moja wizytówka – powiedziała Marta, kładąc kartonik na mojej połowie stołu. Zaczęła pakować swój telefon i portmonetkę do torebki. Jej sałata stała nietknięta. Tymczasem prawniczka zapomniała na chwilę o dokumentach i opychała się tartą, jakby nie jadła nic od dwóch tygodni.

– Komplet będę miała za trzy godziny. Czy mogłaby pani przyjechać do mnie do biura na Salwatorze? – zapytała błagalnym tonem, wskazując palcem na papiery.

Przejrzałam akt własności, dokumenty spadkowe, druki ze wspólnoty mieszkaniowej. Marta już stała, ściskając w dłoni torebkę. Po chwili jednak, jakby coś jej się przypomniało, usiadła z powrotem.

– Wie pani co, pani Agnieszko, z pani mieszkaniem jest związana ciekawa historia – powiedziała, spoglądając na wyjęty z torebki telefon.

– Ktoś chce dać trzy miliony? – zapytałam.

– Pani babcia jest właścicielką tego mieszkania od lat pięćdziesiątych – oznajmiła Marta, nie słysząc mojego kiepskiego dowcipu i nawet nie patrząc w moją stronę. – Ale w rzeczywistości nigdy się do niego nie wprowadziła.

– To żadna rewelacja, babcia, gdy poznała dziadka, już do końca życia mieszkała z nim w Warszawie – powiedziałam.

– Ale nie domyśla się pani dlaczego? – Uśmiechnęła się, jakby chciała nagle mi ogłosić, że moja babcia była za Bieruta tajną agentką CIA.

– Bo była jego żoną, a dziadek był warszawiakiem? – zapytałam. Ta kobieta naprawdę zaczynała mnie poważnie irytować.

– Wie pani, mieszkanie, jak i cała kamienica należały przedtem do człowieka, który nazywał się Antoni Waraszyl. Ów Antoni Waraszyl przepisał to mieszkanie na pani babcię w latach pięćdziesiątych.

– Nic mi to nie mówi – odpowiadałam jej ze świadomością, że moje głęboko schowane resztki kultury osobistej same wpędzają mnie w pułapkę, że najlepiej byłoby w ogóle się nie odzywać, a wtedy agentka poplułaby przez pięć minut jakimiś zbędnymi informacjami i w końcu sobie poszła.

Ale ona nic nie odpowiedziała, lecz delikatnie się uśmiechnęła, popatrzyła na swoją koleżankę prawniczkę, która skończyła jeść tartę i nerwowo wycierała usta. Miałam wrażenie, że notariuszka, widząc ten jej uśmiech, ze strachem odwróciła wzrok.

– Rozumiem, że jakiś syn albo wnuk pana Waraszyla chce za wszelką cenę odzyskać to, co niby powinno należeć do nich? Że sprzedając mieszkanie, pozbywam się tak naprawdę jeszcze większego kłopotu?

– Wie pani, jak znam życie, gdyby klient był kimś z rodziny pana Waraszyla, wykorzystałby raczej wszystkie inne możliwe drogi, aby odzyskać mieszkanie. Kupno to ostateczność. Ale proszę, niech mnie pani posłucha – powiedziała, odłożyła telefon i popatrzyła mi w oczy. Jej spojrzenie miało ujemną temperaturę.

– Słucham panią, ale skąd pani to wszystko wie? – Miałam ogromną ochotę na kolejnego papierosa.

– Pani nie chce wiedzieć, ile ja w życiu przeczytałam ksiąg wieczystych – odparła.

– Niech pani mówi dalej, ale ze świadomością, że ja nie sprzedam tego mieszkania i za dziesięć milionów.

– Zobaczymy, co pani powie na dziesięć milionów. – Uśmiechnęła się. Jej uśmiech wygląda, jakby jakieś niewidzialne palce pociągnęły ją za policzki.

– Pani też zaczyna żartować, to dobrze. Najważniejsze to się wyluzować – powiedziałam.

– W każdym razie historia dopiero się zaczyna – odezwała się do mnie agentka Marta. – Pani babcia była w latach czterdziestych, po wojnie, żoną pana Waraszyla. Właściwie była nią aż do swojej śmierci. Małżeństwo nigdy nie zostało anulowane. Wie pani, odszukanie wszystkich papierów było drogą przez mękę, ale wychodzi na to, że małżeństwo pani babci z pani dziadkiem okazało się, jak by to powiedzieć, nieważne.

– Co pani nie powie, pani Marto – wysyczałam, wypijając łyk kolejnej kawy. Pomyślałam, że ta młoda jędza to wszystko wymyśla po to, abym porozmawiała z nią jeszcze pięć minut.

– To znaczy ważne przed Bogiem. Rozumie pani, pani babcia wzięła z panem Waraszylem ślub cywilny, który nigdy nie został unieważniony. Szukaliśmy dokumentacji, aby stwierdzić, czy mieszkanie zostało przekazane przez pana Waraszyla pani babci po domniemanym rozwodzie w drodze podziału majątku i tak dalej, rozumie pani? Okazało się, że nie. Pani babcia, tak wynika z dokumentów, prosiła pana Waraszyla o rozwód w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, ale ów pan odmówił pani babci formalnie, drogą listowną. Ten list również znajdował się w dokumentacji mieszkania. Pani babcia wyjechała do Warszawy i wzięła później z pani dziadkiem ślub kościelny. Natomiast pan Waraszyl, pomimo że od niego odeszła, po prostu oddał jej mieszkanie. Chciał ją zabezpieczyć na przyszłość? Nie wiem. Co ciekawe, musiał mieć potworne znajomości. Udało mu się jakoś załatwić, że do mieszkania nikogo nie zakwaterowano. To było praktycznie niemożliwe w tamtych czasach; jemu

tak bardzo zależało, rozumie pani, aby pani babcia tam mieszkała, że przekupił chyba całe miasto ze smokiem wawelskim włącznie, aby mieszkanie stało puste i czekało na nią, aż zmieni zdanie.

Dopiero teraz poczułam wściekłość. Zdenerwowanie, od którego gotuje się treść żołądkowa. Chcąc namówić mnie na sprzedaż mieszkania i zdobyć przy okazji tłusty procent, zaczęła rozwiązywać jedną z największych zagadek naszej rodziny – przeszłość babci Wery – ze stoickim, zblazowanym spokojem korporacyjnej biurwy.

Zauważyła to, ale nie zareagowała.

Prawniczka Ola po prostu patrzyła w zupełnie innym kierunku, brakowało tylko, aby zaczęła gwizdać.

– Najciekawsze przed nami – oznajmiła. – Widzi pani, pani Agnieszko, pani babcia nie chciała tego mieszkania i przez następne trzydzieści lat bezskutecznie próbowała się go pozbyć. Z całych sił. Mieszkanie stało najpierw puste. Pani babcia próbowała je sprzedać, ale wie pani, to była komuna, formalnie nie istniało nic takiego jak rynek i własność, więc nie dało się czegoś tak po prostu sprzedać. Było to obwarowane dziesiątkami formalności. Pani babcia, owszem, mogła sprezentować to mieszkanie spółdzielni i w pewnym momencie próbowała to zrobić.

– I dlaczego się nie udało?

– Wie pani – Marta się uśmiechnęła – wciągnęłam się w tę sprawę. To było coś w rodzaju zagadki kryminalnej. Wpadłam na to, wertując papiery na polecenie klienta.

– Tego od dwóch i pół miliona? – zapytałam.

Nie usłyszała pytania.

– Na początku pani babcia nie oddała mieszkania do spółdzielni może dlatego, że zawetował to jej mąż, czyli pani dziadek, z którym już wtedy była, albo ktoś z rodziny. Tutaj można zgadywać – mówiła dalej dość spokojnie. – Ale później, na taki trop przynajmniej wskazują papiery, znajdując jakąś lukę – brak standardów, jakąś fikcyjną awarię – uniemożliwił to pan Waraszyl.

– Kim był ten pan Waraszyl? – zapytałam. Najgorsze jest to, że sama zaczynałam wierzyć w tę historyjkę. Że zagadkę sekretnego życia babci Wery na moich oczach rozwiązywała ta chodząca reklama kredytu we frankach. Zaczęłam się w to wkręcać, a przez to jeszcze bardziej zaczynałam nie cierpieć tej kobiety. „Robi mnie jak małe, zaczepione pod szkołą dziecko, a mnie to się jeszcze podoba" – pomyślałam.

– Wie pani, to właśnie jest największa zagadka. To był człowiek bez jakiejś wyraźnej funkcji, bez żadnego stanowiska. Miał legitymację partyjną, ale nie pełnił żadnej funkcji w komitecie. Robił jakieś interesy, przez pewien czas był dyrektorem hotelu Cracovia, lecz, rozumie pani, tak naprawdę był nikim. Ale musiał być jakąś szarą eminencją, kimś mającym w łapie sznurki, ponieważ wszystkie rzeczy, które zrobił, były praktycznie niemożliwe.

– Czy w tym mieszkaniu w ogóle ktoś mieszkał? – zapytałam.

– Widzi pani, i znowu robi się ciekawie. W końcu do mieszkania przydzielono kwaterunek, ale ta rodzina wyprowadziła się po miesiącu. Z własnej woli. Nie wiadomo dlaczego. Takie rzeczy też się wtedy nie zdarzały. Z reguły jeśli ludzie dostawali kwaterunek, to było jak złapanie Pana Boga za nogi. Potem mieszkał tam ktoś z dalszej rodziny pani babci, jakaś siostrzenica. To też nie trwało długo, może pół roku. Siostrzenica uległa wypadkowi. Wie pani, aż specjalnie poszłam do archiwum sprawdzić, co jej się stało. Znalazłam notkę w „Dzienniku Polskim", okazało się, że wypadła przez okno dokładnie w tym mieszkaniu. Prosto na chodnik, na aleję Mickiewicza. W biały dzień.

Nagle jakby obudziłam się z chwilowej drzemki. Mrugam oczami. Dotarło do mnie to, co przed chwilą powiedziała, i zaczęłam się szczerze i serdecznie śmiać.

– To nieprawdopodobne, jaka uparta jest z pani baba. – Wybuchnęłam śmiechem i poprosiłam o jeszcze jedną kawę. Próbowałam się uspokoić, bo śmiałam się tak głośno, że klienci lokalu zaczynali na mnie patrzeć.

– Nie rozumiem, pani Agnieszko – rzekła Marta, a na jej twarzy nie widać najmniejszego zmieszania ani emocji. Wierzyłam jej, że ona

naprawdę nie rozumie.

– Ile ma pani prowizji od tej transakcji? Dwadzieścia procent? Za pół miliona też mogłabym wymyślić mnóstwo historyjek. O pani i pani mieszkaniu również. – Roześmiałam się.

Kelner przyniósł kolejną kawę.

Marta nie reagowała. Ola wciąż udawała, że patrzy gdzie indziej. Marta otworzyła torebkę i zaczęła z niej wyciągać i rozkładać na stole kserówki. Ułożyła je równo obok siebie, w symetrycznych rzędach, jakby stawiała pasjansa. To odbitki artykułów z lokalnej prasy z przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Nagłówki były krzykliwe: TRAGEDIA NA MICKIEWICZA. NIEWYJAŚNIONE ZATRUCIE GAZEM. PRZEKLĘTE MIESZKANIE. SAMOBÓJSTWO STARUSZKA. Wystarczyło szybko przebiec wzrokiem po wytłuszczonych fragmentach tekstu i zdjęciach, aby zrozumieć, że wszystkie dotyczą mieszkania numer dwanaście przy alei Mickiewicza dwadzieścia.

– Każde mieszkanie ma tutaj swoją historię – powiedziała Marta.

– No właśnie – odparłam.

– Ale tak bogate historie, jak pani widzi, się nie zdarzają. – Marta pokręciła głową.

Obiecałam sobie, że jeśli jeszcze raz powie „wie pani", „jak pani widzi", to wbiję jej widelec w tętnicę.

– Naprawdę pani sądzi, że ja się przestraszę i sprzedam to mieszkanie? – odezwałam się. – Z pani jest niebywały okaz.

– To jest ciekawe – powiedziała, pokazując jeden skserowany wycinek. Sądząc po czcionce i składzie, jest to pismo opozycyjne z lat siedemdziesiątych. Nagłówek mówi: KOLEJNE ŚMIERTELNE POBICIE DZIAŁACZA OPOZYCJI.

– Pobito go w moim mieszkaniu? – zapytałam.

– Nie do końca – odparła. – Darek Kusiak. Tak, to było w siedemdziesiątym siódmym. Jakoś we wrześniu. To nie było tak głośne jak sprawa Pyjasa. Może dlatego, że Kusiak nie studiował. To był prosty chłopak, który pracował w ocynkowni w Hucie. Jakoś tam wkręcił się

w opozycję, roznosił ulotki. Latał z paczkami bibuły. Pewnego dnia znaleziono go martwego na ławce w Parku Krakowskim. Miał przy sobie klucze do pani mieszkania.

– Jakim cudem? – zapytałam. Wypiłam duży łyk kawy, chociaż serce i tak biło mi za szybko.

– Okazało się, że pani babcia udostępniła mieszkanie opozycji. Była tam drukarnia, składowali tam bibułę, mieli spotkania. Po śmierci Kusiaka wynieśli się stamtąd. Ale ta sprawa była z powrotem badana przez prokuraturę po osiemdziesiątym dziewiątym i nagle okazało się, że to w ogóle nie była polityczna sprawa, że owszem, chłopak pomagał opozycjonistom, oni go znali i mu ufali, ale trwało to raptem jakieś dwa miesiące. Kusiak w ogóle nie był jeszcze inwigilowany, nikogo nie interesował, nie miał nawet teczki. Ktoś go po prostu pobił. Ale rozumie pani – w efekcie śmierci Kusiaka milicja dowiedziała się, że w mieszkaniu pani babci drukuje i kryje się opozycja, a opozycjoniści myśleli, że to milicja zabiła tego chłopaka, i wynieśli się stamtąd praktycznie następnego dnia.

– Moja babcia nigdy nie działała w opozycji. Jej polityka raczej nie interesowała – powiedziałam. Kawa była już skończona. Nadszedł czas rozstania. Nie wiem, czy do tej pory ktoś w moim życiu tak bezczelnie, tyloma różnymi metodami próbował na mnie coś wymusić. Po tamtym spotkaniu wiedziałam, że nie sprzedam tego mieszkania nawet za miliard dolarów, choćbym miała umrzeć z głodu.

– W takim razie może to była kolejna droga pozbycia się mieszkania. – Agentka wzruszyła ramionami. – Nie wiem. W papierach są ślady jej prób przepisania tego mieszkania na kogoś jeszcze innego.

– Naprawdę podziwiam pani wysiłek – powiedziałam, patrząc na równo ułożone kserówki.

– I pani mówi, że ja jestem uparta. To pani jest uparta – odparła.

Miałam wrażenie, jakby jej głos w ogóle nie wydobywał się z krtani, ale z umiejscowionego gdzieś na jej ciele głośnika.

– Może dalszy ciąg wyśle mi już pani e-mailem? – Wymownie popatrzyłam na zegarek, a następnie na prawniczkę Olę. – Mam jeszcze trochę spraw do załatwienia.

– Mieszkanie od dzisiaj należy do pani. – Ona również zerknęła na swój. – To po prostu ciekawostki. Chciałam się z kimś podzielić. Przez nie nie zmuszę pani do transakcji.

– No nie. – Uśmiechnęłam się.

– Ja też się śpieszę. – Wstała, schowała kserówki do torebki, którą założyła na ramię, uśmiechnęła się bez wyrazu do swojej koleżanki, podała mi rękę i ruszyła w stronę wyjścia.

Byłam pewna, że w drzwiach odwróci się i powie mi coś jeszcze. Takie osoby zawsze próbują do samego końca. To silniejsze od nich. Oczywiście odwróciła się.

– Wie pani, co jest ciekawe? – zapytała. – Antoni Waraszyl umarł w osiemdziesiątym ósmym roku. Dwa lata później pani babcia miała kilkaset okazji, aby sprzedać to mieszkanie. Miała masę ofert. Nie skorzystała z żadnej. Upadła komuna i jej pogląd na sprawę zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Babcia była mądra. Zrozumiała, że czasy się zmieniły, że mieszkań już nikt nie będzie nikomu rozdawał. – Wzruszyłam ramionami.

– Być może. – Uśmiechnęła się znowu.

Teraz mnie coś się przypomniało.

– Ma pani pojęcie, co oznacza wyraz „Instytut”? Ten na domofonie?

– Nie mam pojęcia! – Rozłożyła szeroko ręce. – W tym mieszkaniu działo się mnóstwo rzeczy, tak jak pani mówiłam. Ale ten napis jest strasznie stary. Jest tam chyba, odkąd zamontowano domofon. Od lat sześćdziesiątych? Ma pani moją wizytówkę, prawda?

Pokiwałam głową. Marta wyszła. Szła szybko. Stukanie jej obcasów o bruk słyszałam jeszcze przez dobre kilka sekund.

Ola wciąż była blada, miała zaciśnięte usta, niespokojnie bębniła paznokciami o blat stołu. Próbowała coś powiedzieć, ale ubiegłam ją, podnosząc dłoń do góry.

– To wszystko jest zbyt absurdalne, abym była na panią naprawdę wściekła. Niech się pani nie boi – powiedziałam.

– Może przejdźmy do mojego biura? – zapytała.

Wciąż się bała, ale zrozumiałam, że nie boi się mnie. Bała się czegoś zupełnie innego. Nie miałam pojęcia czego.

*

Świeca, dookoła której siedzimy, pochodzi z Biedronki i nazywa się „Migdałowy zefir". Wydziela lekko mdlący zapach przypominający odświeżacz do ubikacji, który nie ma nic wspólnego z migdałami ani zefirem. To jednak nie ma znaczenia. „Migdałowy zefir" i jego pięcioro kolegów ze znalezionej właśnie w jednej z szuflad zgrzewki to nasz jedyny zapas światła. „Oni" wyłączyli nam prąd. Nie wiemy, jak to zrobili; nie nastąpiło żadne zwarcie; korki są na swoim miejscu i działają. Zostały więc zapalniczki i świece, rzucające na ścianę nasze cienie, zamieniające je w wielkie, plamiste kontury olbrzymów. „Oni" zostawili ślady – podarte gazety, rozszarpane ubrania, roztrzaskane przedmioty. Znalazłam swoją ulubioną kurtkę rozdartą na dwie części. Tak właśnie, rozdartą, jakby ktoś niebywale silny wziął ją w dłonie i podarł jak kartkę. Porozrywane książki, pogniecione dokumenty, umowy i zeznania podatkowe, rozdeptane płyty DVD. Znalazłam moją starą tablicę korkową wygrzebaną zza szafy, gdy wyprowadzałam się od ojca Eli, zgruchotaną uderzeniem buta. Moje podarte zdjęcie z Elą, wyciągnięte z rozbitej ramki. Świeca wyodrębnia z ciemności porozrzucane resztki naszego domu; siedzimy przy niej, otoczeni ich pierścieniem. Czujemy się, jakbyśmy przeżyli bombardowanie, zasypani w piwnicy przez gruz.

– Dlaczego nic o tym wcześniej nie wspominałaś? – Iga pali ze mną na spółkę jednego z ostatnich papierosów. Mówi powoli, cicho. Kończą się. Herbata, ryż, xanax już się skończyły.

Mam nadzieję, że nie odłączą nam wody.

– Nie wiem. Nie chciałam o tym myśleć – odpowiadam zgodnie z prawdą, a Iga tylko kiwa głową.

Najbardziej brakuje nam alkoholu. Oddałabym wszystko, aby teraz się upić. Wypić piwo, butelkę wina, pół litra. Oddałabym wszystko za bimber, za tanie wino, za amol, za wodę kolońską. Kurwa, jakikolwiek alkohol.

– Myślisz, że to ten facet od dwóch i pół miliona? Ten, który chciał kupić to mieszkanie? – pyta Iga, a ja wzruszam ramionami. Nie obchodzi mnie, kim „Oni" są. Ważna jest nasza bezsilność. Ich absolutna przewaga. Jesteśmy jak zwierzęta w rzeźni. Szczury w laboratorium. Od tej pory w każdej chwili może zdarzyć się wszystko, a my nie zdołamy nic zrobić.

Istotne jest to, że w każdej chwili możemy zginąć. Że ktoś, kto tnie na kawałki kota, nie zawaha się, aby zrobić to samo z człowiekiem.

– I miałabyś dwie i pół bańki – odzywa się z kuchni Sebastian. – Zamiast tego, co się tu teraz, kurwa, dzieje. Ładny domek pod Warszawą, dobrą furę. Jakiś rozkręcony interes.

Znowu wzruszam ramionami.

– Rozsądni ludzie nie myślą, co by było gdyby – mówię. – Od tego można oszaleć.

– To już niedługo – odpowiada z rechotem Sebastian. – Za chwilę, już niedługo, wkrótce popierdoli nas do reszty. Sam na przykład jeszcze nie oszalałem, bo zaraz coś zjem.

– Myślicie, że nas zamordują? – pyta Iga.

Od czasu, gdy wróciliśmy do mieszkania, to pytanie padło jakieś kilkadziesiąt razy. Najpierw przez łzy, wrzaskliwie, potem coraz spokojniej, coraz ciszej. Za każdym razem odpowiedzią było: „nie wiem". Bo przecież nikt nie wie, co stanie się dalej.

„Oni" mogą za chwilę przyjść tu z tortem, świecami, gwizdkami i kolorowymi czapkami i krzyknąć: „Niespodzianka, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!". Mogą też napuścić tutaj gazu, podłożyć ogień, uśpić nas, a potem wejść z piłami, obcęgami i nożami i zacząć kroić nas na kawałki jak nasze koty.

Może wydarzyć się wszystko, a my nie będziemy mogli nic zrobić.

Świeca wyłapuje z ciemności w rogu korytarza rąbek siatki z kotami, z którą jeszcze nie wiemy, co zrobić, więc na razie wepchnęliśmy ją do kartonu po drukarce. Zasypaliśmy ich ciała trocinami, resztką żwiru, aby chociaż na chwilę powstrzymać smród. W mieszkaniu jest coraz zimniej,

tak jakby „Oni” stopniowo przykręcali ogrzewanie. Może niedługo truchła kotów zamarzną.

Sebastian proponuje, aby spalić je w wielkim ognisku na klatce. Aby w ogóle wzniecić tu pożar. Iga mu przytakuje, kiwa głową, mówi, że „Oni” muszą być w tej kamienicy razem z nami, że trzeba ich stąd wykurzyć, że gdy zacznie się palić, przyjedzie tutaj straż pożarna i wtedy w końcu wyjdziemy.

Chyba jeszcze nie oszalałam, bo zdaję sobie sprawę, że ten pomysł jest poważnie niemądry.

Czuję, że się trzęsę, od środka, że szarpie mną coś, co idzie z brzucha. Czuję się, jakbym była zawieszona nad przepaścią i trzymała się grubej, chropowatej liny. Dlatego na razie szepczemy do siebie cały czas, aby przekonywać się nawzajem, że jeszcze nie oszaleliśmy. Dlatego być może opowiedziałam im całą historię z prawniczką. Nie, aby coś im i sobie wyjaśnić. Po prostu, aby mówić cokolwiek.

Może to ci ludzie, którzy tak pragnęli odkupić mieszkanie, może to potomkowie byłego męża mojej babci, a może duchy młodych chłopaków z opozycji, którzy uciekli stamtąd przestraszeni śmiercią swojego pomagiera?

Ale z mojej perspektywy to nie jest istotne. Gdy ktoś trzyma pistolet przy twojej głowie, nie prosisz go o dowód osobisty.

Oprócz naszych głosów słychać tylko odgłosy mieszkania. Trzeszczenie podłogi. Szum rur. Ciche bzyczenie gdzieś spod podłogi, jakby odgłosy pracy wielkiej maszyny.

Gdybym dostała teraz dwa i pół miliona złotych, oddałabym je za to, aby usłyszeć ulicę, usłyszeć, że tam jeszcze trwa dzień, że ludzie wracają z pracy, wychodzą na ulice, chcąc naładować baterie przez ostatnią jasną godzinę, wiedzieć, że na zewnątrz jest jeszcze prawda, życie, świat.

Wydaje mi się, że na zewnątrz jest moja ulubiona pogoda, mrożący krew, leczniczy mróz, niebo niebieskie jak na pocztówce z obozu surfingowego, śnieg chrzęszczący niczym rozdrobniony styropian. Wydaje mi się, ale nie potrafię tego zweryfikować. Nikt z nas nie potrafi. Zza

zamurowanych okien nie wydostaje się nawet promień światła. Gdybym je miała, oddałabym dwa i pół miliona złotych za promień światła.

Robert i Anka. Nigdzie ich nie ma. Próbujemy rozmawiać o tym, co się z nimi stało, gdzie są, ale to jedynie kolejne pytania wypuszczane przez nas i fruwające bez celu w powietrzu.

– Może po prostu wybiegli na zewnątrz, gdy tamci otworzyli na chwilę furtkę. Może ich wypuścili, może oni nie są dla nich istotni, bo po prostu tutaj nie mieszkają – mówię do Weroniki, która rozgląda się po pokoju nerwowo jak kot obserwujący rzucane na ścianę światełko lasera.

– Wybiegli na zewnątrz? Jak Rumun? I co, też jeszcze nie wrócili? Nie pobiegli na policję? – pyta Iga.

– Po prostu chcieli się stąd wydostać. Byli chorzy ze strachu.

– Po prostu nic nie czuję – przerywa mi Weronika. – Nie wiem, co się z nimi stało. Nie mam pojęcia. Czułabym, że dzieje się coś złego. Dobrego też.

– Skończ już z tymi bzdurami, błagam. – Iga chowa twarz w dłoniach. – Proszę cię, a jeśli rzeczywiście masz magiczne moce, to przywołaj tu windę siłą telepatii. Wyjeb z okna te cegły. Proszę cię, zrób coś.

Weronika nie reaguje. Zaczyna nerwowo czyścić okulary.

– Dobrze ich znasz? – pytam.

– Nie. – Wzrusza ramionami, teraz wpatruje się tylko w coś schowanego za mną w ciemności. – Jego znałam ze studiów. Tak trochę. Czasami gadaliśmy. Ją widziałam drugi raz w życiu.

– Więc dlaczego tak często tu ostatnio przychodzili?

Weronika wzrusza jeszcze raz ramionami, nerwowo, jakby chciała powiedzieć „nie wiem", ale po chwili dochodzi do wniosku, że i tak jej nie uwierzymy, więc w rezultacie wykonuje gest, który jest trochę wzruszeniem ramion, a trochę prośbą o zostawienie jej w spokoju.

– Przychodzili do wróżki – dobiega zza ściany głos Sebastiana.

Weronika jeszcze wyżej podnosi głowę, jakby chciała siłą woli przyciągnąć do siebie sufit. Ucieka od nas wzrokiem. Sebastian wychodzi z kuchni i mówi:

– Weronika wróżyła im, czy dzieciak będzie zdrowy. Powiedz im, Weronika. – Powiedziawszy to, szybko wraca do kuchni, świecąc sobie małą, przyczepioną do kluczy latarką. Tam kontynuuje gotowanie makaronu z konserwą i koncentratem.

– Dzieciak? Jaki dzieciak? – pytam Weronikę, a ta kręci głową i powiada:

– Jest w ciąży. Nie mówmy o tym. To nic nie zmieni. – Patrzy na mnie przez chwilę, a potem z powrotem wyciąga głowę do góry. – Nie ma jej tutaj i nie wiadomo, gdzie jest.

– Jezus Maria. – Wypuszczam powietrze.

– Powiedziałam im, że mogą być problemy – ciągnie Weronika. – Tak wyszło, przecież nie będę ich okłamywać. Powiedziałam, żeby poszli szybko do lekarza. Jednak lekarz nic nie wykrył. On nie chciał o tym słyszeć, mówił, że jestem oszustką, że chcę wyciągnąć od nich pieniądze. Ona nalegała, żeby przyjść jeszcze raz. Wtedy już nie chciałam pieniędzy.

– Jakie problemy? – pytam.

– Ty bierzesz za to pieniądze? – docieka Iga.

– Dziecko może być chore. – Weronika w końcu skupia wzrok w jednym miejscu: na drzwiach małej, nieużywanej łazienki, widocznych w połowie zza wyłomu korytarza. – Moim zdaniem to coś w głowie. Jakaś blokada, brak czegoś. Powietrza, krwi. Zator. Nie wiem. Nie jestem lekarzem. Po prostu przykładam ręce i czuję, czy coś jest w porządku, czy nie jest.

Kłótnia o papierosy. Czasami wszyscy jesteśmy ślepymi durniami.

Jedyne, co mogę zrobić, to wierzyć dalej w to, że po prostu ktoś ich stąd wypuścił. Że w ślepym przerażeniu, być może korzystając z otwartej przez chwilę kraty, pojechali prosto do domu, że będą żyli długo i szczęśliwie.

Potrawa, którą próbuje ugotować Sebastian, cuchnie jak worek brudnych skarpet. Ale nie przeszkadza mi to; przypomina mi, że jeszcze żyję; dzięki temu wyobrażam sobie, że jesteśmy na czymś w rodzaju obozu survivalowego. Że to taka zabawa. Gra fabularna. Dziwna odmiana gry w podchody. Leżące obok każdego z nas na wyciągnięcie ręki narzędzie – młotek przy Sebastianie, nóż przy Idze, zaostrzony pilnikiem śrubokręt

przy mnie, nożyczki przy Weronice – to tylko rekwizyty, które mają podkręcić klimat, sprawić, że głębiej zanurzymy się w opowieść.

– Czekaj, czekaj, Iga – mówię i rozglądam się po wszystkich. – Nie mamy nic przyniesionego z Kota? Naprawdę? Sprawdzałaś? Nigdzie, nic? Żadnej wódki na czyjeś urodziny? Niczego?

Odpowiada mi milczenie i kręcenie głowami.

– Starego wina? – pytam ponownie, tak jakby powtarzanie pytania miało zmaterializować przede mną butelkę tego wina. – Wygazowanego piwa? Amolu?

– Mogę zobaczyć, Aga, ale naprawdę nic nie ma, wszystko zostało wypite. – Iga wstaje i na palcach idzie do kuchni. Po drodze świeci sobie małą, kieszonkową latarką, którą miała przyczepioną do kluczy.

Idę za nią. Sebastian wykłada paćkę z konserwy i koncentratu na kluski i wtyka mi talerz do rąk. Iga jeszcze raz patrzy po szafkach, lodówkach, koszach, skrytkach, ale wszystko jest puste, wszystko się skończyło.

– Dziękuję – mówię i biorę trochę do ust. Danie Sebastiana jest wstrętne, przypomina podgrzany budyń z mięsa i tłuszczu. Ale jest ciepłe. Ma węglowodany, zapycha.

– Chodziłem do gastronomika, ale nie uważałem jakoś szczególnie – wyjaśnia, jakby się tłumaczył z przygotowanej brei z makaronem. Ja mu wybaczam, ale Iga się sprzeciwia:

– Ja tego nie zjem.

– Czemu? – Sebastian jest zdezorientowany. Patrzy na zawartość swojego talerza. Potem na zawartość talerza Igi. Podtyka jej talerz pod nos.

– Nie jem mięsa. Wiesz o tym, Seba – odpowiada spokojnie Iga, delikatnie odpychając talerz.

– Nie ma nic innego – mówi w końcu Sebastian po dobrych kilkunastu sekundach trzymania talerza pod jej nosem. – Nie ma nic innego do żarcia.

– Wiem, że nie ma – odpowiada Iga.

– Schowaj se w dupę te lewackie farmazony. – Sebastian wpycha jej swoje danie pod nos, jakby chciał jej uciąć talerzem głowę. – Jedz i nie pierdol.

Iga kręci głową. Sebastian zaczyna sapać. Nie wie, co ze sobą zrobić. Jest człowiekiem, który z reguły, gdy napotyka jakiś opór, zaczyna w niego bić, dopóki opór się nie przewróci; teraz również chciałby to zrobić, ale nie może, jest zdezorientowany. Odkłada talerz.

– Co, nie pasuje?! – podnosi głos. Przestaje mi się to podobać. – Nie pasuje?

– Nie pasuje – odpowiada spokojnie Iga. – Ja jestem weganką, Sebastian. To znaczy, że nie je się mięsa i nie pije mleka.

Sebastian patrzy na nią, jakby była prezenterką arabskiej telewizji. Odwraca się i odstawia talerz na blat. Bierze kilka oddechów, chwyta talerz z powrotem i wynosi do przedpokoju, po czym wraca, staje w drzwiach, znów bierze głęboki oddech i mówi do Igi:

– W piździe ci się już do reszty poprzewracało. Jak stąd wyjdziemy, idź do swoich kumpli brudasów. Ale teraz siedzimy tu razem.

– Po prostu nie rozmawiajmy, Sebastian. To za duża różnica – stwierdza Iga i się odwraca.

– Jaka, kurwa, różnica?

Iga odwraca się w jego kierunku.

– Cywilizacyjna – mówi spokojnie, cicho.

Sebastian drapie się w głowę. Patrzy na nią tępo, martwo. Oddycha szybciej niż zwykle, intensywniej. Boję się go.

– Też tak, kurwa, myślę – odpowiada po chwili. – Ja jestem dobrym chłopakiem. Ty – jebanym brudasem. Lesbą.

– Sebastian, co ty mówisz? – pyta.

– Iga, przestań – proszę.

– To, że ci się, kurwa, coś pojebało we łbie. Że w dupie byłaś i gówno widziałaś. Że tobie się wydaje, że można zbudować lepszy, kurwa, świat. Świat pełen pedałów, kurwa, Arabów, jebanych brudasów, gdzie nie można jeść mięsa oprócz tego z płodów. Zajebisty świat. I takie pizdy, takie głupie kurwiszony jak ty, z dobrego domu, którym tatuś całe życie pomagał, dające dupy głupie lewackie pizdy myślą, że zrobią sobie taki świat dla

zajawy, bo tak będzie fajnie, bo przeczytały o tym w jebanych żydowskich TVN-owskich gazetach.

Iga nic nie mówi; jej twarz ściąga się we wściekłą maskę. Odwraca się na pięcie i idzie z powrotem do kuchni. W kuchni bierze talerz, nakłada sobie na niego z garnka sam makaron, wylewa na niego łyżkę koncentratu i wraca do przedpokoju.

– Sebastian, gówno o mnie wiesz, gówno wiesz, gdzie byłam, kim jestem – mówi, siadając po turecku i kładąc sobie talerz na kolanach.

– Jak to nie wiem? – Sebastian wsadza sobie do ust ostatni widelec makaronu. – Ja wiem wszystko. Nie jestem jednym z tych idiotów, co gadają, że nienawidzą lesb, a potem walą gruchę, bo patrzą w internecie, jak dwie suki się obrabiają. Ja tam nie walę do tego gruchy. Ja tego rzeczywiście nienawidzę. To obrzydliwe. To zboczenie.

– Sebastian, mnie nie interesują twoje zapatrywania na różne sprawy. Naprawdę mnie nie interesują – zapewnia Iga.

– Jak widzę dupę, co zachowuje się tak jak ty, to chcę jej pierdolnąć – dodaje Sebastian. – Chcę wstać i jej jebnąć.

– Sebastian, przestań, uspokój się, do kurwy nędzy! – wrzeszczę, uderzając mocno pięścią w stół.

– Ty debilu – mówi Iga.

– Debilu?

– Tak, tępaku. Tępy, kurwa, naziolu.

– Przestańcie.

– Naziolu?

– Tak, tępy naziolu. To nie ja wydzieram się na stadionie: „Zrobimy z wami, co Hitler zrobił z Żydami".

– Goń się, parchu. Goń się, lesbo jebiąca.

Iga wstaje i podchodzi do Sebastiana. Ten również wstaje.

Chcę jeszcze raz powiedzieć „przestańcie", ale to bezcelowe. Podchodzę do Igi, odciągam ją od Sebastiana, bo dzieli ich już ledwie dziesięć centymetrów.

– Przestańcie, błagam, czy wy zdurnieliście do reszty, nie możecie wrócić do tej rozmowy, jak to się skończy? – Odpycham w drugim kierunku również Sebastiana, ale jest wrośnięty w podłogę, nie patrzy na mnie, patrzy przeze mnie na Igę i zaczyna się uśmiechać; ten jego uśmiech widziałam już parę razy na bramce w Kocie, gdy w jego kierunku szła, zataczając się i wrzeszcząc wniebogłosy, nieświadoma niczego ofiara, tak pijana, że przekonana, że może mówić, robić i krzyczeć cokolwiek. Ten uśmiech widziałam, gdy wiedział, że może zaraz komuś pierdolnąć. Bez żadnych konsekwencji.

– A wiesz, co jeszcze mnie wkurwia?

– Sebastian, przestań – powtarzam jeszcze raz, głośniej i bezskutecznie.

– Wkurwiają mnie laski, które myślą, że już wszystko widziały, bo dawały dupy narkusom, którzy zaraz potem się huśtali.

– Sebastian – proszę.

– Jakbym ja ci zrobił dzieciaka, to też bym się rzucił przez okno – mówi.

Iga wali na odlew Sebastiana w twarz. Zamieram w pół ruchu, który miał odsunąć Sebastiana od Igi. Ten dźwięk jest tak głośny, tak nagły, że czuję się, jakbym sama dostała w twarz.

Uśmiechnięty grymas ściąga się do następnego w kolejności grymasu – rozjuszonego, tępego, ale skoncentrowanego zwierzęcia. „Już go nic nie zatrzyma" – myślę.

– Dotknij mnie – mówi Iga. – Tylko mnie dotknij.

Sebastian robi krok do przodu. I jeszcze jeden. Z każdym jego krokiem do przodu Iga robi jeden krok do tyłu. W końcu Sebastian schyla się do jej twarzy, która normalnie jest jakieś pół metra niżej od jego, i przysuwa ją blisko; spoglądam na Weronikę, ale ona dalej patrzy w drzwi łazienki. Już mam zacząć wrzeszczeć, gdy Sebastian znowu zaczyna się szczerzyć i mówi:

– Świry, młoda. Chyba się nie dałaś wkręcić, co?

– Że co? – Iga kręci głową z niezrozumieniem. – Że co?

– Świry, no. Świrowałem. Przecież mam w dupie, co jesz, a czego nie.

Ale ten uśmiech nie znika mu z ust, gdy zostawia Igę z otwartymi ustami, nierozumiejącą do końca, co się przed chwilą stało, cofa się pod ścianę, siada, wyciąga z kieszeni paczkę papierosów; wyciąga z niej jednego, wkłada do ust, po czym rzuca paczkę w jej kierunku.

Przez chwilę siedzimy bez słowa. Weronika nadal, nie odwracając głowy, usilnie wpatruje się w drzwi od nieużywanej łazienki, jakby chciała zamienić je w drogę ucieczki samym spojrzeniem.

Sebastian cały czas się uśmiecha tym śliskim grymasem. A potem wstaje, podbiega do Igi i kilka razy uderza ją otwartą dłonią w twarz.

Iga krzyczy. Sebastian podrywa ją za bluzę i uderza nią o ścianę.

– Kurwo! – wrzeszczy. – Kurwo jebana!

– Stop! – ryczę – Stop!

Ale Sebastian podnosi Igę i rzuca nią o drzwi mojego pokoju, ona w ostatniej chwili zasłania twarz i głowę dłonią, jej plecy rozbijają szybę, która sypie się na podłogę grubymi, ostrymi cyrkoniami.

– Stop! – drę się.

Weronika chowa się w kąt, zasłania głowę ramionami; Sebastian stoi na środku korytarza, dysząc, unosząc do góry ręce i opuszczając je z powrotem. Iga kuca w rozbitym szkle przy drzwiach. Widzę tylko kontur jej ciała, jak obejmuje nogi rękami, jak gwałtownie obejmuje głowę, starając się zasłonić jak najwięcej ciała.

Wstaję, podbiegam do Sebastiana, próbuję go schwycić, zatrzymać, ale mnie odtrąca, podnosi z podłogi śrubokręt i mówi:

– Nie chciałem tu być. Nie chciałem być w tym jebanym mieszkaniu. Nie chciałem być tu z wami, wy głupie kurwy.

Odpycha mnie tak mocno, że z powrotem siadam na podłodze. Przybiega z kuchni i przynosi talerz Igi z konserwą i makaronem, i widelcem, nachyla się nad nią, przystawia talerz do jej rąk otulających jej głowę i mówi:

– Teraz będziesz żreć, słyszysz? Będziesz żreć. Smaczne jedzonko. Dobra szameczka.

Z całej siły chwyta w garść jej blond grzywkę, wyrywając jej głowę spomiędzy ramion; drugą dłonią bierze jedzenie z talerza i wpycha jej do ust, rozsmarowując je po całej twarzy; podbiegam do niego i zaczynam go bić pięściami po głowie i barkach, ale on jest w amoku, nie reaguje.

– Głupie kurwy – mówi – chciałyście, to macie, macie to wszystko na własne życzenie. Ja nie chciałem tu być.

Chwytam leżący na ziemi talerz, biorę zamach i z całej siły uderzam go w głowę, talerz pęka mu na czaszce. Sebastian łapie się za głowę, odchodzi od Igi i opiera się o ścianę, cały czas dysząc. Nie odzywa się. Patrzy w dół. Iga powoli wstaje, otrzepuje się ze szkła, na podłogę z jej ubrania spada deszcz ze szklanych resztek. Bierze z podłogi pierwszy z brzegu ręcznik i powoli wyciera sobie twarz.

– Uspokójcie się – proszę, chociaż w ogóle nie wiem, co tak naprawdę mam powiedzieć.

Iga, ciężko dysząc, podnosi z podłogi nożyczki.

– Iga, nie – mówię. – Iga, nie.

Iga z nożyczkami w zaciśniętej pięści odwraca się w kierunku Sebastiana; podbiegam do niej, łapię ją za rękę, ale uwalnia się z mojego uchwytu jednym szarpnięciem, odpycha mnie, podchodzi do Sebastiana i cicho i powoli mówi:

– No chodź. Chodź, skurwysynu.

Sebastian odwraca się do niej, ciągle dysząc:

– To ty tu chodź.

„To nie Sebastian” – myślę. „Sebastian jest dobrym człowiekiem, to ta sytuacja, pękł pierwszy, ktoś musiał pęknąć pierwszy. Sebastian wstrzykuje sobie coś przed siłownią, nie wiem dokładnie co, pewnie jakieś hormony wzrostu dla koni. Jest duży i agresywny. Nosi go. Pękł pierwszy”.

– To ty tu chodź – powtarza.

Iga idzie w jego kierunku, wystawia nożyczki, potem chowa je do kieszeni. Nie widzę twarzy Sebastiana, ale wiem, że jest na niej ten sam uśmiech.

Zawsze zakładam, że ludzie są dobrzy. To punkt wyjściowy. Jestem głupia, jestem głupią osobą. Być może dlatego to wszystko tak wygląda. Ludzie, których znam, muszą być dobrzy, bo ja jestem dobra. Źli ludzie są wśród tych, których nie znam.

Idiotyczny błąd logiczny, który popełniałam przez całe życie.

Wciąż stoją naprzeciwko siebie. Bez słowa.

Nagle słyszymy krzyk. Stłumiony, ale mocny, słyszalny wrzask. Krzyk kobiety. „To Anka" – myślę. „To Anka. Dziewczyna w ciąży".

Ten krzyk nie dochodzi z naszego mieszkania. Dobiega z drugiej strony klatki schodowej. Z mieszkania pani Finkiel.

Wtedy przypominam sobie o zamkniętym pokoju z niebieskim światłem. Pokoju, do którego nie weszliśmy. Jakby ktoś nie chciał, abyśmy do niego weszli. Jakby to, co jest w środku, było jeszcze niegotowe.

– Chodź! – wrzeszczę do Sebastiana. – Chodź! Rusz się!

Sebastian przez chwilę stoi bez ruchu, a potem zmienia wyraz twarzy, jakby ktoś z boku sterował nim za pomocą pilota, przyciskiem włączył mu inne oprogramowanie. Rusza za mną, wciąż trzymając w dłoni śrubokręt. Otwieramy drzwi i przebiegamy korytarz w kierunku drzwi Finkiel.

– Zostańcie w mieszkaniu! – krzyczę do Igi i Weroniki.

Są otwarte na oścież. Wchodzimy do środka. Łuna wylewa się przez wzorzyste szyby na podłogę korytarza. Stalowym, chłodnym blaskiem. Oprócz łuny jest cichy szum, jakby wygenerowany przez jakiś instrument, co pewien czas zmieniający tonację. Jak strojąca się orkiestra. Jak resztki nagrania ze zużytej, pościeranej taśmy magnetofonowej. Skądś znam tę scenę, gdzieś już widziałam ten moment.

Przez chwilę na drugim końcu korytarza widzę jakiś ruch, poruszenie powietrza. Czarna postać, która jest dla mnie jedynie konturem, obrysem wypełnionym przez czerń. Wykonuje powolny gest ręką, podnosząc, a następnie opuszczając ją wzdłuż ciała. Jest schowana głęboko w ciemności.

Sama nie wiem, czy ją widzę, czy jedynie domyślam się jej obecności.

Postać zaczyna wrzeszczeć, jakby stała obok, wrzeszczeć mi do ucha. Chociaż wciąż jest na końcu korytarza i teraz powoli podnosi rękę do góry, jakby dawała komendy czemuś lub komuś stojącemu za mną, wciąż wrzeszczy mi do ucha. Wrzask przechodzi w modulowany, płynny dźwięk, coraz wyższy, piskliwy jak krojenie szkła.

– Ej! – krzyczy Sebastian.

Odwracam się w jego stronę i łapie mnie ręką za policzek.

– Przestań – syczy. – Teraz ciebie popierdoliło?

Kręcę głową, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Nie drzyj mordy, do chuja – mówi. Podchodzi do drzwi z niebieską łuną. Daje mi znak, abym poszła za nim. Na drugim końcu korytarza nie ma żadnej postaci. Jeszcze raz: na drugim końcu korytarza nie ma żadnej postaci.

Sebastian podaje mi śrubokręt. Już ma otworzyć drzwi, ale wtedy słychać zza nich kolejny wrzask, krótki, urywany, jakby ktoś na chwilę zdjął dłoń z czyichś ust, a potem rozlega się cicha i błagalna prośba:

– Nie, proszę, nie, błagam, mój ojciec, mój ojciec, on wam zapłaci, nie, proszę, on wam zapłaci.

Naciskam klamkę. Drzwi są otwarte. Popycham je do przodu.

Wpadam do środka. Sebastian za mną.

Zalany błękitem pokój jest równie pusty i martwy jak reszta mieszkania pani Finkiel. Jeden ciężki, stary kredens z lat pięćdziesiątych, na jego przeszklonych półkach samotna, kryształowa patera i kilka szklanek w wiklinowych koszykach. Stolik. Dwa fotele. Ciężkie, zakrywające okno zasłony i żywy od moli, nieprany dywan.

W pokoju nikogo nie ma. Błękitna łuna pochodzi z włączonego telewizora. Tak jak wrzask.

Kucamy przed ekranem, na którym widać dobrze oświetlone pomieszczenie z niskim sufitem.

Chyba zakrywam usta dłonią i chyba krzyczę „o Boże!”. Chyba.

Na ekranie na środku pomieszczenia widać dwa krzesła, do jednego jest przywiązana Anka, a do drugiego Robert. Są obwiązani taśmą klejącą, ich

dłonie skrępowano za oparciami, a nogi przywiązano do siebie. Anka krzyczy, wyprężona na krześle, próbując odchylić się do tyłu w jedynym dostępnym odruchu ucieczki przed kimś, kto właśnie idzie w jej kierunku. Robert siedzi pochylony do przodu. Czarny płyn cieknie z jego głowy jak z kranu.

– O Boże – jęczę przez zaciśnięte usta.

– Cicho bądź – syczy Sebastian, dotykając ekranu. – Co to jest? Skąd to leci?

W kadr wchodzi mężczyzna. Jest cały ubrany na czarno, na głowie ma kominiarkę, w ręku nóż.

Mężczyzna podchodzi do Anki.

– Nie, proszę, nie róbcie tego, proszę, nie róbcie tego, błagam, będę miała dziecko, będę miała dzidziusia, nie róbcie, błagam, wszystko, ja proszę – wykasłuje to z siebie w spazmach Anka; jest tak przerażona, jak tylko przerażona może być żyjąca istota.

Mężczyzna podnosi nóż, podchodzi, chwyta ją za gardło. Anka krzyczy, mężczyzna bierze zamach, a wtedy ktoś – niezależnie od nas – zmienia kanał w telewizorze. Przez chwilę widzimy z perspektywy sufitu korytarz Instytutu. Pusty.

– Co to, kurwa, jest? – pyta Sebastian i obchodzi stolik z telewizorem w kółko, zagląda pod niego, ale nie ma żadnego odtwarzacza; jest tylko kabel wychodzący z tyłu telewizora i niknący w ścianie.

– Czyli tam jest kamera – mówię do Sebastiana. – Tam wsadzili kamery.

– Tam nic nie ma, tam jest goły tynk – odpowiada.

– Więc wytłumacz mi to, do cholery, wytłumacz mi to – odpowiadam, pukając palcem w ekran. – Przeszukaliśmy całe mieszkanie. Całe.

Kanał znów się zmienia; w telewizorze widać nas, tak jakby kamera była na ścianie za nami. Odwracam się, ale nic nie widzę.

– Są jakoś pod tynkiem? O co chodzi? – pytam.

– Poczekaj – odpowiada.

– Tu w ogóle musi być poprowadzona jakaś druga elektryka – stwierdzam.

Przez chwilę maca palcami ścianę obok miejsca, w którym znika kabel. Następnie wstaje, człapiąc, podchodzi do meblościanki. Nie zajmuje całej ściany. Między jej krawędzią a rogiem pokoju jest jakieś dobre półtora metra luzu.

Przygląda się meblowi przez chwilę, następnie zapiera się i stara się go przesunąć. Zaciska zęby, wkłada w to całą swoją siłę. Meblościanka jest masywna, potwornie ciężka. Sebastian próbuje dalej. Podchodzę, chcę mu pomóc. Zapieram się, zaciskam zęby.

Odwracam się w stronę ekranu. Teraz widać na nim klatkę schodową, zamkniętą kratę, urwane liny windy.

Zapieramy się dalej. Meblościanka zaczyna się przesuwać. Kilogramy drewna powoli szorują po podłodze. Wkładamy w to całą siłę. Nie pytam, po co to robimy. Ufam mu.

– Nie jest z tobą tak źle – mówi, sapiąc.

W końcu nagle mebel dziwnie przestaje stawiać opór i podjeżdża aż pod samą ścianę, a my oboje na chwilę tracimy równowagę.

Dopiero po jej odzyskaniu widzimy, że za meblościanką są drzwi. Niepomalowane, brudne drzwi z jedną klamką.

Patrzę na Sebastiana. Sebastian patrzy na mnie. Ze ściany, tuż obok framugi drzwi, na powierzchnię wychodzi z powrotem biały kabel i zaraz znika między drzwiami a podłogą.

Jeszcze raz patrzę na Sebastiana. Sebastian naciska klamkę. Drzwi są otwarte.

Za drzwiami są schody, które prowadzą do góry, w ciemność. Z ciemności dochodzi buczenie maszyny, szuranie, stukanie, jakby czyjeś kroki.

Odwracam się w stronę ekranu i chyba znowu coś krzyczę, ale sama już nie kojarzę co.

Na ekranie wciąż widać klatkę schodową, kratę i urwane liny windy, i drzwi do Instytutu, ale teraz na klatce stoi postać w czarnej kominiarce. Za nią druga postać, również w czarnej kominiarce, zamyka kratę kluczem.

Widzimy, jak postać numer jeden otwiera drzwi Instytutu i wchodzi do środka.

Słyszę wrzask Weroniki i przekleństwa Igi.

Po kilku sekundach, jak gdyby wybudzeni z sennego paraliżu, ja i Sebastian w kilku krokach przeskakujemy odległość dzielącą nas od Instytutu. Wszystko, co się dzieje, jest już jakby poza mną. Jakbym oglądała samą siebie w złym filmie. „Złym filmie w reżyserii ojca Eli" – przychodzi mi przez chwilę na myśl. „Postać, wrzask, niebieskie światło".

Ta myśl trwa ledwie chwilę, zbyt krótko, abym powiedziała sobie w duchu: „to idiotyzm, wariujesz".

Wpadamy do Instytutu. Jako pierwszą dostrzegam Igę. Klęczy, klęczy w szkle, drży z wysiłku, trzymając kogoś za szyję. Ubraną na czarno postać w kominiarce. Postać z telewizora. Postać wyje z bólu. Uchwyt ciężkich, krawieckich nożyczek wystaje z jej uda. Po nodze tej osoby ścieka krew.

– Usłyszałam, jak ktoś otwiera kratę – oznajmia Iga. – Stanęłam przy drzwiach, nie zauważył mnie, wbijałam na oślep, z całej siły.

Weronika nic nie mówi, ale płacze i kręci głową. Trzyma w dłoni okulary, a z oczu lecą jej łzy.

Kucam nad człowiekiem w czarnej kominiarce. Człowiek wyje i ciężko oddycha, przyciskając dłoń do ciała tam, gdzie wbite są nożyczki. Krew wycieka mu spomiędzy palców.

– Kim wy, skurwysyny, jesteście? – pytam go, zaciskając pięść na wystających z uda nożyczkach. Nagle się uspokajam. Nagle jest mi ciepło. Jakbym spadała w ogromną przepaść, powoli, a równocześnie przekonana, że nie umrę. – Kim jesteście? – pytam jeszcze raz. Spokojnie. Tak mi się przynajmniej wydaje.

On kręci głową, chciałby się rzucić, wierzgnąć, ale wie, że nie może. Krew płynie wolno, jest jasna. Nożyczki nie przebiły żadnej ważniejszej tętnicy. Chyba. Ale nawet jeśli nie przebiły, wystarczy jeden gwałtowny ruch.

– Dobra, kurwa twoja mać – mówi Sebastian, który również się nad nim nachyla, delikatnie mnie odsuwając; chce też odsunąć Igę, ale ta uderza go

pięścią w bark. Tak więc, nie odsuwając Igi, Sebastian kuca i uderza go pięścią w twarz, raz, mocno, bez zamachu, jakby chciał wbić pięścią gwóźdź. Słychać jedno głośne chrupnięcie, jakby ktoś rozgniótł w dłoniach paczkę prażynek.

Cały ten proces obserwuje stojąca z boku Weronika, która oświetla nas „Migdałowym zefirem". Na ekranie w pokoju pani Finkiel ta scena musi wyglądać jak średniowieczny zabieg chirurgiczny.

Ściągam mu kominiarkę. Łapie głęboko oddech. Dusi się. Próbuje oddychać ustami. Wciąż nic nie mówi.

– Co jest, kurwa?! – wykrzykuję, odsuwając się odruchowo i o mało nie przewracając Weroniki.

– To Rumun – stwierdzam, patrząc na wszystkich dookoła, prosząc ich wzrokiem, aby mi zaprzeczyli, ale nie mogą, bo pod kominiarką jest głowa Rumuna z szeroko otwartymi oczami i nosem zamienionym w coś przypominającego rozgnieciony owoc. – Chyba złamałeś mu nos, Sebastian.

– Nigdy go, chuja, nie lubiłem – mówi Sebastian i uderza go ponownie jeszcze mocniej.

*

Wymknęłam się o świcie jak złodziejka. Taksówkarzowi wystarczyło jedno spojrzenie, aby zdiagnozować mnie i położenie, w którym się znajdowałam – dlatego pozwolił mi palić w samochodzie całą drogę na dworzec.

Uciekając, zdałam sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, nigdy, przenigdy w moim życiu nie zdecydowałam się na żadną zmianę; po drugie, teraz, w momencie pierwszej decyzji o pierwszej prawdziwej zmianie, nic nie czułam. Zmiany z reguły bolą, gryzą i drapią. Przeczucie zmiany jest jak połknięty kawałek metalu, a nieznane jest magnesem, który przyciąga ten kawałek do siebie, rozcinając przy okazji tkankę, ale nigdy nie wyrywając tego metalu do końca. Niektórzy lubią ten ból. Inni go

nie znoszą. To trochę jak z ostrymi potrawami. Tak czy inaczej, wszyscy go czują.

Gdy pierwszy raz uciekłam od ojca Eli, nie dotarłam daleko. Znałam tylko jedno miejsce. Wprowadzenie się z powrotem do moich rodziców, do ich domu w Rembertowie, nie było jakąś szczególną zmianą. Wylądowałam wtedy z powrotem w moim pokoju, który służył mi jedynie do odzyskiwania raz na parę dni przytomności, gdy jeszcze żyłam z moimi rodzicami. Zdziwiłam się, że coś takiego jak „mój pokój" w moim domu w ogóle jeszcze istnieje.

Gdy znalazłam się tam z Elą, spędziłam w pokoju więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej. Nocą siedziałam w kucki na tapczanie, oglądając telewizję, otoczona rzeczami, które wyglądały teraz jak jakaś nieudolna dekoracja serialu telewizyjnego o moim przeszłym życiu: książki, plakaty, pudła starych kosmetyków i kaset, kartki pocztowe i robione samemu koszulki – nieprzydatne i wyblakłe przedmioty obcej osoby.

Ela bawiła się wtedy na podłodze moim starym misiem, którego w jej wieku ochrzciłam imieniem Żebrak. Czasami brałam ją na ręce i opowiadałam bajkę, schodziłam z nią na dół i robiłam jej kaszkę albo kanapki, a czasami po prostu oddawałam ją matce i oglądałam telewizję aż do zaśnięcia. Niekiedy paliłam trawę kupowaną od jakichś gnojków z osiedla. Paliłam ją w kiblu, chuchając do okna. Moja mama udawała, że nic nie czuje.

To wtedy nie była żadna zmiana. Krok wstecz to nie zmiana. Krok wstecz to krok wstecz.

Mama załatwiła mi pracę przedszkolanki, ale odmówiłam. Miałam cierpliwość tylko do własnego dziecka.

Siedziałam w domu. Aby dorzucić się rodzicom do rachunków i kupować jedzenie i rzeczy dla mojej córki, dekorowałam witryny sklepowe, robiłam proste, graficzne zlecenia. Potem gdzieś poznałam jakiegoś chłopaka, którego twarzy już nie pamiętam; nie przeszkadzało mu, że mam roztrzaskane życie z bonusem w postaci małego dziecka; później poznałam następnego; każdego z nich wykasowywałam z telefonu

po dwóch, trzech tygodniach. Nigdy nie przychodzili do mojego domu. Żaden z nich nie poznał mojej córki.

W ten sposób minęło pół roku, gdy pewnego dnia rodzice mojego męża, przy jego cichej aprobacie, zabrali mi Elę. Moja mama musiała pojechać do swojej siostry w jakiejś nagłej sprawie. Ja musiałam wyjść do miasta, coś załatwić, nie pamiętam co – chyba podpisać jakąś opiewającą na pięć złotych gównianą umowę na gówniane zlecenie. Zostawiłam Elę u mojej kuzynki Darii, która siedziała w domu, zajęta karmieniem własnego, dopiero co urodzonego dziecka. Gdy wróciłam, Eli nie było.

– Zabrała ją babcia – powiedziała Daria, stojąc w drzwiach z wyrazem twarzy przypominającym pysk otępiałej ryby, ubrana w rozciągnięty dres. Delikatnie mówiąc, nigdy nie była zbyt bystra.

– Czyli moja mama? – wydusiłam z siebie, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu telefonu, aby zadzwonić do matki i zwymyślać ją za niepoinformowanie mnie o przejęciu mojej córki.

– Nie – Daria dalej nie zmieniała wyrazu twarzy – nie, nie twoja mama. Twoja teściowa, mówiła, że byłyście umówione, że zabiera Elę do zoo.

Poczułam, jak jakiś żrący płyn zalewa i serce, i żołądek. A potem zrobiło mi się lodowato zimno.

– Nie – wyszeptałam – nie byłam z nimi umówiona.

– No tak mi powiedziała – odparła moja skretyniała kuzynka, a ja z całej siły się powstrzymywałam, aby nie złapać jej za ten pokryty starą farbą, durny, blady łeb i nie roztrzaskać go o framugę.

Wybiegłam z mieszkania, nawet się z nią nie żegnając. Wyciągnęłam telefon. Ta zła, stara kurwa odebrała po pierwszym sygnale.

– Eli nic nie jest – poinformował mnie skrzek po drugiej stronie aparatu.

– Oddawaj moją córkę! – wrzasnęłam. Obejrzało się za mną pół ulicy. – Oddawaj moją córkę!

– Nic jej nie jest – powiedziała. – Nie masz do niej żadnego prawa. Myślisz, że nie wiemy, co robiłaś. Puściliśmy za tobą detektywa. Wiemy wszystko. Narkotyki. Kurestwo. Nie masz w sądzie żadnych szans. Jesteś złą żoną, dziwką, wyrodną matką.

– Oddawaj moją córkę! – wrzasnęłam jeszcze raz z całych sił; miałam wrażenie, że oplułam telefon krwią ze zdartego gardła.

– Nic jej nie jest – powtórzyła i się rozłączyła.

Ojciec Eli przyjechał wieczorem. Był sam. Siedziałam w domu po konsultacji ze znajomym prawnikiem rodziców (który wiedząc, kim jest mój teść, poinformował mnie, że nie mam żadnych szans), otumaniona trawą, winem i lekami uspokajającymi. Nie wpuściłam go, chociaż dzwonił pół godziny. Przyjechał również następnego dnia. I jeszcze pojutrze.

– Przyjedziesz z Elą, to cię wpuszczę – powiedziałam przez drzwi.

– Nie zobaczysz jej, jeśli mnie nie wpuścisz – odparł. – Jutro przyjeżdżam ostatni raz.

Następnego dnia, gdy wszedł do środka, podbiegłam do niego i z całej siły, jaką miałam, jaką hodowałam w sobie przez te cztery dni, trzasnęłam go pięścią w szczękę tak mocno, że jego głowa odleciała do tyłu i odbiła się od drzwi. Zatoczył się.

– Oddawaj moją córkę! – wrzasnęłam tak jak wtedy przez telefon.

– Agnieszka, porozmawiajmy – wydukał, trzymając się za szczękę. – Naszej córce nic się nie stało. Jest cała i zdrowa. Porozmawiajmy, proszę cię.

Trzasnęłam go jeszcze raz w to samo miejsce, próbował złapać mnie za rękę, ale nie zdążył.

– Oddawaj mi moją córkę, ty chuju! – wyskrzeczałam.

– Nic się nie stało. Nic między nami się nie wydarzyło. Nie miałaś powodu, aby tak robić. Nie miałaś powodu, aby wziąć Elę i uciec – powiedział, rozmasowując szczękę.

Wyszedł. Stałam w korytarzu, zamrożona, dygocząca, wyczerpana. Wrócił po chwili z wielkim koszem kwiatów. Postawił go na stole w kuchni.

– Kocham cię – oznajmił, stojąc już w bezpiecznej odległości. – Kocham cię i chcę, abyśmy byli rodziną. Porozmawiajmy. Ja nawet nie wiem, co się stało. Ja nawet nie wiem, dlaczego to zrobiłaś.

– Twoi rodzice zabrali mi córkę. – Dopiero wilgoć na ustach uświadomiła mi, że wyję. – Twoi rodzice zabrali mi córkę, a ty masz mi ją

oddać, masz mi ją oddać teraz.

Jakby próbował przez chwilę przybliżyć się, podejść i mnie dotknąć, ale jednak zrobił krok wstecz i wyszedł. Wyniosłam kwiaty na śmietnik.

To trwało miesiąc. Miesiąc, kiedy codziennie znajdowałam pod drzwiami kosz kwiatów, miesiąc, kiedy dorobiłam się poważnych problemów z wątrobą przez koktajle z wina i tabletek na uspokojenie, miesiąc, kiedy moja teściowa codziennie tym samym głosem oznajmiała mi: „Eli nic nie jest".

Raz pozwolili mi zobaczyć się z nią w parku; stali z daleka, z zaciśniętymi ustami, przewiercając mnie policyjnymi spojrzeniami, patrząc, jak ściskam ją mocno, tak że dopiero potem zorientowałam się, że mogłam ją skrzywdzić, że coś mogło jej pęknąć w małym, najpiękniejszym na świecie środku.

Rozmawiałam ze wszystkimi. Z matką, babcią Werą, z ojcem, z kuzynami. Nie było najmniejszych szans na odzyskanie Eli. Detektywi mieli moje zdjęcia z czterema różnymi facetami, sfotografowali mnie w jakiejś zasranej, praskiej bramie kupującą podłą trawę, zdobyli moje recepty na leki psychotropowe, które musiałam zacząć łykać po porwaniu Eli, aby móc spać, jeść, myć się i wydalać. Miałam oficjalny, podstemplowany certyfikat ćpunki, szmaty i wyrodnej matki.

Mimo to ojciec Eli codziennie przyjeżdżał z kwiatami.

Poddałam się i wróciłam. Zadzwoniłam do drzwi mieszkania, do którego podał mi adres. Spakowałam wszystkie rzeczy do jednej torby. Otworzył drzwi. Nie był zaskoczony. Stał bez słowa i tępo patrzył, jak ściskam moją córkę z całych sił, jak daję jej miliardy całusów, jak wycieram o nią własne łzy, jak puszczam ją na chwilę, aby ścisnąć ponownie, jak wtulam ją w siebie tak mocno, jakbym chciała ją w siebie wsmarować, na stałe przytwierdzić do własnych piersi, brzucha, skóry, jak powtarzam jej imię dziesięć razy, pięćdziesiąt, tysiąc razy.

Wróciłam do niego i zostałam. Mówiłam już wcześniej o tym, co było potem. Potem było spokojnie i w miarę normalnie. Potem zaczęliśmy symulować tak zwane normalne życie. Symulowaliśmy je tak dobrze, że

przez chwilę prawie w nie uwierzyłam. Zaczynałam go lubić, cały czas powtarzając sobie w duchu, że dziecko musi mieć rodzinę.

Powtarzałam sobie wiele rzeczy w duchu, aby odgonić myśl o przegranej. O byciu zaszachowaną. O tym, że odchodząc od ojca Eli, tracę również Elę. Chyba że ucieknę z nią w nocy na drugi koniec świata.

Wysiadając z taksówki pod Instytutem, byłam już pewna, że niedługo to zrobię. Że wyprowadzka do Krakowa to tylko początek pewnego planu. Ściskałam w ręku pęk kluczy jak talizman. Przejechałam palcem po domofonie, starłam warstwę kurzu z tabliczki przy moim numerze. Napis „Instytut" zrobił się wyraźniejszy.

Zabiorę ją stamtąd. Uśpię jego czujność. A potem może sprzedam to mieszkanie, wezmę dwa i pół miliona i uciekniemy w cholerę.

Regularnie, w stałym rytuale przez pół godziny rozmawiałam przez telefon z moją córką. Dzwoniłam zawsze na komórkę, zawsze o godzinie dwudziestej.

– Pewnie nie obchodzi cię, co robi tata – mówiła przez telefon Ela. – Ale teraz dużo, dużo pije, dużo śpi i czasami płacze, to znaczy, tak bez dźwięku, po prostu woda leci mu z oczu.

– Kochanie, to smutne, i też chce mi się płakać – odpowiadałam.

– Kiedy będę mogła do ciebie przyjechać, mamo? – pytała moja córka.

– Jak skończę remont – stwierdzałam, zastanawiając się, czy w kanalikach łzowych jest jakiś mały mięsień, który można ścisnąć siłą woli, aby powstrzymać wyciek.

– Dobrze, mamo, kocham cię – mówiła moja córka.

– Dobranoc, kochanie, śpij dobrze – odpowiadałam i przerywałam połączenie.

„Musisz uśpić ich czujność" – powtarzałam sobie w myślach. „Musisz być czujna i uważna. Tym razem to ty musisz ją porwać".

Parę dni później remont był faktem dokonanym. Zrobiłam łazienkę – kafelki, kibel, wannę, położyłam gładź na ścianach, pomalowałam, wycyklinowałam podłogę. Tak naprawdę zrobiło to dwóch wąsatych, wiecznie zmęczonych mężczyzn zaczynających dzień od pięciu piw

i kolorowej małpki. Obaj patrzyli na mnie jak na dwugłową małpę, ilekroć próbowałam wymusić od nich odpowiedź na pytanie, czym właściwie się w tym momencie zajmują.

Ale w końcu zrobili swoje, a ja nauczyłam się nie patrzeć na miejsca, w których było trochę krzywo albo coś trochę odłaziło.

Kupiłam do kuchni nowy, wielki, brązowy, nielakierowany stół. Wymieniłam żyrandole, kupiłam w IKEA kilkanaście mebli z plastiku i dykty o przeciętnej trwałości wynoszącej pięć miesięcy, kupiłam kilka lamp i lampek, wymieniłam część gniazdek elektrycznych, wyniosłam na śmieci wszystkie stare, trupie dywany i zasłony.

Gdy skończyłam, mieszkanie nie wyglądało już i nie pachniało jak hospicjum, ściany nie były burotrupiej barwy, ale wciąż coś się nie zgadzało.

Mieszkanie było jakieś nie moje. Za duże. Zbyt puste. Obijałam się od ścian, nie mogąc nigdzie na dłużej usiąść, położyć się, obejrzeć filmu, napisać e-maila, poczytać książki. Miałam dziwne wrażenie, że jestem tu na chwilę. Że urządziłam je dla kogoś. Że to wszystko jest jakimś eksperymentem, etapem przejściowym. Że ta przestrzeń nie jest domem i nie ma żadnego sensu zamieniać ją na siłę w dom.

– Kochanie, remont się skończył – powiedziałam wieczorem do mojej córki przez telefon.

– Więc jak, mamo, mogę przyjechać? – krzyknęła z radości po drugiej stronie.

– Kochanie, jeszcze chwila – odparłam. – Musimy trochę poczekać. Ale już niedługo.

– Na co? Ojciec ze mną nie rozmawia. Pyta tylko o lekcje. I czy smakują obiady, które robi. – Mojej córce już się załamywał głos.

– A smakują ci?

– A tobie smakuje węgiel? – pytała moja córka, a ja przez krótką chwilę się śmiałam.

– Jeszcze chwilę, kochanie, jeszcze chwilę – mówiłam.

– Kiedy? – dociekała Ela, żądając dokładnych terminów, jak każda córka.

A ja nie mogłam dać jej tego terminu. Chociaż oddałabym wszystko, aby było to za pięć minut.

Jeszcze przez chwilę wykrztuszałam z siebie pytania o szkołę, angielski i karate, a moja córka wykrztuszała z siebie odpowiedzi. Gdy skończyłyśmy rozmawiać, położyłam się na materacu z IKEA i zaczęłam płakać. Płakałam jakieś dwie godziny, a potem zasnęłam ze zmęczenia.

– Rozumiem, że odeszłaś – powiedział przez telefon ojciec Eli, gdy w końcu do mnie zadzwonił.

– Cieszę się – odparłam.

– Zacząłem terapię. Biorę się za siebie. Kończę scenariusz – mówił, ale nic z tego zupełnie mnie nie interesowało.

– Chcę, aby Ela do mnie przyjechała – oznajmiłam po chwili. – I chcę, aby nawet nie zbliżała się do twojej matki.

– Nie ma szans – powiedział cicho i flegmatycznie.

Poczułam się, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w krtań.

– To moja córka – wyszeptałam.

– Wybrałaś – odparł. – Chcesz się z nią zobaczyć, to przyjeżdżaj do Warszawy. Powiem ci kiedy. Chcesz z nią żyć, to wracaj.

Zamilkłam. Nie mogłam powiedzieć tego, co naprawdę chciałam. Na przykład: „zabiję cię, chuju".

– Wybrałaś. Wiedziałaś, co robisz, Agnieszka – podsumował i się rozłączył.

Gdy już wyremontowałam mieszkanie, zdałam sobie sprawę z paru innych rzeczy, na przykład, że nie mam tu pracy, że nikogo tutaj nie znam, więc muszę to szybko zmienić, aby nie oszaleć i nie umrzeć z głodu.

Znalazłam dorywcze zajęcie w krakowskim oddziale telewizji, sztukując siniaki i strużki krwi do jedynego jeszcze kręconego w Krakowie programu telewizyjnego *Policyjna interwencja.* Potem zahaczyłam się przy jakimś festiwalu teatralnym, który nazywał się bodajże *Genotyp Kantora,* i sztukowałam mundurki szkolne z celofanu do studenckiej interpretacji *Umarłej klasy,* której akcję dwudziestoparoletni reżyser umieścił w przestrzeni kosmicznej. Nadal nikogo nie znałam, chociaż mimo

wszystko chciałam poznać, codziennie coraz bardziej, ale większość ludzi ograniczała się do mówienia mi „cześć", zwłaszcza gdy zostali poczęstowani informacją, że przyjechałam tutaj z Warszawy, w której, co gorsza, mieszkałam całe swoje życie.

Od czasu do czasu na klatce rozmawiałam z sąsiadem, neurochirurgiem Banickim. Doktorem Banickim, który później pomógł mi odzyskać koty.

– Pan znał moją babcię? – zapytałam go pewnego dnia, gdy zorientowałam się, że powinnam zostać u niego na chwilę dłużej niż kilka minut i dowiedzieć się czegoś o miejscu, do którego internowało mnie moje podłe życie nieudanej żony.

– Oj, słabo, słabo. – Pan Banicki pokręcił głową. – Wie pani, od dawna nikt tam nie mieszkał.

– A Instytut? – zapytałam. – Instytut? Co oznacza ta nazwa, dlaczego jest na domofonie?

– A! – Machnął ręką, na chwilę odwracając ode mnie wzrok. – To była jakaś głupota. Tu była jakaś sekta przez parę miesięcy, proszę pani.

– Sekta? – powtórzyłam ostatni wyraz, zastanawiając się, czy dobrze go usłyszałam.

– Sekta... – Banicki uśmiechnął się i wbił swój ciepły, lekarski wzrok w mój dekolt. – Taka firma jak Amway albo odkurzacze Rainbow czy coś. Mieli tu biuro przez chwilę, rozumie pani, w latach dziewięćdziesiątych, na samym początku, ale to szybko splajtowało. Mało wtedy było plajt? I głupich pomysłów, bo ktoś chciał się dorobić?

– I ta firma nazywała się Instytut?

– Niby tak, Instytut badawczy czegoś tam... Oni pastę do zębów sprzedawali, proszę pani. – Pan Banicki patrzył w podłogę przez parę chwil, po czym zareagował w zupełnie nieprzewidziany sposób. – Pani wybaczy, ale muszę się położyć. Zapraszam, oczywiście, jutro.

– Ale ta nazwa była podobno wcześniej. Już w latach sześćdziesiątych – powiedziałam, bo przypomniało mi się to, co mówiła Marta.

– Może? Może ta firma nazwała się tak od tego napisu? – zastanawiał się doktor Banicki, patrząc przez okno i kierując to pytanie w powietrze.

Tyle musiało wystarczyć mi za odpowiedź. Reszty sąsiadów za często nie widywałam. Czasami miałam wrażenie, że ten pion kamienicy jest praktycznie wyludniony. Czasami klatką przemykał jakiś zaspany, przestraszony student – nie wiedziałam nigdy, czy to wciąż ten sam człowiek, czy kilku podobnie wyglądających. Na pierwszym piętrze mieszkała jakaś tajemnicza rodzina, która w ogóle nie wychodziła z domu, jak twierdził doktor Banicki – mieszkanie zostało im przydzielone w latach sześćdziesiątych, a teraz bali się eksmisji. Na drugim piętrze żyło – chyba – młode małżeństwo, przynajmniej tak sobie wyobrażałam po stojącym czasami pod drzwiami wózku dziecięcym. Była też pani Finkiel, która jeśli w ogóle odpowiadała na moje dzień dobry, brzmiało to jak coś pomiędzy afrykańskim zaklęciem a odcharknięciem flegmy.

Byłam sama. Ta samotność drapała i okazywała się nieznośna. Chciałam kogoś poznać, porozmawiać z kimś chociażby dlatego, aby nie przepłakiwać całych nocy za moją córką. Aby się uspokoić, nie oszaleć, nie zdziwaczeć.

Przez tydzień wzbraniałam się przed samotnym wyjściem do jednej z miliarda knajp. „Normalni ludzie tak nie robią – myślałam. Ludzie wychodzący sami do knajp to alkoholicy na jakimś przedostatnim etapie, którzy jeszcze odrobinę się krępują pić przed lustrem".

Ale pewnego wieczoru zrozumiałam, że porozmawiałabym z kimkolwiek, nawet z kasjerką z Biedronki, z motorniczym tramwaju, że muszę wyjść i usłyszeć jakiś głos, jakikolwiek, byle nie własny. Chodząc po pustym mieszkaniu, przyrządzając sobie zupy i kanapki, sprzątając i czytając, grając w internecie w scrabble, nieporadnie wykonując podłapane kiedyś asany, łapałam się na tym, że coraz częściej mówię do siebie na głos: „Agnieszka, idiotko, znowu nie kupiłaś papieru", „Agnieszka, znowu pranie zgnije ci w bębnie", „Agnieszka, chyba jeszcze herbata, papieros i spać, co?".

Był obłędnie ciepły, ale zarazem rześki wieczór. Szłam Karmelicką bez makijażu, w kolorowej, lekkiej bluzie, dresach i tenisówkach, mijały mnie po drodze chmary ludzi, z których każdy sprawiał wrażenie

normalniejszego i szczęśliwszego ode mnie, i pierwszą knajpą, do której weszłam, okazał się Brzydki Kot przy Sławkowskiej.

Zastanawiam się czasami, czy gdybym weszła wtedy do jakiejkolwiek innej, również zostałabym tam na amen. Może nie byłam aż tak zdesperowana, może to zwyczajnie w Brzydkim Kocie było i jest coś z domu. Z przytulnego domu wariatów.

Gdy weszłam do środka, do pierwszej, pomalowanej kolorowo, przykrytej kołdrą dymu sali, wszyscy mężczyźni w środku stali na baczność, wykrzykując na zmianę wyraz: „wstyd!", „wstyd!", „wstyd!" oraz hasło: „Papa, dajesz!", „Papa, dajesz!".

Adresatem tego dopingu był czterdziestoparoletni facet z mocno pooraną twarzą, rzadkimi, półdługimi włosami, ubrany w spraną bluzę z kapturem. Stał na stołku za barem i w pełnym skupieniu za pomocą wałka zamalowywał wielki, przytwierdzony do wysięgnika na suficie telewizor białą olejną farbą. Obraz już do połowy przykrywała biała skorupa; wystawał spod niej podbródek oraz ubrany w marynarkę korpus komentatora sportowego, który mówił: „Porażka Wisły to wstyd. Karygodne błędy obrony można zwalić jedynie na...".

Mężczyźni na sali gwizdali, bili brawo, wznosili prawie pełne szklanki z piwem do góry na tyle dramatycznymi gestami, że większa część zawartości lądowała na ich głowach. Podeszłam do baru i przedzierając się przez tę całą wrzawę, zapytałam, o co chodzi, barmankę, pulchną dziewczynę z pofarbowanymi włosami. Zamówiłam piwo z cytryną i pokazałam palcem Papę, który nakładał zdecydowanym gestem kolejne warstwy farby na kineskop i obudowę telewizora.

– Przegrali derby – powiedziała dziewczyna, nalewając mi piwo.

– Kto? – zapytałam tępo, patrząc, jak Papa po zamalowaniu wciąż grającego telewizora zeskakuje z drabiny, włazi na bar i podnosi ręce do góry w triumfalnym geście, znacząc bar kropkami gęstej bieli, kapiącej z wałka i wiadra z farbą.

– I chuj im w dupę! Chuj im w dupę! – zaczął krzyczeć Papa.

Reszta gości lokalu szybko podchwyciła ten tekst, pomagając sobie waleniem dłońmi w stoliki.

– Skąd przyjechałaś? – spytała. Miała ładny, lekko zachrypnięty, mocny głos. Ludzki.

– Z Żoliborza – powiedziałam.

Popatrzyłam na nią dosyć wymownie. Uśmiechnęła się.

– Okej. Co dla ciebie? – zapytała.

– Po prostu chcę się upić – wyjaśniłam.

– Duża wódka z sauerem – odparła, kiwając głową ze zrozumieniem. – Naprawdę nigdy tu nie byłaś? – rzuciła przez ramię, robiąc mi drinka.

Zanim jej odpowiedziałam, Papa zeskoczył z baru, podał farbę z wałkiem drugiemu barmanowi, przeszedł na drugi koniec baru, podszedł do mocno już pijanej, siedzącej przy stoliku pod szybą grubej, mocno wymalowanej i widocznie zużytej kobiety, klęknął przed nią, pocałował ją w dłoń i wyszeptał:

– Królowo nocy, czas odtańczyć taniec zwycięstwa. Nasze serca cały czas są sercami wygranych.

– Spierdalaj, Papa – odparła kobieta, niebezpiecznie odchylając się do tyłu na krześle.

– Królowo, wejdź na bar, to dzisiaj dopiszę ci do kreski, a twoja kreska jest długa – wybełkotał Papa.

– Papa, daj mi spokój, kurwa – jęknęła kobieta.

– Długa i piękna jak twoje dupsko – zajęczał Papa, który bez wątpienia czuł w stosunku do kobiety coś w rodzaju silnej, erotycznej fascynacji.

Gdy zobaczyłam, jak kobieta wskakuje na bar, zaczyna tańczyć do głośno włączonej piosenki Papa Dance, wypiłam wódkę jednym haustem. Gdy zobaczyłam, jak momentalnie zaczyna tańczyć do niej połowa knajpy, a Papa, posługując się pustą kegą po piwie, wypuszcza na kobietę sprężone powietrze i zmienia jej wystające spod ciasnej koszulki ciało w falujące morze białego budyniu.

– Jestem Iga. Następną? – zapytała barmanka, a ja pokiwałam głową.

Iga się uśmiechnęła, po czym zaczęła krzyczeć do Papy, żeby przestał się, kurwa, wydurniać, bo skończył się lech i trzeba iść po kegi.

Resztę wieczoru spędziłam, tańcząc z obcymi ludźmi, rozmawiając z Igą przez bar, rozmawiając z kimś innym przy barze o wszystkim; opowiedziałam kilka razy całą balladę o moim mieszkaniu i mojej córce, i moim w praktyce już byłym mężu, opowiedziałam o swoim strachu, o swojej ucieczce, opowiedziałam, jak zmarnowałam całe swoje życie na utrzymywaniu złych, zatrutych pozorów.

Czułam się jak w domu pod opieką. Iga cały czas podsuwała mi kolejne wódki, które wypijałam do połowy i szłam znowu tańczyć, i tańczyłam, gadałam co najmniej w pięciu obcych językach i wszystko było super do momentu, gdy było mi już naprawdę wesoło, ale jakiś facet po pięćdziesiątce, któremu również było wesoło, złapał mnie bezceremonialnie za tyłek. Odruchowo odwróciłam się i chlasnęłam go w gębę, on chyba też chciał chlasnąć mnie w gębę, ale nagle, z tańczącego, pijanego ula ludzi wyłonił się wielki, łysy drab z gęstą, mocną krechą brwi nad oczami, w czarnej bluzie z wygrawerowanym gotyckimi literami napisem BANDA. Gdy Anglik wbrew mojej woli ściągnął mi z głowy czapkę, drab złapał go pod pachę, wykręcił mu rękę, zmusił go do kucnięcia, pociągnął w kierunku drzwi, otworzył je wolną dłonią, puścił Anglika i w ułamku sekundy jak w gagu w niemym filmie wypłacił mu zamaszystego kopa w dupę.

– Następnym razem zawołaj Sebastiana – powiedział, pokazując palcem na środek swojej klatki piersiowej.

– Sebastiana – powtórzyłam.

– Może być Seba – uściślił drab i wrócił na bramkę.

Nad ranem w knajpie byłam tylko ja i Iga, drugi barman o pseudonimie Kacy, słaniający się Papa oraz Sebastian i Yogi, cały czas zastygnięci przy swoich stolikach.

Byłam już ledwo przytomna, ale wciąż mówiłam. Iga też mówiła. Momentami mówiłyśmy równocześnie. Śmiałyśmy się jak dwie idiotki.

Miałam znowu najlepszą koleżankę i było to miłe i dobre uczucie, uczucie, którego doświadczyłam ostatnio, gdy miałam jakieś szesnaście lat.

– Ściągnij tu swoją córkę, stara, ona musi być naprawdę znakomita, ty jesteś znakomita, więc ona też musi być. – Iga nalewała nam kolejne drinki, jednocześnie starając się trafić naczyniami do zmywarki i pieniędzmi do kasy.

– Czapa, oddałbym serce matki za taką kobietę jak ty – deklarował Papa oparty o bar.

– Muszę się tu zakotwiczyć. – Rozłożyłam ręce, przy okazji lekko się potykając. – Nic nie mam. Nie mam nawet pracy. To malowanie siniaków w TVN-ie za dwadzieścia złotych to nie jest praca. Muszę coś mieć. Muszę dać coś Eli.

– Zostań tu barmanką. – Iga się uśmiechnęła. – Papa, zatrudnij Agę. Zobacz, Aga jest fajna, jest zajebista.

– Zajebista – powtórzył Kacy, po czym zasnął.

Papa położył się na barze. Ja zaczęłam się śmiać. Naprawdę bawiła mnie ta sytuacja.

– Zostań – powtórzyła Iga – co ci szkodzi? Byłaś kiedyś barmanką?

– Jestem za stara – odpowiedziałam.

– Gówno prawda – odparła Iga. – Musisz spróbować. Jest smutno, ale wesoło. Prawda, Papa?

Papa podniósł się, oparł o blat łokciami i wyszeptał, zionąc trawioną wódką:

– Czapa, posłuchaj. Posłuchaj, Czapa. Coś ci powiem, nie obraź się. Nie obrazisz się?

Pokręciłam głową, próbując delikatnie się odsunąć.

– Oddałbym serce matki za taką kobietę jak ty.

I tak w wieku trzydziestu pięciu lat zostałam barmanką. Wewnętrznie odmłodziło mnie to o jakieś piętnaście lat. Przynajmniej tak mi się wydawało przez jakieś pierwsze dwa tygodnie pracy. Przynajmniej tak się w to bawiłam. Może było to niemądre, kuriozalne i ekstremalnie niehigieniczne. Może coś nadrabiałam, coś, co straciłam. Może

w najgłębszej warstwie mojego charakteru byłam nieodpowiedzialną idiotką. Ale Iga miała rację – było wesoło. Wokół kręciło się pełno ludzi. Cały czas głośno grała muzyka. Cały czas byłam chociaż trochę pijana. Potrzebowałam tego jak powietrza. Potrzebowałam nie myśleć.

Teraz płakałam tylko przez chwilę rano, gdy budziłam się na kacu.

Moja najlepsza przyjaciółka, Iga, oczywiście wprowadziła się do mnie po tygodniu. Od dwóch lat wynajmowała jakąś dwudziestometrową klitkę niedaleko Radia Kraków, której połowę zajmował stół, a drugą połowę książki. Wprowadziła się bez wahania, poprosiłam ją jedynie, aby dorzucała się do rachunku za gaz. Gdy się wprowadziła, znowu rozmawiałyśmy całymi dniami. Bez przerwy. Uwielbiałam z nią rozmawiać. Nie mogłam przestać.

Rozmawiałyśmy o ucieczkach z domu Igi, o jej nieżyjącym chłopaku Gucku, o jej innym chłopaku, którego wyciągnęła z narkotyków i spania na parkowych ławkach, a który obecnie jest panem dyrektorem w zakładach metalurgicznych, o innym chłopaku, którego wciąż nie może przestać kochać, chociaż między nimi wyschło już wszystko, o jej matce, nobliwej pani profesor na prywatnej katolickiej uczelni, o przyjaciółkach, przyjaciołach, o mojej córce, o złych wyborach.

Pewnego wieczoru Sebastian, nasz ochroniarz, przyszedł do pracy po raz pierwszy z innym wyrazem twarzy niż zwykle. Jego brwi były ściągnięte, kąciki ust miał opuszczone. Był zgarbiony, jakby ktoś położył mu coś ciężkiego na plecach. Potrzebowałyśmy paru godzin, aby zrozumieć, że jest po prostu smutny. Gdy zapytałyśmy, o co chodzi, powiedział, że narzeczona wyrzuciła go z domu, że teraz nie ma gdzie mieszkać, że nie chce wracać do rodziców, którzy mieszkają z jego bratem w nowohuckim mieszkaniu o powierzchni dużej wanny.

Jasne, Sebastian, wprowadzaj się. Nie ma sprawy. Dawaj. U mnie jest mnóstwo miejsca, sto metrów. Sebastian zajął najmniejszy pokój, pierwszego dnia naprawił instalację elektryczną, skręcił na nowo chybotliwe już meble z IKEA i uszczelnił okna.

Wciąż było wspaniale i dalej czułabym się dobrze, gdyby nie pytania mojej córki, do której dzwoniłam cały czas, ilekroć się dało, a Ela wciąż pytała, kiedy będzie mogła przyjechać.

Wciąż myślałam o tym, co zrobić. I szybko zrozumiałam, że tak naprawdę nie mam żadnego planu.

Oczywiście poznawałam facetów. Niektórzy wylatywali z mieszkania już rano. Inni zostawali dłużej, na parę nocy, ale i tak potem wylatywali. Byli młodsi, starsi, w moim wieku. Głupi i inteligentni. Ładni i mniej ładni. W tym, dlaczego wylatywali z mojego mieszkania, nie było żadnego wzoru ani żadnej regularności.

Niewiele z nimi rozmawiałam. Byłam dorosła i chciałam, aby nikomu nie było przykro. Wystarczyło, że pod spodem całej tej wesołej zabawy w studentkę to mnie cały czas było przykro.

Pewnego razu jednak pojawił się w Kocie jeden chłopak, który nosił tygodniowy zarost, był szczupły, miał półdługie, nieumyte, brązowe włosy, brudne trampki i dobrą, dopasowaną marynarkę. Był jednocześnie zużyty i świeży. Przyszedł z kolegą, który dużo do niego mówił, a ten tylko się uśmiechał, jakby nie chciał sprawić swojemu koledze przykrości.

– Czy tu można płacić kartą? – zapytał, przechylając się przez bar. Nie wyglądał na posiadacza swojego głosu. Brzmiał mocno, dźwięcznie i szorstko, dodawał mu wzrostu i szerokości w barkach. Spodobał mi się, gdy się odezwał, naprawdę mi się spodobał, i było to dziwne uczucie, bo tak naprawdę żaden mężczyzna nie spodobał mi się od jakichś dziesięciu lat.

Iga zauważyła to i się zaśmiała.

– Kredytową? – zapytał.

– Nie, nie można – odparła.

– To moja karta – powiedział, wyjmując z portfela jeszcze dowód osobisty. – Naprawdę.

– Ufam ci. – Iga znowu się zaśmiała. – Ale terminal nie żyje. Zrób mu kreskę – zwróciła się do mnie Iga. – Pójdziesz do bankomatu, prawda? Bo inaczej za ciebie zapłacimy.

Kiwnął głową. Pierwsze wrażenie sprawiało, że jego oczy schowane za rogowymi okularami były jak zepsute reflektory. Ale tak naprawdę była w nich bystrość i ostrość. Miał w nich małe nożyki. Te nożyki kroiły rzeczywistość. Ten chłopak był niegłupi. Było to widać od razu.

– Skoro to nie problem – stwierdził – poproszę czystą wódkę z lodem.

Iga podała dwie wódki, jedną z cytryną, drugą z samym lodem.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie ma problemu – odparłam i poczułam się skrępowana i zdenerwowana, jakbym była małolatą. Ale przecież w sumie byłam małolatą. Starą małolatą.

W knajpie nie było ruchu. Miał się zacząć dopiero za kilkanaście godzin. Kolega wciąż do niego mówił, ale nie słuchał, za to uśmiechał się do mnie, co jeszcze bardziej mnie irytowało. A Iga stała obok i śmiała się ze mnie w kułak. Niegłupi, ładny chłopak dopił szybko wódkę i jeszcze raz zajrzał do portfela.

– Chyba jednak pójdę do tego bankomatu – stwierdził.

– Chyba koleżanka cię odprowadzi. – Iga pokazała głową na mnie.

– Nie ufacie mi. – Uśmiechnął się.

– Nie, zupełnie ci nie ufamy – powiedziała Iga.

Tego wieczoru już nie wróciliśmy do Kota. Mówiąc szczerze, nie pamiętam, gdzie poszliśmy. Nazywał się Jacek i wszystko było w nim ciekawe. A może ja chciałam, aby właśnie tak się działo. Przypominał książkę ze zwrotem akcji na każdej stronie. Mówił mi o swojej pracy i o tym, że zarabia dużo pieniędzy jako analityk giełdowy i pracownik funduszu inwestycyjnego, o swoich skończonych trzech kierunkach, o tym, że dwa lata spędził w Stanach Zjednoczonych, z czego pół roku jako bezdomny, a trzy miesiące w areszcie, że spróbował tam peyotlu na pustyni w Arizonie i że tak naprawdę nie było to nic szczególnego, opowiadał o tym, jak dwukrotnie zabrano mu prawo jazdy, o tym, jak nauczyciele zatrwożeni zadzwonili do jego rodziców, gdy miał dziesięć lat, bo jako dziesięciolatek przygotował wypis błędów historycznych z *Faraona* Bolesława Prusa.

Zjedliśmy znakomitą kolację. Potem poszliśmy do niego do domu. A następnie, nad ranem, uprawialiśmy seks pod Wawelem i było mi z tego powodu wstyd.

Następnego dnia przyszedł do mnie do mieszkania. Oglądaliśmy telewizję, Jacek robił cichy, durny dubbing do każdego programu i do każdej reklamy, a mnie ze śmiechu o mało co nie zarwał się żołądek. Potem znowu uprawialiśmy seks. Później wstał, poszedł do sklepu i zrobił na śniadanie jajka po wiedeńsku. W połowie prac nad śniadaniem oświadczył, że chciałby też zrobić kawę. Zgodnie z prawdą powiedziałam mu, że zepsuł się ekspres. Wsiadł do taksówki, pojechał do rynku i po dwudziestu minutach przyjechał z nowym.

Gdy parzył w nim dziewiczą kawę, Sebastian zapukał do mojego pokoju i zapytał:

– Agnieszka, ja rozumiem, bawimy się i jest wesoło, ale musiałaś przyprowadzić sobie takiego Rumuna?

Jacek, wracając z kuchni, minął się z nim w drzwiach, i wyciągnął do niego rękę.

– Sebastian – powiedział Sebastian.

– Rumun – odparł Jacek.

– Chodź tu, Rumun – zawołałam go do pokoju i zamknęłam drzwi, a gdy skończyliśmy się kochać, jajka i kawa były już dawno zimne. Rumun wyrzucił zimne i zrobił nowe.

Po dwóch tygodniach powiedziałam mu, aby się wprowadził. Oczywiście do osobnego pokoju.

– Masz coraz większy regres – stwierdziła Iga.

– Trochę się zakochałam w tym chłopaku – odparłam i wzruszyłam ramionami. – Poza tym jest jeszcze jeden wolny pokój.

– A on nie ma swojego mieszkania? – zapytała Iga.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Przyjechał do Instytutu z laptopem, plecakiem z ubraniami i jednym kartonem. Położył to w pustym, wolnym pokoju. Pojechał taksówką do

IKEA, skąd po dwóch godzinach wrócił z materacem, pościelą i kilkoma wielkimi poduszkami.

– To wszystko? – zapytałam, gdy ustawił karton w rogu, położył pościel na materacu, na pościeli laptop, stanął nad tym z założonymi rękami i popatrzył na to jak na urządzony dom.

– Tak, to wszystko – odparł.

Nie wiem, ile to potem trwało, może trzydzieści dni, może krócej, może trochę dłużej; dni, kiedy dzwoniłam do córki i upewniałam się, czy u niej wszystko w porządku, a ona każdego dnia oddalała się ode mnie coraz bardziej, nawet nie wiedziałam o ile – o jeden krok? O kilometr? O całą galaktykę? Ale były to również dni, kiedy zasypiałam i budziłam się razem z Rumunem, chodziliśmy razem na spacery, czytaliśmy książki, słuchałam tego, co do mnie mówi – a mówił dużo, naprawdę dużo, i dużo wiedział.

Przez mniej więcej trzydzieści dni, wciąż na wygnaniu, wciąż w jakiejś kolorowej symulacji studenckiego życia, wciąż na innej planecie niż moja córka, nawet przez chwilę nie pomyślałam o tym, że mogę mu zrobić przykrość. Co więcej, pewnego dnia, może zmywając naczynia, a może leżąc w wannie, przeszło mi przez głowę, czy przypadkiem Jacek nie zrobi mi jakiejś przykrości.

Po trzydziestu, a może sześćdziesięciu dniach tej miłej relacji, wciąż składającej się z przebywania ze sobą, rozmawiania, słuchania, oglądania i spacerowania, pojawił się problem. Dla Jacka to było właśnie to. Tego właśnie chciał. Na to czekał. Ta Agnieszka, którą widział, nieprawdziwa Agnieszka, Agnieszka pomalowana różową farbką, Agnieszka udająca rozrywkową studentkę ASP, odgrywająca własny *Powrót do przeszłości*, była Agnieszką, w której się zakochał. Gdy poczułam to po raz pierwszy, wzdrygnęłam się, a gdy poczułam, że się wzdrygnęłam, zrozumiałam, że z mojej strony jest już po sprawie.

Ale nie było. Prawdziwa Agnieszka płakała, patrząc na zdjęcia w telefonie, gdy nikt nie widział, zdjęcia z wycieczki do zoo.

– To wszystko nieprawda, Rumun – powiedziała pewnego dnia prawdziwa Agnieszka, którą Jacek zobaczył po raz pierwszy. Prawdziwa

Agnieszka miała bruzdy i kurze łapki wokół oczu, miała kąciki ust ściągnięte w dół, prawdziwa Agnieszka chodziła wolno, lekko zgarbiona, co jakiś czas musiała przytrzymać się ściany, prawdziwa Agnieszka być może miała już pięćdziesiąt kilka, a nie trzydzieści kilka lat. – To taka bajka – podsumowała Agnieszka.

– Nie rozumiem – powiedział Rumun, podnosząc się do pionu jak każdy mężczyzna.

– To wszystko się niedługo skończy, dlatego powinniśmy jeszcze bardziej to doceniać. – Uśmiechnęłam się.

– Nie rozumiem, Agnieszka, nie mów do mnie szyframi – powtórzył.

– Próbuję ci powiedzieć – położyłam mu dłoń na sercu – że świetnie się bawimy.

– No właśnie – wyszeptał, a jego twarz odrobinę stężała. – No właśnie, świetnie się bawimy.

– Ja robię to wyłącznie dlatego, aby nie myśleć o tym, co tak naprawdę mam do zrobienia – wyszeptałam nieskładnie i zupełnie niezrozumiale.

– Chyba po to ludzie się bawią – zauważył przytomnie.

Wstałam. Poszłam do kuchni po butelkę okropnie zmaderowanego wina i nalałam nam po szklance, bo wszystkie kieliszki zostały potłuczone przez zaadoptowanego przeze mnie dwa tygodnie wcześniej ze schroniska Czarnego i Białego, którego Rumun przy okazji sprezentował mi do kompletu.

– Jesteś moją rozrywką, Jacek – powiedziałam.

– Nie przeszkadza mi to, że masz dziecko – wydusił. – Chciałbym, abyśmy je razem... no wiesz.

– Nie ma szans. – Pokręciłam głową.

„Więc jednak tak" – pomyślałam. Było mi przykro. Było mi go szkoda. Ale najpierw było mi głupio.

– Jak to nie ma szans? Na wszystko jest szansa! Co chcesz, żebym zrobił? – wydukał.

Rozmowy o pierdołach wychodziły nam świetnie. Były długie, potoczyste jak wywiady rzeki. Rozmowa o sprawach istotnych, jak

z każdym, jak zwykle, w ogóle się nie kleiła.

– Abyś się wyprowadził – oznajmiłam. – Najlepiej zaraz. Bardzo cię przepraszam.

Włożył koszulkę, wziął swoje wino i wypił je jednym łykiem.

– Idę do swojego pokoju – powiedział, starając się na mnie nie patrzeć.

– Bardzo cię przepraszam – wyszeptałam.

– Nie ma za co. – Pokiwał głową. – Wszystko rozumiem. Ale nie chcę się wyprowadzić.

– Co? – zapytałam.

– Wszystko w porządku. Mam swój pokój. Naprawdę. Ja wszystko rozumiem, ale pokój najemcy wypowiada się z miesięcznym wyprzedzeniem – wyjaśnił.

Utkwiłam w bezruchu z otwartymi ustami.

– I nie rozmawiajmy, proszę, o braku umowy, bezprawnym użytkowaniu, o policji. Nie rozmawiajmy. Te rozwody wcale nie muszą być takie brzydkie – powiedział.

Wysyczałam cicho jakieś przekleństwo.

– Po prostu umówmy się jak ludzie. Muszę coś znaleźć. Coś, co mi będzie odpowiadać, nie mogę mieszkać byle gdzie – oznajmił. Uśmiechnął się bezczelnie, jak tylko można, i zamknął drzwi.

Usiadłam na łóżku, oparłam głowę o dłoń i wzięłam do ręki telefon. Na ekranie były cztery nieodebrane połączenia od mojej córki.

*

Nie boję się, w środku związałam się w asfalt. Moje serce bije równo, oddech jest wyrównany. Nie boję się. Zaraz stąd wyjdę. Owszem, może być tak, że dopiero wtedy, gdy się wydostanę, zacznę się bać. Ale nie boję się tego.

– Wbiliście mi to w śmieszny sposób. Nadszarpnęliście tętnicę, ale nie do końca – mówi spokojnym głosem. – Więc mam jakieś kilkanaście minut.

– To ty. – Pokazuję na niego palcem.

Kręci głową.

– Ja czy nie ja – odpowiada – to nieistotne.

– Jesteś chory – szepczę mu o prostych faktach, bo straciłam umiejętność mówienia głośno – jesteś chory, zamknąłeś nas tu i zabiłeś ich, zrobiłeś to wszystko, bo chciałeś się na mnie zemścić, że cię zostawiłam. Jesteś chory, Jacek czy jakkolwiek masz na imię.

Jacek kręci głową. Podnosi się na łokciach, jakby chciał wstać. Krew sączy się z jego uda, na podłodze jest już duża, czarna, okrągła plama. Nikt z nas jednak nic nie robi. Nikt nie próbuje zatamować krwotoku. Stoimy nad nim spokojni i pozwalamy mu umrzeć.

Nie myślę o tym, że to straszne.

Po chwili jednak znowu pada na podłogę. Stoimy nad nim w kółku. Patrzymy na niego bez słowa.

Ma strzaskany nos, który zamienia jego twarz w brunatną, rozlaną plamę na białym tle z doklejonymi oczami i czarną jamą ust. Oddycha ciężko ustami, słowa wypowiada powoli. Przysuwam się do niego.

– Nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywasz – mówię. – Nigdy nie widziałam twojego dowodu osobistego.

– Zastanów się, ilu ludzi pokazywało ci swoje dowody osobiste – odpowiada, odpluwając.

– Jak masz na imię? – pytam.

– Jacek.

– Skąd jesteś?

– Z Instytutu – odzywa się po chwili, biorąc najpierw głęboki wdech.

Sebastian podchodzi do niego powolnym krokiem, staje za nim, chwyta za włosy i odciąga mu głowę do tyłu.

– Mów, bo cię zajebię! – wrzeszczy.

– Co mam mówić? – pyta Rumun.

– Kto ci pomaga!? – wrzeszczy dalej Sebastian.

Kiwam głową.

– Czy wyglądam, jakby ktokolwiek mi pomagał? – Rumun się uśmiecha.

Od tego, że żartuje, leżąc umierający na podłodze, robi mi się przez chwilę ogromnie zimno. Ale wciąż jestem spokojna, wciąż się nie boję.

To on nas zdradził. To on zrobił nam to wszystko. To on sprawił, że jesteśmy tu zamknięci.

– Zajebię cię! – warczy Sebastian.

– Ja już jestem zabity – mówi cicho, zimno i spokojnie i dodaje: – Pamiętasz? Chłopak na Olszy, trzy lata temu. Banalna sprawa, co, Sebastian?

Sebastian zastyga z szeroko otwartymi oczami. Opuszcza na chwilę nóż, po czym doskakuje do Rumuna i zaczyna nim szarpać, jakby chciał wytrząsnąć z niego to, co ten przed chwilą powiedział.

– Nikogo, kurwa, nie zabiłem! – wrzeszczy. – Nikogo, kurwa, nie zabiłem!

– Czternasty listopada dwa tysiące siódmego roku. – Rumun się uśmiecha. – Próbowaliście zrobić wjazd na osiedle i pobić paru wiślaków. Idioci. Dostaliście wpierdol od razu po wyjściu z samochodu. Potem, jak wróciłeś już do siebie, na przystanku stał ten chłopak. Obok była zbita szyba. Zdenerwowałeś się, że chłopak zbił szybę

– Zamknij się! – drze się. – Zamknij ten zaruchany ryj!

– Szybka kosa. W płuco. Nawet nie myślałeś. Nie było świadków. Długo biegłeś. Wrzuciłeś nóż do Wisły.

– Stul mordę! – ryczy jak wielkie zwierzę Sebastian. – Zamknij tego ryja! Zamknij go!

– On dosyć szybko umarł, Sebastian. – Rumun znowu się uśmiecha. – Nazywał się Dawid Malinowski, miał siedemnaście lat, uczył się w technikum samochodowym, lubił grać w Pro Evolution Soccer i umarł dwadzieścia minut później w karetce. Nie wiedziałeś.

Na chwilę zapada cisza. Sebastian stoi nad nim, dysząc.

– Kim ty, kurwa, jesteś? Kim ty, kurwa, jesteś? – pyta.

– Nazywam się Jacek. Mam pseudonim Rumun. Jestem z Instytutu – odpowiada, spuszczając na chwilę bezwładnie głowę, ale zaraz ją podnosząc.

Przez chwilę jest zupełnie cicho.

– Co chcieliście zrobić dalej? Zabić nas? Jak Ankę i jej chłopaka? Pokaleczyć? Co chcieliście zrobić? – pytam, słysząc swój głos, zdając sobie sprawę, że jest przyciszony i wytłumiony, że ma dziwną barwę, że równie dobrze mógłby należeć do kogoś zupełnie innego. Nawet gdybym chciała krzyknąć i tak bym nie potrafiła. Jakby coś zaplombowało mi gardło. Jakby coś we mnie wyschło. Coś straciłam, jakąś ważną synapsę. Wyłączył mi się jakiś ośrodek w mózgu. Nie boję się tego, po prostu stwierdzam fakt.

– Zobaczysz – odpowiada.

– I to wszystko z naszego powodu, tak? – pytam spokojnie.

– Przeceniasz się, Agnieszka. – Kręci głową. – Ale nie przejmuj się. To ludzka rzecz wyobrażać sobie, że jest się ważnym i cennym człowiekiem.

– Specjalnie nalegałeś na to, że to ty wyjdziesz z mieszkania – mówię, walcząc z ochotą, aby na niego nie nadepnąć.

– Dziesięć punktów za spostrzegawczość – odpowiada wyraźnie zirytowany.

Czekam, aż powie coś jeszcze; od jakichś dwóch godzin czekamy na to wszyscy, nie spuszczając z niego wzroku.

– Zabiłeś ich – powtarzam to w kółko. Gdy kilka godzin temu wymówiłam wyraz „zabiłeś”, jeszcze coś poczułam, po raz pierwszy w życiu: zimne targnięcie, jakby krótki atak padaczki. Ale teraz słowo „zabiłeś” wypada mi z ust jak każde inne. Jest mi obojętne. Nawet jakoś specjalnie nie brzmi.

– Ja wiem, że czujecie się oszukani, ale wszyscy na świecie są oszukani, wszyscy ludzie są codziennie dymani, codziennie wszyscy ludzie są więzieni, więc nie mam pojęcia, dlaczego czujecie się jacyś wyjątkowi – mówi. Przerywa, łapie oddech, aby nabrać sił. Jest mocno osłabiony. Rzeczywiście za chwilę może umrzeć, życie wycieknie z niego w postaci krwi podobnej do ropy.

To może być dla kogoś straszne, że nie chcemy w jakikolwiek sposób go uratować. Że właściwie go zabiliśmy. Myślę o tym z zupełnym spokojem, że to może być dla kogoś straszne. W moim mózgu coś się wyłączyło i naprawdę się tego nie boję.

– Czy ci ludzie są dla was w jakiś sposób ważni? – pyta po przerwie. – Czy byliby ważni dla kogokolwiek?

– Ona miała dziecko – mówi Iga.

– Spodziewali się dziecka – dodaje Weronika.

– Dzieciak byłby rośliną do końca życia – odpowiada powoli, co chwila kaszląc. – On pewnie rozpiłby się do reszty. Zacząłby ją bić. Pracowałby pewnie jako ochroniarz albo kasjer. Nic więcej, bo przy którymś z remontów uszkodziłby sobie rękę. Powtarzałby rok na studiach, na prywatnej uczelni, na administracji, a studia opłacałby właśnie z tych remontów. Ona siedziałaby w domu, po studiach, bez doświadczenia. Iberystyka. Z zupełnego braku pomysłu na cokolwiek po prostu nauczyła się języka, bo jej bogatsza koleżanka zrobiła to samo. Nigdy nawet nie była w Hiszpanii. Nigdy by tam nie pojechali. Nie mogliby nawet wziąć kredytu na mieszkanie. Dziecko śliniłoby się na wózku inwalidzkim, kiedy on rzucałby butelkami i trzaskał ją pięściami po głowie, gdy rodzice, u których by mieszkali, akurat wyszliby z domu. U rodziców albo w jakiejś smutnej kawalerce wynajmowanej za tysiąc złotych. Miał początki nerwicy alkoholowej, już w podstawówce psycholog szkolny zdiagnozował go jako wyjątkowo agresywnego. Poznali się w uroczy sposób, jak w romantycznej komedii: ona była pijana na imprezie u koleżanki, Sylwii Karczuk, a on przyszedł tam z jej aktualnym wtedy chłopakiem, z którym studiował, a który nazywał się chyba Michał Dobojć. On nie miał dziewczyny od

liceum. Ona wcześniej jedynie raz spała z chłopakiem. Gdy już znaleźli się na osobności, efekt był fatalny. Michał musiał siedzieć piętnaście minut w łazience, aby postawić swojego półpłodnego fiuta dłonią do pionu, ale rano oboje wiedzieli, że jeśli nie oni, to kto inny ich zechce? Do rzeczy, myślicie, że oni byliby ważni dla kogokolwiek?

– Zamknij się! Nie mów już nic! Umrzyj już! – krzyczy Weronika, a każdy wykrzykiwany przez nią wyraz klekocze jak stary rower jadący po brukowanej ulicy. Po chwili pochyla się gwałtownie w jego kierunku, jakby chciała go dobić, ale powstrzymuję ją ręką.

– Przecież nic im nie powiedziałaś, co ty się tak unosisz. – Rumun odwraca się w jej kierunku. – Lekarz wszystko wykrył. Niedokrwienie mózgu. Oni wszystko wiedzieli. Przyszli do ciebie, żeby się pocieszyć. I ty za drugim razem ich okłamałaś. Nie wiedziałaś, czy dzieciak jest zdrowy, czy chory. Nie miałaś zielonego pojęcia.

– Nie jestem kłamcą – odpowiada Weronika. – Nigdy nikogo nie oszukałam.

– Nie masz żadnych tajemnych mocy, kretynko – kontynuuje spokojnie. – Po prostu próbujesz zwrócić na siebie uwagę w idiotyczny sposób, ponieważ całe życie wiedziałaś, że jesteś równie interesująca jak ryza papieru do drukarki.

– Nic o mnie nie wiesz. Nie masz pojęcia – ripostuje Weronika, jest w histerii, więc mówiąc, próbuje szybko złapać powietrze. – Gówno o mnie wiesz. Nie rozmawialiśmy. Nigdy nie rozmawialiśmy.

– Są ludzie, którzy opowiadają wokół, że są chorzy na raka – odpowiada powoli; znów próbuje podnieść się na łokciach do pozycji półsiedzącej – aby zwrócić czyjąś uwagę. Są ludzie, którzy, nie wiem, interesują się modą. Są ludzie, którzy opowiadają, że rozmawiają z duchami. To trochę smutne: być bileterką w kinie po filmoznawstwie, co? Kiedy cztery razy zdawało się do szkoły filmowej?

Weronika wycofuje się do swojego kąta. Płacze, nie wydając żadnego dźwięku.

– To jednak smutne wiedzieć, że nie będzie się nigdy dla nikogo ważną osobą. – Rumun wydycha powietrze. – Ludzie próbują zaradzać temu za wszelką cenę. Kiedyś po prostu zakładało się rodzinę.

Mam dość. Staję nad nim i biorę jego twarz w swoją dłoń; ściskam ją jak skórzany worek, miękki worek. Nachylam się i patrzę w jego oczy, w których powoli przestaje mieszkać ktokolwiek, nadchodzący sen rozmywa i zagęszcza jego spojrzenie jak mąka. Ma wzrok, jakby w gałkach ocznych odbijał mu się biały szum z telewizora.

– Jesteś spokojna, Agnieszka. – Uśmiecha się. – Znalazłaś przed chwilą dwa trupy, a jesteś taka spokojna.

– Pierdol się – odpowiadam.

– Będzie więcej trupów – mówi.

– Będzie. Twój – odpowiadam.

– Nie. – Uśmiecha się. – Nie tylko mój.

– On naprawdę zaraz umrze – rzuca Iga.

– Niech umiera – stwierdzam, a może to ktoś inny schowany w moim żołądku.

Iga podchodzi do niego, kładzie dłoń obok rany, zaciska.

– Tak nie można, tak nie można – powtarza; idzie do łazienki, szuka czegoś, po chwili przynosi ręcznik, próbuje zawiązać jakąś opaskę uciskową przy jego pachwinie.

– Iga, oni chcą nas wszystkich zabić – mówię, a ona, wciąż powtarzając: „tak nie można", zaciska ręcznik jeszcze mocniej na jego nodze. – Można, Iga – dodaję, ale jej nie przerywam. Niech robi swoje.

Wiem, że można. Zrozumiałam, że można kogoś zabić, że czasem trzeba kogoś zabić, zanim ten ktoś zabije ciebie. Zrozumiałam to jakieś pół godziny wcześniej, gdy weszliśmy przez drzwi w mieszkaniu Finkiel, drzwi obok telewizora, drzwi schowane za meblościanką.

Za drzwiami była ciemność, ciemność jak ogromne, czarne gardło i zimno, przenikające z zewnątrz przez nieszczelne okna i ściany, nagła fala mrozu z nieogrzewanego pomieszczenia. Wymacałam dłonią przełącznik światła. Pojawiło się dopiero po chwili: żółta, blada łuna

z jednej słabej żarówki, za mała, aby oświetlić duże, niskie pomieszczenie o powierzchni dobrych stu metrów kwadratowych. Zupełnie puste.

„Tego pomieszczenia nie powinno tu być, na logikę, na wielkość – pomyślałam. Tego pomieszczenia nie powinno tu być z każdego możliwego powodu".

Zamknęliśmy za sobą drzwi. Ściany pomieszczenia były żółtawe, brudne, zamazane. Jego drugi koniec tonął w mroku. Wciskaliśmy wzrok w tę ciemność i wtedy coś się w niej poruszyło. Wydało dźwięk podobny do cichego charknięcia.

Krzyknęłam i odruchowo oparłam się o ścianę. Moje plecy wyczuły jakąś twardą wypustkę i wtedy przed naszymi oczami wybuchł biały, szpitalny blask, zaświeciły się podwieszone wzdłuż całego sufitu jarzeniówki. Musiałam na chwilę zasłonić oczy, ale gdy je otworzyłam, Sebastian znajdował się już w połowie tej sali, szedł w kierunku jej drugiego końca. Tam leżały dwa przewrócone krzesła, mała, cyfrowa kamera na statywie i kolejne drzwi, jednolite i metalowe.

Do krzeseł byli przywiązani Robert i Anka. Gdy ich zobaczyłam, przestałam coś czuć. Jeszcze nie wiedziałam co.

Anka była martwa, leżała na boku w gęstej, ciemnopurpurowej kałuży, jakby pomimo przypięcia do krzesła w ostatnim momencie próbowała się skulić. Miała półotwarte usta. Jej oczy były szklane i zdziwione jak u lalki. Pomyślałam, nie wiedzieć czemu, że ten kolor jest nie do końca udany. Że ta krew wygląda zanadto jak koncentrat syropu i warto by jeszcze pokombinować z barwnikami.

Gardło Roberta było przecięte. Jego krew wyglądała realistyczniej niż Anki. Był nią cały zalany, od szyi w dół. Leżał na podłodze wraz z krzesłem, wciąż do niego przywiązany.

Nie wyglądał, jakby walczył. Wyglądał za to, jakby umarł szybko. Sebastian stał obok, nie wiedziałam, w jakim jest stanie. Oddychał ciężko i głęboko. Być może się bał. A być może coś się w nim wyłączyło, tak jak we mnie.

Odruchowo położyłam Robertowi dłoń na czole. Po chwili wstałam. Niezbyt wiedziałam, co mogę zrobić. Czułam, że powinnam wykonać jakiś gest, zaklęcie, ale żadnego nie znałam, a może znałam, ale nie mogłam sobie przypomnieć.

Pokazałam Sebastianowi palcem drzwi, a następnie podeszłam w tamtą stronę i zaczęłam wodzić po nich dłonią. Nie było żadnej klamki, żadnego otworu. Zapewne dało się je otworzyć jedynie od wewnątrz. Metal miał ten sam kolor co ściany – brudny, żółty krem.

Sebastian odsunął mnie jak najdelikatniej, po czym z całej siły trzasnął nogą, potem jeszcze raz i jeszcze raz, ale jedynym efektem był odgłos, który sprawił, że musiałam zakryć sobie uszy: brzmiał jak uderzanie w potężny, ale bezdźwięczny gong. Kopał w drzwi jak w transie na różne sposoby: bokiem stopy, podeszwą, czubem, jedną i drugą nogą na zmianę.

Przestał dopiero po paru minutach. Złapał stojącą na statywie sporą kamerę i rzucił nią w drzwi, jakby ważyła pół kilograma. Statyw pękł w połowie; dobiegł do niego, chwycił kamerę i rzucił nią jeszcze raz w drugą stronę, daleko, z nadludzką siłą, i jeszcze raz roztrzaskała się na kilka części.

– Już wystarczy – powiedziałam. – Wracamy. – Pokazałam mu ręką.

Powoli zeszliśmy na dół, zauważyłam, że kuśtyka, wolno się porusza, trzymając się za nogę.

– Chyba skręciłeś nogę – rzuciłam, kucnęłam i podciągnęłam nogawkę. Jego kostka puchła w oczach. Kopał za mocno.

– Nic się nie stało – odparł. Chciałam złapać go za rękę, ale pokręcił głową. Ruszyliśmy z powrotem do Instytutu. W połowie schodów, prowadzących w dół do pokoju Finkiel, Sebastian na chwilę się zatrzymał, jakby coś mu się przypomniało. – A co z nimi? – zapytał.

– Co z nimi? – powtórzyłam pytanie.

– Ciało. Trzeba zrobić coś z ciałami – powiedział, wskazując głową pomieszczenie na górze. – Nie mamy co teraz z nimi zrobić. Chodź.

Delikatnie dotknęłam jego ramienia. Odskoczył, jakbym poraziła go prądem.

– Coś trzeba. Coś trzeba – powtórzył dwa razy. Było czuć, że ma już dosyć. Zaprowadziłam go z powrotem do Instytutu za rękę jak dziecko. Człapał, rozglądał się dookoła szeroko otwartymi oczami jak przerośnięty bobas.

– Agnieszka – mówi coraz ciszej i słabiej Rumun, musi się mocno koncentrować, aby wypowiadać zdania do końca. Pomimo zawiązanego przez Igę ręcznika kałuża jest coraz większa, coraz ciemniejsza. – Wiesz, to w ogóle nie chodzi o ciebie, ale przy okazji naprawdę cię polubiłem.

– Co to znaczy przy okazji? – pytam. – Przy jakiej, kurwa, okazji, człowieku, o czym ty mówisz?

– Sięgnij do mojej kurtki, do lewej kieszeni. – Kiwa głową. – Mam tam fajki.

Nie reaguję. Rozglądam się po pozostałych.

– Zapal sobie. – Uśmiecha się. – Wszyscy sobie zapalcie.

Kieruję się w jego stronę, ale Sebastian daje mi znać gestem ręki, abym się nie ruszała. Kuca przy nim i ostrożnie wyciąga mu papierosy z kieszeni. Paczka jest zafoliowana – rzuca mi ją, chwytam, otwieram, wyciągam i zapalam pierwszego papierosa od dwudziestu czterech godzin, ale tak naprawdę chyba pierwszego w życiu, dym jest miękką i gorzką kołdrą, jest kojący, jest smaczny.

Chucham mu nim w twarz.

– Jak to przy okazji? – powtarzam.

– Przy okazji, gdy cię poznałem, również cię polubiłem – powtarza.

– Przy okazji? – podnoszę głos, ale muszę się do tego zmusić. To kosztuje dużo wysiłku, jakbym musiała się nagle położyć i zrobić pięć pompek.

– Skurwysynu, mów, kim jesteś, mów, kto ci pomaga, mów, o co tutaj chodzi, mów, kurwa, mów! – Iga z wrzaskiem gwałtownie się zrywa. – Mów albo zdejmę ten zacisk, mów!

– To nic nie zmieni – odpowiada Rumun.

Sebastian w milczeniu wciąż przewraca oczami; po chwili podchodzi do drzwi mojego pokoju i z całej siły uderza pięścią o framugę. Patrzę mu

głęboko w oczy. Wiem. Rumun miał rację. Sebastian zabił tego chłopaka.

Uderza jeszcze raz pięścią w ścianę i po chwili wstaje, dysząc. „Jeszcze chwila kontroli, Sebastian – proszę go w myślach – błagam cię, ufam ci. Jeszcze chwila".

– To nic nie zmieni, ja i tak zaraz umrę, po prostu idźcie do swoich pokojów i pozwólcie mi to zrobić – mówi Rumun.

– Najpierw wszystko powiesz – informuję go.

– Nic nie powiem – odpowiada Rumun.

– Gówno! – krzyczy Iga, doskakuje do przesiąkniętego krwią ręcznika obwiązanego wokół jego nogi i znowu chwyta za nożyczki.

– Superprzyjaciółka – mówi Rumun.

– Zostaw – zwracam się do niej – weź tę rękę. Zostaw.

– Mów albo cię zabiję, wyciągnę nożyczki i wbiję ci w serce – cedzi Iga.

– Zostaw – powtarzam.

– Fantastyczna kumpela – mówi dalej. – Superprzyjaciółka Iga. Wielka wojowniczka o prawa gejów, Murzynów i zwierząt. Rewolucjonistka z willi w Aninie.

– No opowiadaj, kurwa, opowiadaj jeszcze. – Iga zaczyna dygotać, podchodzę do niej, kładę rękę na ramieniu, jej ciało buzuje coraz mocniej jak odpalany silnik starego motocykla.

– Ilu przyjaciół zostawiłaś? Od ilu odwracałaś się w ostatnim momencie? – pyta, a na jego twarzy zakwita grymas upodabniający go do opętanej kukły. To wygląda trochę jak agonia, jakby zaraz miał umrzeć. Ale w większym stopniu wygląda jak uśmiech. Odwraca się do mnie i dodaje: – Pamiętasz demonstrację, ten wyjazd do Pragi, nie? Kiedy to było? Nie tak dawno. Pięć lat temu? Pamiętasz, jak rzuciliście koktajlem Mołotowa w wóz policyjny? Pamiętasz? Powiem ci.

– Mów! – wrzeszczy Iga, a ja trzymam ją już z całej siły. – Mów!

– Pamiętasz, jak podałaś imiona i nazwiska wszystkich? Od razu? Bo powiedzieli ci, że poinformują rodziców? Pamiętasz? – zapytał. – Wszystkich rozpoznałaś na zdjęciach. Wszystkich.

– Wyciągaj, kurwa, te nożyczki – mówi Sebastian, kucając za głową Rumuna.

– Iga, weź rękę – proszę, ale ona trzyma rękę na nożyczkach już z całych sił. Chwytam ją za nadgarstek.

– Mów dalej! No mów! Słucham cię! Słucham! – wrzeszczy Iga na Rumuna, a ten się uśmiecha. Jak na kogoś, kto zaraz umrze, bawi się świetnie.

„Ja z tym człowiekiem poszłam do łóżka" – myślę i wszystko, co mam w żołądku, w ostatniej chwili zatrzymuje mi się w gardle.

– Rozpoznałaś wszystkich, w tym twojego chłopaka Gucka. – Widzę, że z całych sił stara się utrzymać głowę prosto. – W konsekwencji wyrzucono go ze szkoły. I dostał wyrok. I wyrzucono go z domu. Jego ojciec był dyrektorem w spółce skarbu państwa. Był bardzo zasadniczy. Bardzo. Nie mógł zaakceptować tego, że jego syn to jakiś idiota, który rzuca butelkami z benzyną w policyjne samochody.

Iga wciąż trzyma zaciśniętą rękę na uchwycie nożyczek.

– Zamknij się, Rumun – żądam. – Naprawdę, stul pysk.

– Mów! – krzyczy jeszcze raz Iga. – Nie, niech on mówi. Nie boję się.

– Fajnie było razem bawić się w walkę o zmianę, nie? – pyta Rumun. – Więc Gucek się trochę załamał, zamieszkał na squacie i tam spróbował heroiny, nie? Ktoś dał mu zapalić i mu posmakowało. A ty już chyba pieprzyłaś się po kątach z jego kolegą, nieprawda? Z tym z Antify, który trenował kickboxing?

Głaszczę Igę po głowie.

– Cokolwiek on powie, ja cię uwielbiam – szepczę.

– Może było tak, że Gucek wybaczył ci, bo gdzieś tam rozumiał, że jesteś gówniarą, a oni, czescy policjanci, straszyli, że cię zgwałcą. On ci wybaczył, ale palił heroinę, a ty nie mogłaś na to patrzeć. Wolałaś patrzeć na jego kolegę. Ten kolega lubił patrzeć na ciebie. A Gucek popatrzył, jak wzajemnie na siebie patrzycie. I wtedy zrobiło mu się naprawdę smutno. I wyskoczył przez okno. – Rumun cedzi słowa spokojnie i cicho jak lektor. – Przecież nawet nie byłaś na pogrzebie, więc czemu wszystkim tak o tym

pierdolisz, jakie to nie było straszne? – Rumun wyszczerza zęby w uśmiechu. Z trudem, ale również z przyjemnością.

„Ma inną twarz niż przedtem – myślę. Wygląda jak własna karykatura".

Wtedy Iga wyrywa nożyczki z jego nogi. Nagle. Z całej siły. Wszędzie bryzga krew.

Odruchowo krzyczę, cicho i krótko, Iga również, odsuwa się, Rumun nie wydaje dźwięku, lecz przyciska dłonie do rany i zaczyna się śmiać.

Za naszymi plecami, z korytarza, słychać przerdzewiałe, krótkie skrzypnięcie. Jakby ktoś delikatnie i powoli próbował otworzyć stare drzwi.

– Słyszycie? – pytam, ale nikt mi nie odpowiada.

– Myślisz, Agnieszka, że już się nie boisz, tak? – odzywa się do mnie Rumun.

– Co? – dopytuję.

Drzwi na korytarz są uchylone, orientuję się dopiero teraz. Dźwięk słychać wyraźniej, klekot, szuranie. W końcu kroki.

– Myślisz, że już się nie boisz? – powtarza. – Że już widziałaś wszystko?

– Kim ty jesteś? – Iga dygocze, przyciśnięta do Sebastiana, nie mrugając oczami. – Kim ty jesteś?

– Dowiecie się za kilka minut, kim jesteśmy. Jak tylko posprzątają na górze – mówi ochryple i cicho.

Teraz wszyscy, i Sebastian, i Iga, i Weronika odwracają się w kierunku drzwi na korytarz.

Sebastian delikatnie kuca, nie puszczając Igi i uważając na kostkę, i podnosi z podłogi okrwawione nożyczki. Prowadzi Igę do drzwi ubikacji. Stają za rogiem. Iga wciąż drży. On nadal ją trzyma. Patrzę na Jacka. Jacek umiera i się śmieje.

Zaczyna mnie wypełniać przeczucie, że za chwilę stanie się coś najgorszego. Najpierw wypełnia mi żołądek, potem resztę ciała. Na podłodze leży śrubokręt, zauważam go dopiero teraz. Chwytam go w dłoń. Kroki na chwilę cichną.

– Pamiętasz tego chłopaka, którego pobiła twoja córka? – pyta resztką sił Rumun.

Coś się wykluwa. Coś rośnie.

– Tego zasrańca Marka? – pyta.

Teraz dźwięki się wznawiają i słychać wyraźnie, że ktoś idzie przez mieszkanie Finkiel w kierunku korytarza.

– On i jego koledzy parę dni temu poszli po lekcjach za twoją córką do szatni.

– Co? – dopytuję. – Co ty mówisz?

Zamykam drzwi wejściowe na zamek od środka. Gdy to robię, uświadamiam sobie, że wciąż mam w dłoni śrubokręt.

– Mieli ze sobą smartfony. – Uśmiecha się. – Kazali jej ściągnąć bluzkę.

Przechodzą mnie silne drgawki, jakbym byłam rażona prądem. Moje zęby mocno uderzają o siebie. Muszę włożyć dużo siły w to, aby śrubokręt nie wypadł mi z rąk.

Ktoś podchodzi do drzwi Instytutu. Ktoś naciska klamkę. Sebastian czeka na sygnał.

– Było ich pięciu. Zaczęli szarpać ją za włosy i pluć na nią – mówi coraz szybciej Rumun. – I Marek powiedział do niej: „Naprawdę nie lubisz robić loda, kurwo?".

Przełykam ślinę, jakby była kamieniem, gwoździem, płatem blachy.

– Co nam wyrośnie z tych gówniarzy, co, Agnieszka? – Kręci głową. Znowu się szczerzy. Patrzy na drzwi.

– Kłamiesz – rzucam – ty kłamiesz.

– Nie kłamię – mówi. – W ostatniej chwili wtargnął woźny. Przegonił ich. Woźny w szkole twojej córki nazywa się Kwapisz. Wiesz o tym, bo sama śmiałaś się z jego nazwiska. Gdy twoja córka powiedziała ci, że wołają za nim: „Co się tak kwapisz, panie Kwapisz?".

Łapię się za twarz, zaraz moje zęby rozbiją się o siebie. On ma rację. Tylko mi się wydawało, że się nie boję.

Drzwi do mieszkania Finkiel ponownie się otwierają i znowu ktoś idzie przez klatkę schodową. I jeszcze ktoś. To razem trzy osoby. Trzy osoby stoją pod moimi drzwiami.

– „Wszystko się może zdarzyć…” – zaczyna nucić piosenkę, potem krztusi się, z ust wylatuje mu trochę krwi, traci siły, choć jeszcze zaciska dłonie na ranie w nodze, ale zaraz puści, zaraz zaśnie albo ja mu pomogę, pomogę mu za chwilę.

– Sięgnij jeszcze raz do tej kieszeni, w której były papierosy – mówi.

Sebastian ściska nóż. Kiwa na mnie. Weronika kuca na podłodze i obejmuje się ramionami, jakby chciała zgnieść się do rozmiarów małej piłki.

Sięgam do jego kieszeni. W środku jest stary telefon. Taki z dużymi przyciskami, dla starszych ludzi.

– Zadzwoń pod ostatni wybrany numer – mówi.

Ktoś wkłada klucz do zamka.

– Poczekajcie! – woła Rumun do ludzi, którzy stoją pod drzwiami Instytutu. Stara się krzyczeć jak najgłośniej.

Nie czuję, jak biorę do ręki ten telefon, nie czuję, jak naciskam dwa razy zieloną słuchawkę, jak przystawiam sobie komórkę do ucha, słyszę sygnał, jeden, drugi, trzeci. Dochodzi mnie trzask odbieranego połączenia, słyszę własny, przyśpieszający oddech, a potem głos. Ten głos jest już wszystkim, co słyszę.

– Mamo. – W aparacie rozbrzmiewa płacz mojej córki.

Odwracam głowę w kierunku drzwi.

– Mamo, pomóż mi, proszę, pomóż mi, mamusiu. – Odsuwam słuchawkę od ucha. Głos mojej córki. Zaczynam się palić od środka.

– Mamusiu, jesteś tam? – odzywa się głos mojej córki w słuchawce.

– Jestem – odpowiadam, a może mówi to zwierzę z mojego żołądka, a może ktoś inny, może to już nie ma znaczenia, czuję niewiele, ale czuję ogień. Ogień to wiele? Ogień to niewiele?

– Mamusiu, jestem w Krakowie, jechałam do ciebie sama, przepraszam, przepraszam, mamusiu, ten pan w taksówce powiedział, że zabierze mnie do ciebie, mamusiu, przepraszam – mówi moja córka.

– Miła dziewczynka. Szkoda, że jej nie poznałem – stwierdza Rumun.

Metaliczne chrząknięcie, odgłos przerwanego połączenia.

– Halo? – pytam, nie, to nie ja, to pyta ktoś inny, zwierzę z mojego brzucha.

Moja ręka wypuszcza telefon na podłogę.

Ktoś obraca klucz w zamku, widzę Sebastiana puszczającego Igę i stojącego w drzwiach, ręka – ta ze śrubokrętem, ta, która stara się go trzymać ze wszystkich sił – bierze zamach i wbija mu śrubokręt w gardło. Widzę jego oczy wywracające się do środka, słyszę miękki chrzęst, moja ręka wyciąga śrubokręt; to nie wymagało zbyt wiele siły, niewiele więcej siły wymagało to, abym wbiła śrubokręt w gardło mężczyzny, którego kiedyś nazwałam Rumunem. Słyszę coś w rodzaju plaśnięcia, zassania powietrza w pełen uwolnionego płynu nowy otwór w ciele. Odskakuję do tyłu, moje płuca oddychają, moje usta są otwarte, moja głowa odwraca się w kierunku Igi, która patrzy na mnie bez wyrazu, bez mrugnięcia, lekko zgarbiona jak kukła.

Otwierają się drzwi do Instytutu. Stoi w nich kobieta. W dłoni trzyma klucze do mojego mieszkania.

Wszędzie na twarzy mam krew. Rumun leży martwy na podłodze. Ma szeroko otwarte oczy. Wszędzie jest pełno krwi. Wszędzie jest mnóstwo nieregularnych, nieczytelnych znaków, podpisów zrobionych krwią. Wszystko w niej pływa. Rumun nie żyje, ale wciąż się uśmiecha.

Robię krok do tyłu, a potem znowu do przodu, a następnie śrubokręt wypada mi z dłoni. Trzęsę się. Jest mi potwornie gorąco.

– Brawo – mówi postać. – Brawo, pani Agnieszko. Ale to już koniec.

Kobieta, która stoi w drzwiach Instytutu – moje oczy ją rozpoznają. Moja pamięć nagle wie, gdzie już widziała symbol zwiadowcy. W mojej pamięci zapala się wyraz „żakiet". W klapie żakietu kobiety jest znaczek. Jest mały, ale widzę go wyraźnie. Najwyraźniej. Wszystko poza nim jest rozmazane i bezkształtne.

Moje nogi robią krok do przodu, a potem jeszcze jeden. Poznaję kobietę: wtedy w knajpie na Brackiej, gdy padał deszcz, przedstawiła się jako Marta i teraz wygląda tak samo jak wtedy.

– Czemu pani nie zadzwoniła, pani Agnieszko? – pyta. – Czemu wyrzuciła pani moją wizytówkę? Może nie musielibyśmy robić tego wszystkiego.

Kobieta wyciąga z kieszeni telefon. Naciska przycisk.

– Mamusiu. – Z telefonu jak echo dochodzi przeciągły głos, głos dziecka, które wyszło z mojego brzucha i któremu dałam na imię Ela. – Mamusiu, zrób wszystko, o co poproszą, zrób wszystko, proszę, mamusiu, pomocy.

– Pani nie powinna tu nigdy zamieszkać – mówi do mnie, wciąż pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu twarzy. – Pani powinna być bogata i szczęśliwa.

– Mamusiu! – ktoś woła zza jej pleców.

– Zabiję cię, ty kurwo – rzucam.

– To byłoby nierozsądne – zapewnia kobieta. Jej głos jest jak strumyczek ciekłego azotu, cichy, zmrażający ściany.

– Moja córka – mówię, zwierzę mówi, każdy wyraz jest jak wyciąganie z gardła drutu kolczastego.

– Pani córka jest tutaj, w tej kamienicy, i umrze, jeśli zrobi pani cokolwiek głupiego – odpowiada spokojnie kobieta.

Moje ciało zrywa się do przodu. Sebastian jest jednak pierwszy. Dobiega do kobiety w dwóch długich podskokach, jakby nigdy nie skręcił sobie nogi.

Jest jakiś metr od niej. Nie widzę, jak pada na podłogę. Słyszę tylko nagły, głośny huk.

Kobieta ma w ręku pistolet.

– Ale jeśli pójdzie pani ze mną, odzyska pani córkę i wypuszczę was stąd obie, całe i zdrowe – mówi kobieta.

Potem znowu podnosi pistolet i strzela do Weroniki.

Potem strzela do Igi.

– Czy możemy być na ty? – pyta kobieta.

A potem padam na kolana.

*

Ojciec Eli zadzwonił do mnie o dziewiątej rano. Zakończyłam pracę pół godziny wcześniej. Czułam, że wakacje już się skończyły. To była moja czwarta nocna zmiana z rzędu i gdy wróciłyśmy z Igą do domu, czułyśmy się, jakby ktoś przywiązał nas za ręce do tylnego zderzaka samochodu i jeździł w kółko po brukowanej ulicy. Tej nocy znany krakowski muzyk, gitarzysta i pieśniarz rozsypywał koks po blacie baru, szarpał i klepał po tyłkach kobiety w każdym przedziale wiekowym, a na deser rzucał wyrywanymi spod ludzi krzesłami o ścianę, gdy odmawiałyśmy mu następnego jacka daniel'sa na krechę. Papa do ostatniej kolejki zabraniał ochroniarzom interweniować. Znany krakowski muzyk pożyczył mu kiedyś pieniądze. Papa za te pieniądze otworzył knajpę, do której znany krakowski muzyk przychodził rzucać krzesłami.

O czwartej rano, kiedy muzyk napluł na Igę przez bar i zwyzywał ją od brzydkich kurew z gównem w mordzie, machając wokół długimi łapami niczym łopatami kościstego wiatraka, Sebastian podszedł do Papy i zapytał:

– Ile było tych pieniędzy? Tych, co ci je pożyczył?

– Nie pamiętam. To było dawno temu i w dolarach. – Papa wzruszył ramionami. Był zmarszczony i smutny. Z tygodnia na tydzień działo się z nim coraz gorzej. Wóda wtłaczała go w bełkotliwą katatonię; co wieczór, gdy już porozmawiał z tymi samymi osobami co zawsze o tym samym co zawsze, z zamkniętymi oczami zaczynał kiwać się w tył i w przód na barowym stołku, gasząc wypalone do połowy papierosy w podsuwanych mu w ostatniej chwili popielniczkach.

– Kiedy żeś mu je oddał? – dociekał Sebastian.

– Dwa lata temu. – Papa zamknął oczy i przechylił szklankę wódki z lodem i kroplą cytryny. Odrobina płynu pociekła mu na brodę; nie chciało mu się nawet jej wytrzeć.

– Więc już nic mu nie wisisz – podsumował Sebastian.

– Nic. – Papa pokiwał głową.

Sebastian również pokiwał głową. Następnie podszedł do znanego krakowskiego muzyka i złapał go za klapy ozdobionej cekinami,

obrzydliwej marynarki. Muzyk zdołał się wyrwać i uderzyć go raz – dobrze wyprowadzonym, punktowym prawym sierpowym, trafiającym w łuk brwiowy Seby, skąd popłynęło trochę krwi. Wyłączyłam muzykę. Zrobiło się cicho.

– Małpo ty, troglodyto, co ty sobie wyobrażasz, jaskiniowcu? – zapytał Sebę muzyk, Sebastian czekał. – Więc teraz, kurwa – muzyk mówił z charakterystyczną, przesadzoną manierą pijanego wodzireja – teraz, poproszę panie, kurwa, bardzo szanowne, dla mnie podwójną whisky na lodzie, teraz. – A ty, gnoju, won do domu! – zdążył jeszcze rzucić wystraszonemu, młodemu Anglikowi z piłkarską fryzurą i w czarnej sztruksowej marynarce, zanim Sebastian złapał go za długie włosy i z całej siły parę razy trzasnął jego twarzą o bar. Potem w środku zapadła cisza. Następnie szarpnął go w kierunku drzwi, które zdążyłam otworzyć w ostatniej chwili, bo inaczej legenda krakowskiego rocka wyfrunęłaby na brukowane podwórko przez szybę.

To nie był jeszcze koniec atrakcji. Pół godziny później jedna z barmanek znalazła w ubikacji na dole piętnastolatkę w stanie ostrej zapaści. Dzięki Bogu szybko zjawiła się karetka i odjechała na sygnale, ale zanim znaleźliśmy tę dziewczynę, ktoś zdążył już wykorzystać sytuację; leżała we własnych rzygach ze spuszczoną sukienką i majtkami.

Gdy wróciłam do domu, byłam bólem kręgosłupa i mięśni. Moje ścięgna były jak stare, zawilgłe liny. Od dymu, wódki i kawy mój język przypominał podeszwę starego buta. „To już nie jest zabawa dla starej baby – pomyślałam. Siedemnaste urodziny się skończyły". Napiłam się wody, zmyłam makijaż, umyłam zęby, padłam na łóżko i zamknęłam oczy. Właśnie wtedy zadzwonił ojciec Eli.

– Niech wam będzie – powiedział po kilku sekundach ciszy. Nie zrozumiałam go.

– Co niech nam będzie?

– Ela przyjedzie do ciebie na swoje urodziny. Na weekend. Przywożę ją w piątek, odbieram w niedzielę. Nie róbcie numerów, proszę cię.

– Mamusia w końcu ci pozwoliła? – zapytałam w pozycji siedzącej, już rozbudzona.

– Moja matka nic o tym nie wie – odezwał się po paru sekundach ciszy. – Powiedziałem jej, że jadę z Elą na weekend w góry.

– Cieszę się – rzekłam do ojca mojej córki.

– Odbieram ją w niedzielę – oznajmił. – Nie rób numerów. Wiesz, że zgadzam się z rodzicami, że Ela powinna być tutaj, że twój tryb życia to...

– Zamknij się już! – rozkazałam.

– Będziemy jakoś po południu – powiedział.

– Na razie – odparłam.

Odłożyłam słuchawkę, podskoczyłam, wybiegłam na korytarz i wpadłam do pokoju Igi.

– Iga – powiedziałam jej na ucho, szarpiąc ją za ubranie i próbując wybudzić z letargu – moja córka przyjeżdża do nas. Przyjeżdża tutaj. Na swoje urodziny.

Iga rozkleiła jedno oko – drugie było wtulone w poduszkę – i z trudem się uśmiechnęła.

– Muszę spać, stara – wyjęczała – ale młoda będzie miała imprezę roku.

Gdy wybiegłam z pokoju, w korytarzu stał Rumun. Właśnie wstawał do pracy. W bokserkach, chudy, złamany, sondował mnie spojrzeniem kogoś, kto ma zaraz iść na szesnaście godzin do fabryki, mając w domu śmiertelnie chorą żonę.

– Cześć – powiedział w ten sam niemy, tępy sposób, w jaki robił to od dwóch tygodni.

Nagle zapomniałam, że od naszej smutnej rozmowy minął już prawie miesiąc i co on w ogóle robi jeszcze w Instytucie. Mimo to odrzekłam po prostu:

– Cześć, Jacek.

Wzruszył ramionami i zawrócił do pokoju.

– Mam nadzieję, że dostanę kawałek tortu – rzucił na odchodne.

Ela miała przyjechać w piątek o dziesiątej rano. Jej urodziny były w sobotę. W środę pojechałam do cukierni i zamówiłam największy,

najtandetniejszy i najróżowszy tort z narysowanym białym lukrem hasłem: ELA JESTEŚ WSPANIAŁA, z wbitymi różowymi kucykami z masy cukrowej, różowymi serduszkami i marcepanowymi postaciami ze *SpongeBoba*. Wydałam większość swoich pieniędzy na prezenty – plecak, DVD z filmem *Zmierzch*, stertę książek, płaszcz i sukienkę. Najważniejszy prezent znalazłam w lumpeksie – spraną, zszarzałą koszulkę z plakatem z *Thelmy i Louise*.

W czwartek też chciałam wziąć wolne, ale jak zawsze, gdy chcesz wziąć wolne, osoba, która ma cię zmienić, budzi się śmiertelnie chora. Papa ubłagał mnie, żebym przyszła chociaż na parę godzin. Po paru godzinach to parę godzin trwało dalej, nieubłaganie i bez perspektywy rychłego końca; o drugiej w nocy błagałam Papę, aby wypuścił mnie do domu, ale do środka wlewały się hufce studentów. Za barem byliśmy we dwójkę, ja i Papa. Ludzie obklejali ladę niczym pszczoły bryłę cukru. Czułam się jak snajper na szturmowanej wieży.

– Masz dzieci, Papa? – zapytałam go w jednej z nielicznych wolnych sekund.

– Gdzieś, jakieś. – Wzruszył ramionami.

– Widujesz je czasami? – Podsunęłam mu popielniczkę.

– Czapa, co ci nagle do tego? – zapytał nieoczekiwanie głośno, zirytowany.

– Chcę, abyś mnie zrozumiał! – krzyknęłam, odganiając się od dziesiątek wyciągniętych dłoni z pogniecionymi, mokrymi banknotami. – Przyjeżdża do mnie córka. Muszę wyglądać jak normalna osoba. Jak zdrowa osoba. Nie mogę wygladać jak łajza. Czy ty byś poszedł, tak jak teraz wyglądasz, zobaczyć swoje dzieci?

Papa bez słowa podniósł słuchawkę i zadzwonił do innego barmana, Kozy, że ma natychmiast być w Kocie, bo inaczej pomimo zapalenia płuc wyleci z roboty na zbity pysk. Po piętnastu minutach Koza zjawił się na miejscu w spranych dresach i z lekkim katarem.

Zaczęłam zbierać swoje rzeczy, gdy Papa jeszcze złapał mnie za ramię.

– Czapa – powiedział – może jest mi łatwiej, bo to ja byłem ten zły.

Pokręciłam głową, nie rozumiejąc.

– To ja spierdoliłem, bo generalnie, co chyba widać, jestem taki chłop, który spierdoli wszystko, czego się dotknie. Nie widziałem Izki z dziesięć lat. Ale mam to, co chciałem. Ty masz gorzej. Ty nie wiesz, ty nie masz pojęcia, cóżeś, kurwa, takiego zmalowała, że spotyka cię całe to gówno.

Pocałowałam go w pomarszczony policzek, pachnący jak ukraińska fabryka papierosów.

– Oddałbym serce matki za taką kobietę jak ty. – Uśmiechnął się. – A teraz idź już do domu, idź się wyspać.

Gdy ruszyłam w stronę drzwi, wparował przez nie krakowski muzyk rockowy, wbijając się jak szpica w ludzkie kłącze przed barem. Tym razem nosił białą marynarkę z czarną koszulą i białym krawatem. Za nim powoli sunęły dwa krótko wystrzyżone klony Sebastiana, pozbawione jednak tego prionu serdeczności, który od czasu do czasu przebijał ze wzroku mojego współlokatora, gdy na przykład zdarzyło mu się zjeść obiad z dwiema dokładkami albo spalić dwa gramy trawy.

– Papa! – wrzasnął muzyk, rozgarniając kościstymi łapami ludzi przed barem, a następnie przeskakując przez blat na drugą stronę. Papa cofnął się o krok i przytrzymał krzesła. Muzyk podszedł do komputera i próbował wyłączyć Winampa, ale łatwiej było mu wyrwać kabel z tyłu wieży. Wszyscy odwrócili się w jego kierunku. – Papa, mów, gdzie jest ten twój małpiszon, ten goryl, wiesz który, albo nie poznasz tego burdelu – powiedział, teraz już spokojnie, zabierając Papie papierosa.

– Nie powinno tu pana być – wydusił z siebie Koza, a wtedy muzyk wziął zamach i trzasnął go pięścią w twarz.

Sebastian był w Instytucie. Miał wolne. W tamtej chwili najprawdopodobniej czytał posty na forach kibicowskich albo jedną ze swoich dwóch ulubionych, jak twierdził, książek – *Jak zbudować ze swojej klatki piersiowej twierdzę* autorstwa Arnolda Schwarzeneggera. Drugą był *Ojciec chrzestny*.

– Szefie – rzucił jeden z karków, rozpychający się wśród przestraszonych i zaskoczonych ludzi. – Ja znam go z ustawek. On mieszka

u tej cipy.

Pokazał na mnie palcem, a ja postawiłam swoją torbę na podłodze. Podeszłam do niego powoli, tak że dzieliło nas wyciągnięcie ręki.

– Schowaj ten palec – powiedziałam spokojnie.

– Nie wpierdalaj się – odparł głosem jak z wciągającej się taśmy magnetofonowej.

Z całej siły, jaka mi została, kopnęłam go czubkiem buta w krocze; jęknął i skulił się jak mały chłopiec z atakiem wyrostka robaczkowego. Spokojnie weszłam za bar i równie spokojnie stanęłam między krakowskim muzykiem rockowym a Papą.

– Zrobisz teraz trzy rzeczy – powiedziałam, patrząc mu w oczy, gdy zblazowany nalewał sobie do szklanki jacka daniel'sa ze stojącej na wystawce butelki.

Dotknął mojego ramienia, nachylił się nade mną i oświadczył głębokim, cuchnącym wódą głosem:

– Jedną rzecz zrobię, słoneczko. Będę dżentelmenem i poproszę cię, abyś sobie stąd poszła.

– Nie jestem twoim słoneczkiem – odparłam. Zdjęłam jego rękę z ramienia, wyjęłam mu z dłoni szklankę, odstawiłam ją na bok, wyciągnęłam komórkę i wprowadziłam numer. – A ty nie jesteś żadnym dżentelmenem, ale starym, brudnym fiutem – dodałam, przystawiając aparat do ucha.

Parsknął śmiechem i odgarnął włosy z czoła.

– Zrobisz trzy rzeczy – tłumaczyłam mu dalej. – Przeprosisz za to najście, spłacisz swoją kreskę i wyjdziesz. I nie wrócisz tu już nigdy więcej.

– Dobra, Czapa, jakoś się dogadamy, nie świruj – poprosił szorstkim, zmęczonym głosem Papa. Nawet nie odwróciłam się w jego kierunku.

– Oj, królewno, troszeczkę ci się w dupie poprzewracało. – Wziął z powrotem szklankę do ręki. – Zostałem tutaj potraktowany jak śmieć, a nie jestem śmieciem. Jestem poważnym mężczyzną, mężczyzną starej daty. Pewnych rzeczy się nie odpuszcza. Pewnych rzeczy mężczyźni nie odpuszczają. Ty z kolei jesteś zmęczoną kobietą starej daty, więc idź już

sobie do domu i powiedz temu twojemu kochasiowi, że ma tu przyjść. Albo my po niego przyjdziemy.

– Już idę – odpowiedziałam spokojnie. – Tylko dodzwonię się na policję.

Jego mina przez chwilę zrobiła się kwaśna, zmrużył oczy, taksując mnie od stóp do głów, ale nie ruszył się z miejsca.

– Chciałam zgłosić rozbój – zaczęłam mówić do milczącego telefonu – w lokalu o nazwie Brzydki Kot przy ulicy Sławkowskiej.

Fikcyjna dyspozytorka w mojej głowie poprosiła o szczegóły, a ja podałam imię i nazwisko rockowego muzyka, przybliżoną liczbę świadków zdarzenia, czyli około dwustu, rozłączyłam się, wzięłam swoją leżącą przy barze torbę i odwróciłam się w kierunku wyjścia.

– Czapa, co ty zrobiłaś? – jęknął Papa. – Będzie burdel.

Muzyk dalej stał bez ruchu.

– Myślisz, że ja się boję policji? – Wyszczerzył się. – Ja trzy lata kiblowałem w stanie wojennym, ty głupia cipo.

– Jeśli się nie boisz, to czekaj tu na nich. – Odwróciłam się do niego.

Odstawił znowu szklankę na bar; wzięłam ją do ręki i chlusnęłam zawartością na jego twarz i białą marynarkę, a potem wzięłam jeszcze jedno wypite do połowy piwo z baru i błyskawicznie zrobiłam to samo, zanim zdążył zareagować.

– To za kobietę starej daty – wytłumaczyłam.

Gdy wychodziłam, wzrokiem odprowadzali mnie wszyscy oprócz Papy. Następnego dnia Koza zadzwonił do mnie i powiedział, że nie było ich po piętnastu minutach, a zanim wyszli, uregulowali całą dotychczasową kreskę muzyka. Wynosiła około dziesięciu tysięcy.

Gdy Ela weszła do Instytutu, natychmiast rzuciła się na mnie z takim impetem, że aż coś trzasnęło mi w kręgosłupie. Przytulałam ją przez dobre pięć minut. Wydawałyśmy z siebie szereg głośnych i nieartykułowanych dźwięków, głośnych na tyle, że przez drzwi wyjrzeli wszyscy pozostali mieszkańcy Instytutu oprócz Rumuna. Ojciec Eli bez słowa stał w drzwiach, obserwując wszystkich; gdy napotkał spojrzenie Sebastiana, odwrócił wzrok.

Jest coś dziwnego w momencie, gdy dwa odrębne zbiory twojego życia nagle się spotykają, tworząc wspólny podzbiór. To coś jak dwudzieste urodziny, na które zaprosiło się kolegów z liceum i kolegów ze studiów, albo pierwsza wspólna kolacja twoja, twojego narzeczonego i waszych rodziców. W takich sytuacjach czuje się z reguły straszną odpowiedzialność za każde, nieuniknione przecież, tarcia elementów z obu podzbiorów. Jednak, co ważniejsze, czuje się nagle, że twoje życie jest niby-całością, ale tak naprawdę jest niespójną, pozbawioną koherencji historią z poważnymi błędami scenopisarskimi.

Niemniej teraz, gdy całe ostatnie dwanaście lat mojego życia zebrało się w jednym pomieszczeniu, poczułam zupełną pełnię. Do tego poczucia wystarczyła mi tylko moja córka. Nic poza nią nie musiało istnieć. Gdy weszła do Instytutu i rzuciła mi się w ramiona, poczułam, jakbym komórka po komórce odzyskiwała kręgosłup, mięśnie i stawy.

– Cześć – powiedziała do mojej córki Iga, podając jej rękę. – Wątpię, czy chcesz wiedzieć, ile już o tobie słyszeliśmy.

– Ja o was też dużo słyszałam – odparła moja córka. – Fajnie, że opiekujecie się moją mamą.

– Właściwie to ona opiekuje się nami. – Iga pogłaskała ją po głowie.

Ojciec Eli stał bez słowa, nie podchodząc do nikogo, po prostu nas obserwował, przez dłuższą chwilę tkwiąc w drzwiach.

– Będę w niedzielę o piętnastej – rzucił i zamknął drzwi.

Gdy to zrobił, zdałam sobie sprawę, że nie wypowiedziałam do niego nawet słowa.

Być może to właśnie ten weekend był najszczęśliwszy w moim życiu. Słońce świeciło nawet w nocy z piątku na sobotę, gdy starałyśmy się spać jak najkrócej, bo przecież jutro miała być sobota, a pojutrze już niedziela, więc starałyśmy się trzymać rękę na każdej jednej przepływającej sekundzie. Była to syzyfowa praca, bo czas mijał dwukrotnie, czterokrotnie szybciej. „To powinien być miesiąc, dwa miesiące, pół roku" – myślałam, gdy parę godzin po przyjeździe Eli łaziłyśmy po krakowskim zoo w wielkich, przeciwsłonecznych okularach, jedząc obrzydliwie tłuste frytki,

kontemplując śpiące szympansy i niedomyte tygrysy. „To powinno być całe życie" – myślałam, gdy kłusowałyśmy po centrum handlowym, piszcząc w przebieralniach, wybiegając ze sklepów z chińskim dziadostwem z tuzinami plastikowych bransoletek.

– Muszę ci coś powiedzieć, mamo – oznajmiła Ela, gdy wieczorem siedziałyśmy w lodziarni przy Grodzkiej, wpatrując się w przelewający się tłum.

– Słucham cię. – Pokiwałam głową.

– Jesteś ciężko niepoważna, a nawet trochę świrnięta – powiedziała cicho, rozglądając się dookoła, czy nikt nie słyszy.

Pokazałam jej język i zagrzechotałam moim tuzinem plastikowych bransoletek. Po chwili jednak popatrzyłam uważnie w jej stronę.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytałam, widząc jej niepewność, unikanie mojego spojrzenia, przygryzanie ust jak zawsze, gdy łapała się na nieuważnym zepchnięciu rozmowy na niechciany tor, powiedzeniu za dużo, wystawieniu się.

– Nie, nie... – Próbowała się uśmiechnąć. – Nie, jesteś dorosła, poważna i bardzo cię kocham. Ale wiesz, sześć gałek lodów...

– Lody z sosem – wycelowałam łyżką w moją porcję – są niepoważne. Jestem za stara na jedzenie lodów. Lody są dozwolone wyłącznie do osiemnastego roku życia. Dorośli ludzie, jak rozumiem, powinni odżywiać się głównie octem i solanką.

– No nie... – wydukała po chwili – to tuczące, wiesz.

– Coś tu kręcisz, koleżanko. – Popatrzyłam na nią uważnie, a ona odwróciła wzrok w kierunku szyby, usilnie wyłapując z tłumu coś, co mogłaby wskazać palcem i zakrzyknąć: „o, popatrz!". – Ty naprawdę myślisz, że jestem niepoważna – wycelowałam w nią łyżeczką – że cię zostawiłam, że jestem tutaj, że mieszkam z jakimiś dziwnymi, młodszymi od siebie i nie do końca normalnymi ludźmi.

– Nie, mamo, nie, broń Boże, nie. – Moja córka zaczęła machać dłońmi, jakby to, co powiedziałam, było dymem po wypaleniu jednego papierosa za

dużo. – Nie o to chodzi. Ty chciałaś być szczęśliwa, a nie mogłaś być szczęśliwa z tatą, nigdy nie byłaś, ja to rozumiem.

Popatrzyłam na nią jeszcze raz. Uśmiechnęła się znowu, trochę szczerzej, znacznie smutniej. Widziałam w niej teraz coś, co było niewidoczne w ciemnym korytarzu Instytutu i przez ciemne okulary w przesłonecznionym zoo. Moja córka codziennie rano wbrew własnej woli mówiła sobie: „Ja rozumiem, ja przecież wszystko rozumiem". Znowu musiałam się powstrzymać, aby nie zawyć i nie rozbeczeć się nad tymi lodami. Co ja robiłam? Przecież powinnam ją porwać i uciekać z nią na koniec świata. Powinnam walczyć o nią ze wszystkich sił. Dałam się zastraszyć i zmanipulować ludziom, których nie szanowałam, których uważałam za idiotów.

Dałam zabrać sobie córkę i złamać sobie życie.

„Niepoważna" i „głupia" to są naprawdę delikatne określenia.

– I ja wiem, że niedługo będziemy razem – powiedziała. – I że robisz wszystko, aby tak było, mamo.

– Niedługo będziemy razem, kochanie. – Pogłaskałam ją po buzi. – Już niedługo, tylko...

– Ja to wiem – powtórzyła moja córka, ale już nie z tą samą pewnością, jej głos zaczynał się trochę kruszyć.

– Powinniśmy pójść teraz do kina – zawyrokowałam – na najgłupszy film, jaki grają.

Więc poszłyśmy na jakiś amerykański film o zakochanych w sobie ludziach, podczas którego na zmianę śmiałyśmy się, płakałyśmy i podkładałyśmy własne dialogi, aż w połowie filmu wszyscy siedzący wokół nas ludzie przenieśli się o parę miejsc dalej, a ja chciałam, tak bardzo chciałam, aby ten seans trwał dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści godzin. Czas mijał, minuty biegły, a my pragnęłyśmy wyrwać z nich jak najwięcej, tak jakbyśmy chciały pochłonąć jak najwięcej jedzenia, które ktoś wyrzuca nam z katapulty prosto w twarz.

Następnego dnia były urodziny Eli. Wstałyśmy wcześnie i szybko, chociaż spałyśmy może parę godzin. Nie potrzebowałam nawet kawy.

Nigdy nie czułam się aż tak wypoczęta. Wyszłyśmy z Elą na spacer, a gdy wróciłyśmy po południu do domu, po paru godzinach szwendania się po Błoniach, picia coli i kupowania kolejnych idiotycznych i zbędnych przedmiotów, Iga zdążyła udekorować kuchnię papierowymi girlandami, przykleić do okna wielkie, wycięte z kolorowego kartonu litery ELA, rozlać szampana do papierowych kubków, a na środku stołu postawić, niczym główną nagrodę w wyjątkowo perwersyjnym konkursie, mój tandetny, różowy tort. Zdążyła również upiec garnizonową liczbę frytek, usmażyć sojowe nuggetsy, zrobić dwa rodzaje sałatek i upiec czekoladowe muffiny z masłem orzechowym.

– Nie ma co czekać – powiedziała do mojej córki. – Zróbmy to jak najszybciej, a potem będzie zabawa.

– Jaka zabawa? – zapytałam, patrząc ze zgrozą, jak moja córka podchodzi do tortu i ogląda go z każdej strony niczym obiekt przybyły tutaj z innej czasoprzestrzeni.

– No, zabawa. – Iga zakreśliła dłońmi wokół siebie przestrzeń tej zabawy. – Zaprosiłam jakieś dwadzieścia osób. Wiem, bez twojej wiedzy. Nie irytuj się. Młoda musi mieć po raz pierwszy porządny, urodzinowy bal.

– Mamo, jesteś straszną tandeciarą – powiedziała Ela, oblizując palec z różowego lukru. – Jak mogłaś kupić mi taki tort?

– Zero palenia trawy przy dziecku – wyszeptałam do wszystkich zebranych.

– Mamo, tata pali to przy mnie cały czas. – Ela wzruszyła ramionami, podeszła i oparła się plecami o moje plecy. – Daj już sobie spokój.

– Niech sobie pali na zdrowie – powiedziałam i dodałam: – Zero palenia przy dziecku.

Godzinę później przyszli goście, nasi znajomi z Kota, znajomi Igi ze studiów, przyszedł nawet Yogi, drugi ochroniarz z Kota, ze swoją obdarzoną fosforyzującym balejażem narzeczoną. Oczywiście wszyscy pili wódkę, taniego szampana i piwa i palili trawę, ale byli ostrożniejsi, cichsi, stąpali na palcach, mniej przeklinali. Moja córka była przeszczęśliwa. Rozmawiała praktycznie ze wszystkimi, a najwięcej z Igą i balejażową

narzeczoną Yogiego, której tipsy o długości szpad wprawiały moją córkę w drżącą bojaźń.

Gdy chciała spróbować szampana, starałam się zrobić jak najgroźniejszą i najbardziej stanowczą minę, na jaką mogłam się zdobyć, mimo że sama wypiłam całą butelkę. Moja córka przysunęła wskazujący i serdeczny palec swojej dłoni do nosa, symulując hitlerowski wąs. Parsknęłam śmiechem.

Po dziewiątej wieczorem zaczęliśmy tańczyć w moim pokoju, odsuwając wszystkie meble na bok, puszczając na cały regulator Abbę, Prince'a, Michaela Jacksona, wykonując konkursy na najdziwniejsze ruchy i kroki. W pewnym momencie Sebastian zaczął kręcić moją córką nad swoją głową ku przerażeniu zebranych.

Po chwili przestałam tańczyć. Zaczęłam po prostu patrzeć. Chciałam zatrzymać ten moment samym wzrokiem. Nadać ciężkości powietrzu, czasowi, otoczeniu, aby to, co właśnie widziałam, spowolniło się kilkaset razy, abym mogła obserwować moją córkę w nieskończoność, zatrzymaną w uśmiechu, ruchu i pisku. Aby wszystko przesuwało się w tempie klatki na godzinę. Modliłam się o to. Aby zawsze była szczęśliwa, w jakikolwiek sposób.

Ktoś pacnął mnie dłonią w plecy. Odwróciłam się i wtedy wszystko z powrotem stało się chaotyczne i przyśpieszone, głośniki trzeszczały od przebojów z lat osiemdziesiątych, drzwi telepały od uderzeń kuli pani Finkiel, na którą – zgodnie z moimi zaleceniami – nikt nie zwracał uwagi.

– Przepraszam, masz chwilę? – zapytał Rumun.

Odwróciłam się jeszcze raz w kierunku Eli, która tańczyła teraz z Igą, wykonując poczwórne piruety. Kiwnęłam głową. Poszliśmy do kuchni. Była pusta.

Usiadłam na krześle, on usiadł naprzeciwko. Był spokojny, nawet uśmiechnięty, chyba po raz pierwszy od momentu, gdy rozkazałam mu w porę się odsunąć, gdy powiedziałam, że nawet jeśli jest dla mnie istotny, to najwyżej tymczasowo.

– Już wszystko rozumiem – oznajmił, otwierając piwo.

– No to skoro rozumiesz, to o czym rozmawiamy? – zapytałam. – Ja ci już wszystko powiedziałam. Naprawdę.

– Bo ta tymczasowość jeszcze trochę potrwa – dodał, upijając łyk. Wyciągnął dłoń w moim kierunku, ale zaraz ją cofnął. – A być może twoja córka nie zdoła z tobą być jeszcze przez długi czas. Być może przez bardzo długi. Być może aż do momentu, kiedy będzie mogła o sobie sama decydować.

– Naprawdę nie chcę tego teraz słuchać. – Wstałam, aby wrócić do mojego pokoju, w którym wszyscy tańczyli, a Sebastian chyba zamienił się w DJ-a, bo mieszkanie zaczęły wypełniać piosenki z gatunku dance, w rodzaju tych, które zawsze słychać w nocnych taksówkach.

– Ale wiesz, ci rodzice twojego męża – powiedział, patrząc na mnie z tym samym uśmiechem – nie są jakimiś wszechwładnymi „Onymi". Na pewno jest coś, co możesz zrobić. Nie są wszechwładni. Gwarantuję ci to.

– Rumun, kurwa mać! – krzyknęłam. – Ja nie potrzebuję twoich ekspertyz. Ja wiem, kim ja jestem, wiem, kim są jej dziadkowie. Wiem wszystko.

– Po prostu widzę, jak cierpisz – odparł spokojnie, nadal nie wykonując żadnego ruchu.

I nagle, przez chwilę, wydało mi się, że w jego oczach widzę coś śliskiego, czarnego, strasznego, ale może to były po prostu trawa i szampan w moim krwiobiegu. W każdym razie nie chciałam z nim rozmawiać. Już miałam wyjść z kuchni, ale odwróciłam się jeszcze raz w jego kierunku. Nawet nie drgnął.

– Nie rozmawiajmy więcej o mojej rodzinie. Jacek, naprawdę byłoby lepiej, gdybyś się jak najszybciej wyprowadził – powiedziałam.

Dudnienie w drzwi nagle stało się czterokrotnie głośniejsze, jakby dorosły, wielki facet kopał w nie z rozpędu, używając do tego całej swojej siły. Odwróciłam się i wybiegłam na korytarz. Zamknęłam drzwi do mojego pokoju, ale nie kazałam im ściszyć muzyki. „Niech ta starucha wreszcie zdechnie" – pomyślałam brzydko.

– Kto tam? – krzyknęłam przez drzwi.

– Otwieraj! – zaskrzeczała pani Finkiel. – Otwieraj w tym momencie.

Byłam wściekła, byłam jak wielki gar pełen wrzącego oleju, jak przegrzany silnik na chwilę przed wybuchem. Otworzyłam, pchnęłam ją dwa kroki dalej i zamknęłam za sobą drzwi. Stałyśmy teraz we dwie na korytarzu.

– Słucham?! – krzyknęłam, a starucha wycelowała swoją kulę w mój splot słoneczny. Chwyciłam ją i sprowadziłam do pionu. – Są urodziny mojej córki. Będziemy się bawić, bo mamy do tego prawo. Zatyczki do uszu kosztują pięć złotych. Mogę przynieść z apteki, jak pani nie stać. – Wtedy spojrzałam jej w twarz. Pani Finkiel nie była zdegustowana jak zawsze, gdy mijałam ją na schodach. Nie była wściekła, jak przy dwudziestu tysiącach innych interwencji w rodzaju kąpania się po dwudziestej trzeciej. Miała zaciśnięte usta i oczy, na jej skroniach wykwitały słabe, błękitne, ale pulsujące żyły, więc przez chwilę wydało mi się, że stara nie jest zła. „Jest przerażona – pomyślałam. Ale może to ta trawa".

– Musisz się stąd wynieść – zaskrzeczała, świdrując mnie opętanym wzrokiem, nie przerywając nawet mrugnięciami. – Musisz się stąd natychmiast wynieść, ty idiotko.

– Niech się pani uspokoi – powiedziałam – bo zaraz zadzwonię na policję.

– Musisz się stąd wynieść – powtórzyła – bo ci się coś stanie. Coś złego.

– Pani mnie straszy? – Parsknęłam śmiechem. – Niech pani idzie do domu. Pani jest szalona.

– Posłuchaj mnie! – wrzasnęła, prawie zdzierając sobie gardło. – Posłuchaj mnie. Musisz się stąd wyprowadzić, kretynko, natychmiast. Nawet sobie nie wyobrażasz, ty nawet sobie nie wyobrażasz. To dla twojego dobra. Żebyś ty wiedziała! To naprawdę dla twojego dobra.

Przybliżyłam swoją twarz do jej twarzy na odległość paru centymetrów. Jak zwykle pachniała pleśnią i kalafonią.

– Proszę – powiedziałam powoli, akcentując każdą sylabę – proszę dać mi święty spokój, proszę wrócić do mieszkania albo sama zadzwonię na policję, że pani mi grozi.

Sflaczała, jakby ktoś wyjął jej z tyłka idącą aż do krtani metalową strunę, oparła się na kuli i opuściła głowę. Popatrzyła na mnie, ale już zupełnie inaczej, mętnym i smutnym spojrzeniem zmęczonej i starej kobiety. Znowu coś zobaczyłam, to coś czarnego, dziwne pęknięcie, złamanie, które najpierw było w oczach Rumuna, a teraz czułam je gdzieś zawieszone w ciemności klatki schodowej, tuż za głową mojej sąsiadki.

– Jak uważasz – powiedziała cicho. – Ściszcie trochę tę muzykę.

Weszłam do mieszkania akurat w momencie, gdy z pokoju na korytarz wybiegła moja córka.

– Mamo! – Rzuciła mi się na szyję z takim samym impetem jak wtedy, gdy weszła do Instytutu po raz pierwszy. – Mamo, szukałam cię, gdzie byłaś? Rozejrzałam się, ale ciebie nie było. Nie rób tak więcej. Nie znikaj i nie wychodź, gdy ja nie widzę.

– Wyszłam na chwilę na zewnątrz. Spokojnie, córcia – odparłam, głaszcząc Elę po głowie. Drżała mi dłoń. Zdjęłam ją z jej głowy i zacisnęłam w pięść.

– Tata dzwonił – powiedziała moja córka, a jej oddech był dziwnie słodki, przypominał zapach przejrzałych jabłek – i złożył mi życzenia.

– To dobrze – odpowiedziałam, weszłam do pokoju, w którym tańce powoli już się kończyły, złapałam za rękę Igę i wyszeptałam jej do ucha:

– Co to za parszywe trawsko? Mówiłam ci coś.

– Jakie? – Popatrzyła na mnie zdziwiona. – Przecież to jest to samo, co palimy od dwóch miesięcy. Źle się czujesz?

Pokręciłam głową. Wzięłam głęboki oddech, włączyłam *Mamma mia* Abby i zaczęłam tańczyć z moją córką. Gdy piosenka się skończyła, powiedziałam jej na ucho:

– Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

Zaprowadziłam ją do kuchni i ze sterty pakowego papieru i rozerwanych kartonów (Ela dostała prezent od każdego gościa) wyciągnęłam siatkę ze spraną koszulką z Thelmą i Louise. Moja córka rozprostowała ją przed sobą i bardzo się ucieszyła, chociaż zaczęła przy okazji trochę płakać. Mnie też zebrało się na płacz, więc przez jakieś

dziesięć minut obie płakałyśmy po cichu w kuchni, za zamkniętymi szybko drzwiami, tak samo jak wtedy, gdy pakowałam się przed wyjazdem do Krakowa.

Impreza skończyła się dość wcześnie, gdzieś o drugiej, na placu boju zostałyśmy we trójkę – ja, Iga i Ela, a tak naprawdę ja i Iga, bo Ela zasnęła na stole.

– Nie musisz mu jej oddawać – mówiła Iga, kolebiąc się na krześle w przód i w tył. – Nic ci nie mogą zrobić. To jakiś szantaż, wmówili ci nieprawdę.

– Jeśli ją zabiorę, oni mi ją odbiorą i nie zobaczę jej już nigdy w życiu – tłumaczyłam z półprzymkniętymi oczami, paląc ostatniego cienkiego papierosa. – Mówiłam ci.

– Nieprawda.

– Ja muszę być w tym wszystkim słowna, Iga. W końcu on pozwolił jej tu przyjechać. Więc na razie muszę mu ją oddać.

– Na razie? Do kiedy? – Iga bębniła palcami po stole. – Przecież tego nie wiesz. Nie masz pojęcia, kiedy będziesz mogła ją zobaczyć.

– Jestem niepoważna – odparłam.

– Tego nie powiedziałam.

– Wiesz o tym. – Uśmiechnęłam się.

– Moim zdaniem boisz się, stara. – Iga westchnęła, wstała i zaczęła przenosić do zlewu galaktykę brudnych szklanek, kieliszków i popielniczek. – Zanadto się boisz. Dałaś się zastraszyć, nie wiem, może ja na twoim miejscu też bym się bała.

– Metoda małych kroków – powiedziałam, sama nie wierząc w to, co mówię. – Pokażę im, że jestem porządną matką. Zaufają mi i wtedy powoli Ela zacznie tu przyjeżdżać częściej i na dłużej…

– Kurwa, kto komu ma udowadniać, że jest porządny? – żachnęła się Iga.

Nie odpowiedziałam, byłam zbyt wyczerpana. Sebastian wziął Elę na ręce i zaniósł do mojego pokoju. Zasnęłyśmy na jednym łóżku. Gdy wstałyśmy około trzynastej, za oknem było szaro, ciężko i samobójczo.

Jadłyśmy śniadanie, skubiąc jajecznicę i pijąc szklankę soku za szklanką, starając się do siebie uśmiechać. Ela się wykąpała, włożyła świeże ubrania, a ja wyrzuciłam śmieci, umyłam podłogę, pozmywałam naczynia, przewietrzyłam całe pomieszczenie, aby nadać Instytutowi jakiekolwiek cechy normalnego mieszkania, a nie meliny.

Ojciec Eli przyjechał o piętnastej, punktualnie co do minuty.

Stanął w korytarzu, pogłaskał swoją córkę po głowie i popatrzył na mnie nieobecnym, pustym wzrokiem. Był nieogolony, blady, wymięty. Pachniał alkoholem.

– Masz kluczyki. – Podał je Eli. – Idź już do samochodu, ale pod żadnym pozorem nie zaglądaj do bagażnika, bo nie ma tam dla ciebie żadnego prezentu.

Uściskałam Elę mocno, jeszcze mocniej, niż gdy tutaj przyjechała, aż nasze kości zaczęły wydawać dźwięki podobne do gniecionej w dłoniach paczki chipsów.

– Idź już. – Starałam się znowu nie rozpłakać. – No, idź już. Bardzo cię kocham. Niedługo się zobaczymy.

Moja córka jest mądra, zbyt mądra, i pewnie dlatego szybko wyszła, biorąc swój plecak. Nie chciała, aby jeszcze bardziej ją bolało. Wiedziała, że są odpowiednie momenty, kiedy można się jeszcze uchronić przed bólem, który potem stanie się nie do wytrzymania.

– Dziękuję – powiedziałam do ojca Eli. – Dziękuję, że ją tu przywiozłeś.

Nie odezwał się.

– Dziękuję – powtórzyłam. – Ty nie podziękujesz mi, że dotrzymałam umowy?

Nadal milczał. Patrzył na mnie, a właściwie przeze mnie. Wyglądał jak nieudana woskowa figura własnej osoby. Chciałam go szarpnąć. Uderzyć. Nie mogłam.

– Skoro nie chcesz nic mówić – powiedziałam, zużywając resztki spokoju – skoro nie chcesz nic mówić, to bierz ją i jedźcie. Proszę. Nie przeciągaj tego.

– Ona wczoraj piła tutaj alkohol – rzucił w końcu głosem, którego pijacka ciężkość i lepka chrypa przypominały jedynie drobne ślady tego głosu, jaki zapamiętałam. – Kiedy do niej dzwoniłem, była pijana, Agnieszka.

– Pilnowałam jej – wydusiłam przez zaciśnięte gardło. – Wypiła trochę szampana i...

– Była pijana, kretynko – powtórzył. – Była pijana, a ma dwanaście lat. Wiesz, co to znaczy.

Teraz ja zamilkłam.

– Wiesz, co to znaczy – powtórzył. – To znaczy, że nie zobaczysz jej przez bardzo, bardzo długi czas.

– Kacper... – wyszeptałam – ja jej pilnowałam, to niemożliwe. Ja jej pilnowałam. W życiu bym nie dała jej alkoholu. Nigdy.

– Każę jej chuchnąć w alkomat – powiedział. – Zanotuję wynik i włożę do teczki z napisem „Sprawa rozwodowa/prawa do opieki".

– Kacper... – wyszeptałam jeszcze raz.

Odwrócił się. Podszedł do drzwi. Stanął. Zwrócił głowę odrobinę w moim kierunku.

– Nie wiem – dodał, nawet nie patrząc na mnie. – Nie mam zielonego pojęcia, jak mogłem przepierdolić swoje życie z kimś tak durnym, nieodpowiedzialnym i niepoważnym jak ty. Chciałbym ci życzyć wszystkiego dobrego. Ale nic dobrego cię już nie spotka. Na twoje własne jebane życzenie.

– Kacper... – powiedziałam jeszcze jeden, ostatni raz. Już niemal bezgłośnie.

Trzasnął drzwiami. Szyba w drzwiach mojego pokoju lekko zadrżała. Usiadłam bez słowa na podłodze korytarza.

*

– Agnieszka. Ja jestem Marta. A on naprawdę miał na imię Jacek – mówi kobieta w żakiecie. – My nigdy nie używamy fałszywych imion. – Patrzy na mnie. Na twarzy ma cały czas ten sam uśmiech. Doklejony na stałe jak maska. Ta maska działa wyłącznie w dwóch trybach: uśmiech – brak uśmiechu. – Nie mamy po co – dodaje, stając nad ciałem Jacka. Leży w czarnej kałuży, nienaturalnie wykrzywione, jakby zatrzymane w połowie nieudanej figury gimnastycznej; jego krew jest zbyt czarna, wygląda jak smar; gdyby zależało to ode mnie, gdybym była charakteryzatorką na planie tego filmu, żądałabym, aby ją rozjaśnić, uczerwienić, uczłowieczyć. Jego twarz jest spokojna, zatrzymana w półuśmiechu pomimo złamanego nosa, pomimo mnóstwa zakrzepłej krwi.

To przecież jest film i to nie dzieje się naprawdę.

Sebastian leży obok. Na brzuchu. Również w plamie krwi. Inne ciała, te za mną, tak samo. Na razie nie patrzę w ich kierunku.

To film i to nie dzieje się naprawdę.

Nie potrafię wyobrazić sobie tego, gdzie będę, gdy otworzę oczy i się obudzę. Ale na pewno nie tutaj. Na pewno będę gdzie indziej.

– Po co w ogóle kłamać w tak powszedniej sprawie jak imię? – Kobieta w żakiecie wzrusza ramionami. Nosi ten sam żakiet. Z tym samym znaczkiem, który miała w kawiarni przy Brackiej. Na znaczku widnieje obserwator z lunetą. Taki sam jak na ścianie w mieszkaniu pani Finkiel.

Teraz sobie przypominam. Ta kobieta miała na imię Marta. Być może rzeczywiście ma na imię Marta.

– Dlaczego mielibyśmy kłamać w jakiejkolwiek sprawie? Możemy wszystko. Ludzie, którzy mogą wszystko, nie muszą kłamać. My powiedzieliśmy prawdę. To mieszkanie jest nasze.

W moich oczach jej twarz zamienia się w schemat twarzy, w prosty rysunek dziecka. Kreski i kropki. Grube, czarne, ściągnięte do dołu.

„Gdzie jest moja córka. Bardzo cię przepraszam, Iga. Bardzo cię przepraszam, Weronika. Gdzie moja córka? Ela. Eluniu. Bardzo cię przepraszam. Już idę, córeczko. Ale przecież zaraz wstaniecie z podłogi. Przecież to tylko film" – myślę.

– Gdzie jest moja córka? – pytam.

Wciąż słyszę skrzypienie, ciche i jękliwe, dochodzące z mieszkania Finkiel; jest tak cicho, że to skrzypienie wypełnia całe mieszkanie.

– Agnieszka, chodź – mówi kobieta. – Po prostu chodź za mną.

Dźwięk z płuc, dźwięk wydany przez człowieka. Ktoś wzdycha. Ktoś zmęczony. Ktoś stary i zły. Ten dźwięk jest daleko, ale też blisko; na drugim końcu budynku, ale równocześnie tuż przy moim uchu. Drzwi na klatkę schodową są wciąż otwarte. Czerń klatki schodowej za sylwetką kobiety w żakiecie każe sobie wyobrażać, że postać kobiety jest pojedynczym zębem w ogromnych, czarnych ustach, które zaraz połkną cały Instytut jak mały owoc, jak pestkę.

– Gdzie jest moja córka? – pytam.

– Chodź za mną – powtarza – to zobaczysz swoją córkę i wypuszczę was stąd. Chodzi nam tylko o mieszkanie.

Kiwam głową. Ruszam. Idę powoli, mam problemy z równowagą. Mam wrażenie, że porusza mną ktoś inny i każdy z ruchów boli, jest jakby wbrew moim mięśniom. Być może właśnie tak czują się starzy ludzie. Być może ja w tym momencie stałam się stara. Nie wypuszczam z rąk śrubokręta.

– Zobaczysz ją – zapewnia. – Musisz wiedzieć, że ja zawsze mówię prawdę. Teraz już wiesz, że ja zawsze mówię prawdę.

Już idę, Ela. Mama już idzie.

Na chwilę oglądam się za siebie. Widzę je zaledwie przez ułamek sekundy, Weronikę i Igę. Widzę włosy, otwarte, martwe usta, widzę pełno krwi.

„Przepraszam, Weronika. Przepraszam, Iga. Nie wiem, co jeszcze miałabym kiedykolwiek powiedzieć".

Po prostu chcę się obudzić. Chcę się obudzić gdziekolwiek indziej.

Już idę. Mama już idzie.

Wychodzę na korytarz, zimny, cuchnący, zły. Idę za kobietą, powoli, prosto do otwartych drzwi mieszkania pani Finkiel. To już nie jest mieszkanie pani Finkiel. Ta przestrzeń, ten budynek już dawno przestały być czyimkolwiek mieszkaniem, czyimkolwiek domem.

– Musisz zrozumieć, Agnieszka – mówi kobieta, którą poznałam jako Martę, agentkę nieruchomości – że to wszystko dla twojego dobra. Jesteśmy dobrymi ludźmi. Chcemy ci pomóc, chcemy się tobą opiekować. „Obserwować i opiekować", to nasze hasło.

– Opiekować – powtarzam za nią bezwolnie.

– Opiekować, aż nadejdzie odpowiedni moment. Takie dostaliśmy dyrektywy – odpowiada kobieta.

W mieszkaniu Finkiel jeszcze raz wchodzimy do pokoju z odsuniętą meblościanką i telewizorem, a potem idziemy po schodach na górę, znowu do brudnożółtego pomieszczenia, w którym znaleźliśmy Anię i Roberta. Kobieta jest na obcasach, więc porusza się powoli, ale i tak co chwilę musi się zatrzymać, czekać na mnie, odwracać.

– Chodź, Agnieszka – mówi – chodź. Nic ci się nie stanie. Chodź.

Kiwam głową. Obojętnie. Patrzę na swoje dłonie, jest na nich pełno krwi. Krwi paru osób, krwi w różnych odcieniach.

W pomieszczeniu na górze nie ma już krzeseł, nie ma Anki, nie ma Roberta. Jest kto inny. Wielkie, żółte metalowe drzwi są uchylone. To, co jest za nimi, jest na zmianę czarne i srebrnobłękitne.

Na środku pomieszczenia stoi mężczyzna w czarnym garniturze. Przed nim jest wózek inwalidzki. Na wózku inwalidzkim siedzi postać, która z daleka przypomina śmiertelnie chore dziecko. Postać ma na sobie również czarny garnitur, tyle że uszyty na wymiar małego chłopca. Podchodzę w ich kierunku, ostrożnie i powoli. Kobieta w żakiecie, Marta, wymija mnie, podchodzi do nich pierwsza. Staje obok. Przez chwilę delikatnie kładzie mężczyźnie w garniturze rękę na ramieniu. Razem wyglądają jak wstrętna parodia rodziny.

Śrubokręt. Wciąż mam w ręku śrubokręt. Wyprostowany mężczyzna to mój sąsiad z dołu, lekarz Banicki. Przynajmniej poznałam go jako lekarza Banickiego. Postać na wózku to wysuszony, ledwo żywy starzec wyglądający jak najstarsi żyjący ludzie pokazywani czasem w telewizji.

Na jego zasuszonej, gładkiej czaszce widać siwe resztki włosów. Wyglądają, jakby ktoś złośliwy dokleił mu do gołej czaszki kłębki waty.

– Jesteś bardzo podobna do swojej babci – stwierdza mężczyzna, którego znałam jako Banickiego. – Jesteś tak samo piękna.

– Chciałabym być tak piękna – mówi Marta głosem zupełnie innej osoby. Jakby ktoś wyjął z jej głowy taśmę i włożył inną, z inną osobą, innym głosem, piskliwym i głupim, jakby należał do niemądrej nastolatki. – Wybaczyliśmy jej – dodaje po chwili.

Kucam i zaczynam wymiotować. Krztuszę się, boli mnie krtań. Dopiero teraz. Parę widelców jedzenia Sebastiana. Brudna woda, herbata. Poza tym żółć.

– Moja córka – próbuję powiedzieć między kolejnymi torsjami. – Moja córka.

– To wszystko mogło wyglądać inaczej – oznajmia kobieta.

– Ale niektórzy się nie zgadzają – mówi mężczyzna.

Podnoszę się z podłogi, ocieram usta.

Starzec na wózku wydaje z siebie westchnienie. Gdy kończy, mężczyzna, kiedyś doktor Banicki, teraz po prostu mężczyzna, wyciąga z kieszeni małą metalową manierkę i podstawia mu ją do ust; starzec próbuje połykać, zawartość manierki ścieka mu po pofałdowanej, pokrytej wątrobowymi plamami twarzy. Na palcu bezwładnej, zwisającej z oparcia wózka dłoni jest złoty pierścień. Patrzę na manierkę, na której widnieje ta sama postać co w klapie marynarki – wygrawerowany zwiadowca z lunetą. Patrzę na starca: on, ręka Banickiego, manierka, garnitury, pierścień – to wszystko jest oddalone ode mnie o dziesiątki kilometrów. Rozpoznaję też starca. Rozpoznaję jego dłoń. Zwisała z fotela, z jego wpatrzonego w *Klan* ciała, w głębi mieszkania pani Finkiel, gdy przyszłam do niej po klucz do piwnicy.

– Niestety, pani Finkiel nie wywiązała się z zadania – mówi Marta.

– Nie rozumiem – głos, pytania, język: wszystko to wydobywa się ze mnie już bez mojego udziału, „Oni" są oddaleni, niewyraźni.

– Miała być cicho. Ale nagle doszła do wniosku, że ci pomoże. Przez tyle lat była tak posłuszna. Szkoda – wyjaśnia kobieta, delikatnie kręcąc głową.

– Mamusiu – to słowo wybucha nagle zza metalowych drzwi, wypełniając w całości mój słuch.

Rzucam się w stronę drzwi szybko jak biegacz na dźwięk gwizdka, ale wtedy kobieta mierzy we mnie znowu z pistoletu, tego samego pistoletu, z którego zabiła Weronikę, Igę i Sebastiana. Cmoka, kręcąc głową, niczym właściciel lombardu obracający w rękach kilkunastokaratowy pierścionek.

– Pozwól, że ci to wytłumaczę, Agnieszka – mówi kobieta. – To proste. Należy do nas bardzo dużo. Znacznie więcej niż większości ludzi się wydaje. Chcemy to odzyskać.

– Rzeczy są rozdawane plebsowi. Piękne rzeczy, piękne domy, piękna ziemia są rozdawane zwierzętom, które powinny mieszkać w chlewach – oznajmia mężczyzna, którego poznałam jako Banickiego.

– Moja córka – mówię albo mówi to ktoś obok mnie.

– To niepotrzebne i straszne. To marnowanie pięknych zdobyczy. Miejsce plebsu jest w chlewach. W schroniskach. W lepiankach – dodaje kobieta, którą poznałam jako Martę.

– Moja córka – powtarzam.

– Rozkład. Zaraza – to głos starca na wózku. Ochrypły jak zdarta taśma magnetofonowa. Jakby wydobywający się z innego miejsca niż jego ciało. Chory. Zły.

– Poza tym są nam to winni. Za tyle lat ciężkiej pracy. Tyle stuleci ciężkiej pracy. Pracy w imię porządku. Czegoś, czego nigdy tutaj nie było – mówi kobieta.

– Zaraza – powtarza starzec i powoli, z trudem kontynuuje: – Kiedyś jeszcze był świat. Beton. Drewno. Mięso. Kości. Teraz jest tylko rozkład. Śmieci.

– Antoni Waraszyl – głos kobiety na chwilę zmienia tonację, coś go łamie, drżenie, bojaźń. – Zawdzięczamy mu wszystko. Zawdzięczamy mu, że nie jesteśmy śmieciami. Zawdzięczamy mu, że jesteśmy ludźmi.

Robię krok do przodu, powolny i bolesny.

– Nie ruszaj się na razie, Agnieszka – mówi kobieta.

– Mamusiu, proszę, rób, co ci ludzie każą – rozlega się głos mojej córki zza metalowych drzwi.

– Kim, kurwa, jesteście? – charczę ze strachu i wściekłości.

– Rodzice twojego męża – dodaje kobieta – prawdopodobnie mieli rację, chcąc go od ciebie odsunąć. Uratować wnuczkę. To dobry odruch. Pewnie podejrzewali, co się wydarzy. Być może nawet o nas słyszeli. Kiedyś więcej ludzi o nas słyszało. Byliśmy czymś w rodzaju strasznej bajki. Ale my nie jesteśmy straszni.

– Straszny jest chaos. Brud jest straszny. Mezalians jest straszny – powtarza mężczyzna, cicho mlaszcząc.

Starzec na wózku próbuje jeszcze coś powiedzieć, kogoś zawołać, ale nie ma siły, rusza tylko ustami jak wyrzucona na brzeg ryba.

– Równość jest najstraszniejsza. Najgorsza – mówi mężczyzna.

– Kim jesteście? – powtarzam. Z całych sił wpatruję się w ciemność. Ciemność za uchylonymi drzwiami. Czarny pas ciemności, co kilka chwil rozbłyskujący na niebiesko.

– Odzyskujemy to, co nasze – wyjaśnia mężczyzna – co było nasze przed drugą wojną światową. Co zostało po niej rozdane. Podzielone. Pocięte. Popalone. Wymazane w gównie. Co dalej jest rozdawane. Za comiesięczną opłatą, którą nazywają kredytem. Rozdawane gównojadom. Niewolnikom. Śmieciom. Rozdawane śmieciom takim jak ty.

– To jej wnuczka – mówi kobieta, mężczyzna kręci głową z lekkim obrzydzeniem, jakby powąchał coś nieświeżego, a starzec na wózku znów charczy, po twarzy spływa mu trochę gęstej śliny.

– Co to ma wspólnego z moją babcią? – pytam cicho. Gdy dotykam swojej twarzy, jest cała mokra.

– Agnieszko – dodaje kobieta. Jej ręka z wyciągniętym w moją stronę pistoletem jest nieruchoma – Gdyby nie twoja babcia, już byś nie żyła. Trwałoby to znacznie krócej.

– Zamurowalibyśmy okna, odcięlibyśmy prąd, zamurowalibyśmy drzwi – oznajmia mężczyzna. – Zrobilibyśmy wszystko od razu. Ale pan Waraszyl chciał, abyś przeżyła.

– Nie wierzę ci – mówi do niej mój głos.

– Nie zostałby po was żaden ślad. Nikt by was nigdy nie znalazł – powiedziała kobieta.

– Kim wy jesteście? – powtarzam pytanie.

– Nazywamy się Obserwatorami – wyjaśnia kobieta i pokazuje palcem na znaczek. – Swego czasu pomagaliśmy królom.

– Pilnujemy porządku. Seperacji władców od poddanych – dodaje mężczyzna.

– Bredzisz – szepczę do kobiety przez sklejone gardło.

– Wciąż mamy nadzieję, że to wszystko, co jest dookoła, się naprawi. Że świnie wrócą tam, gdzie jest ich miejsce. Psy wrócą tam, gdzie jest ich miejsce – ciągnie kobieta.

– I ludzie. Ludzie wrócą tam, gdzie jest ich miejsce – dodaje mężczyzna w garniturze.

– Skończy się równość. Skończą się czasy ohydy – mówi kobieta.

– Wera – wtrąca starzec na wózku i na chwilę zapada cisza. Poprzednie słowa wypowiadał cicho, z najwyższym trudem, niewyraźnie, jakby każde wydanie dźwięku mogło kosztować go życie. Ale ten wyraz, imię mojej babci, wypowiada głośno i dźwięcznie.

– Wera – powtarza starzec.

– Już, chwila – mówi do niego Marta, kobieta w żakiecie.

To, co mokre na mojej twarzy, to łzy.

– Wielu ludzi myli nas z zupełnie kimś innym. Na przykład Jacek myślał, że wywodzimy się z poprzedniego systemu. Że jesteśmy czymś, co jeden z waszych prezydentów lubił nazywać układem. Inni nazywają to żydomasonerią. Jeszcze inni spiskiem iluminatów czy służb specjalnych.

Niektórzy po prostu używają takich słów jak „koteria", „znajomości". Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, o czym mówią, międlą te słowa w ustach jak złe czary, jak niejasne drogowskazy do miejsc, w których tak naprawdę nie chcieliby się znaleźć. Nigdy nie wyprowadzaliśmy nikogo z błędu, ale uwierz mi, jest wiele zasłon, zanim dotrze się do ściany. Jesteśmy starsi niż te wszystkie niesmaczne i głupie pomysły – wyjaśnia Marta.

– Niż wszystko – dodaje starzec do jej ostatnich słów.

– Jacek. Dlaczego Jacek był jednym z was? – pytam.

– Szukał nas bardzo długo. To był jeden z niegroźnych, inteligentnych wariatów, którzy wierzą w to, że odpowiedź na wszystko jest w internecie. Przeczytał jakiś głupi, stary artykuł. Potem szukał. Był uparty. Znalazł mnie – odpowiada kobieta i po chwili dodaje: – Trochę z niego zażartowaliśmy, mówiąc szczerze.

Na dźwięk wyrazu „zażartowaliśmy" starzec zaczyna rechotać; jego śmiech brzmi jak pisk małego duszonego zwierzęcia.

– Coś mu się przypomniało. – Mężczyzna troskliwie wyciera oślinioną brodę starca. – Coś mu się przypomniało, spokojnie. Chyba wiem co. – Mężczyzna się śmieje.

– Kiszczak – mówi kobieta i jakby przez ułamek sekundy patrzy na starca z pewną czułością. – No właśnie, przypomniał mu się Kiszczak. Opowiedz, to w sumie świetna anegdota.

– Kiszczak o nas wiedział. Bardzo nas się bał – wyjaśnia mężczyzna – ale nie był głupi. Umiał kalkulować. Pomyślał, że związanie się z nami jest opłacalne. Że przyjdzie moment, kiedy przyjdziemy po swoje.

– W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym mieliśmy około półtora tysiąca nieruchomości w Gdańsku, Warszawie, Krakowie, Lwowie, Wilnie, Czerniowcach i Łodzi. Plus miliony hektarów ziemi w całym kraju – mówi kobieta.

Nie obchodzą mnie jej słowa. Chcę tylko zobaczyć moją córkę.

– Jest coś takiego jak prawdziwa historia – wzdycha kobieta tak, jakbym zapytała: „skąd?".

– Wróćmy do Kiszczaka, racja, to niebywała anegdota – mówi mężczyzna, którego poznałam jako doktora Banickiego. – Ja i Rada powiedzieliśmy mu, że aby zostać Obserwatorem, musi przejść inicjację. Rytuał wejścia. Nie robiliśmy niczego takiego. Niczego takiego nie było. Ale doszliśmy do wniosku, że sobie zażartujemy. Jakieś dwa tygodnie po ogłoszeniu stanu wojennego Kiszczak w nocy przyjechał rządowym samochodem do Krakowa, do willi na Woli Justowskiej. Zjawił się ubrany po cywilu. Pilnowało go dwóch ubeków. Był zdenerwowany, cały czas palił carmeny. A jak nie palił, to żuł amerykańską gumę. Z reguły nie robimy takich rzeczy, ale wtedy ubraliśmy stroje wypożyczone z teatru. Zaczęliśmy udawać przed nim masonerię. Był przerażony.

– To naprawdę zabawne – mówi kobieta, która cały czas celuje we mnie z pistoletu.

– Więc na pewno tatusiowi przypomniał się Kiszczak. – Mężczyzna krztusi się ze śmiechu. – Kiszczak na środku salonu, otoczony Obserwatorami, nagusieńki jak go Pan Bóg stworzył, kiedy pierdoli swojego psa.

Starzec wybucha na chwilę spazmatycznym śmiechem, którzy brzmi, jakby umierał. Podrywa się na wózku, jakby podniosły go wielkie, niewidzialne ręce.

– Po prostu nie lubiliśmy komunistów. Byli prostakami. Ich miejsce było w chlewie razem z innymi świniami – dodaje mężczyzna.

– Błąd – stwierdza starzec, wciągając powietrze przed każdym wyrazem, błądząc w powietrzu na wpół martwymi palcami. – Jeden jedyny błąd. Wera. Wera. – Mówiąc to, pokazuje mnie palcem. – Błąd – powtarza.

– Chcę zobaczyć moją córkę – żądam.

– Dobrze. Chodźmy – proponuje kobieta; w końcu opuszcza broń i powolnym ruchem ręki pokazuje ciemność za metalowymi drzwiami.

– Miłość to błąd. Wera – mówi starzec, znowu cicho, znowu z ogromnym trudem. Jego pierś wznosi się i opada, jakby pod spodem koszuli nie było żadnego ciała, ale po prostu wiał tam wiatr.

– Chodźmy – zachęca Marta. – Niech to się skończy.

– Niech co się skończy? – pytam.

– Wyrzuć ten śrubokręt – rozkazuje kobieta i otwiera szerzej metalowe drzwi. – Twoja córka się przestraszy.

Kiwam głową. Wypuszczam śrubokręt z rąk. Słyszę, jak uderza o podłogę.

Wchodzę za nią do środka, kątem oka widzę, jak za nami idzie Banicki, pchając przed sobą na wózku starca w garniturze. Pomieszczenie jest niewielkie, wielkości średniego pokoju. Najpierw dostrzegam to, co na przeciwległej ścianie – kilkanaście wypukłych kineskopów wbudowanych w ogromną, drewnianą szafę. Coś w rodzaju sterującej tym wszystkim konsoli. Na płaskim, drewnianym blacie plastikowe, czerwone przyciski z odciśniętymi śladami brudnych palców. Mnóstwo kurzu. Zapach wielkiego grzyba, kurzu i pleśni. Na podłodze kartony, akta. Ale również usypane pod ścianą w niedbałą kupkę narzędzia chirurgiczne, gwoździe, obcęgi, młotki.

Pokój obserwacyjny.

Dopiero potem widzę Elę. W rogu pokoju, przywiązana do krzesła. Taśmą.

– Mamusiu! – krzyczy głośno.

Jest blada. Drży. Nie mruga oczami. Pod rozpiętą kurtką ma spraną koszulkę z filmu *Thelma i Louise*, obciętą nożyczkami na wysokości pasa. Między nogami w cienkich, różowych legginsach ma wielką, mokrą plamę. Ale nawet przywiązana do krzesła taśmą, zasikana, moja córka nabiera jasności, nabiera siły, nabiera blasku. Moja córka staje się świętą z obrazka, staje się aniołem.

– Córeczko – mówię – córeczko, już, już dobrze.

Nie odpowiada, zrywam z niej taśmę, odrywam ją zębami, odrzucam jej płaty za siebie. Przyciskam Elę do piersi, wciskam w swoje ciało i wtedy zaczynam czuć samą siebie. Moje ciało jest całe mokre. Mój oddech i tętno są jak u kogoś, kto skacze z dziesiątego piętra. Moje serce pracuje jak młot pneumatyczny. Drżę tak samo jak moja córka. Drżymy razem. Odsuwam

na chwilę jej twarz. Gładzę ją po policzkach, włosach. Jej oczom wraca przytomność, jej usta przestają się trząść, trafiają w końcu na mnie.

– Mamusiu – mówi, a gdy wypowiada ten wyraz, z ust wypada jej trochę śliny.

– Córeczko – odpowiadam – córeczko, już, już dobrze. Już dobrze.

– Tato nie żyje – szepcze i patrzy na mnie. Wiem, że jej oczy jeszcze mnie nie rozpoznają, jej słuch również; że wie, że jestem jej matką tylko dzięki wewnętrznemu, ssaczemu instynktowi.

– Co oni ci zrobili? Co oni ci zrobili? – pytam, dotykając jej twarzy, jej włosów.

– Tato nie żyje i dziadkowie też – mówi. – Biegłam do pociągu. Musiałam tutaj przyjechać, mamo, musiałam. Wyrwałam się tacie, kłócił się na peronie z dziadkami. Ktoś wsiadł za mną. Ktoś inny pojechał za nimi. Widziałam na telefonie. Oni nie żyją, mamo. Ktoś wszedł za nimi do domu i ich zabił.

– My żyjemy, córeczko, żyjemy. – Głaszczę jej twarz, nie mogę przestać, nie mogę przestać sprawdzać, czy rzeczywiście nie umarłyśmy.

– Jak Thelma i Louise – odpowiada, wyginając usta w coś na kształt uśmiechu.

– One umierają – mówię jej. – One umierają.

– Nie, mamo – szepcze i znowu się we mnie wtula. – One idą do nieba.

Wstaję i się odwracam. Staję przed nimi. Dopiero teraz dociera do mnie, że na zamontowanych w ścianie wypukłych ekranach coś leci. Na każdym puszczono inny czarno-biały film. Każdy z nich jest podglądem z kamer. Oprócz jednego ekranu w prawym dolnym rogu, który jest wyłączony. Ale nie interesuje mnie to. Interesuje mnie moja córka.

– Coście zrobili mojemu dziecku, skurwysyny? – pytam, a moje słowa są jak zardzewiałe noże.

– Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego to mieszkanie, dlaczego to miejsce? – Kobieta chowa pistolet i podchodzi do mnie. – Dlaczego ta kamienica? To jest nasze. To zawsze było nasze.

– Coście zrobili mojemu dziecku, skurwysyny? – powtarzam pytanie.

– Popatrz – mówi kobieta i wskazuje dłonią na ekrany.

Na kineskopach widać ludzi. Ludzi w kolejnych Instytutach.

Przyciskam Elę do siebie, zakrywam jej oczy.

– Już stąd idziemy, kochanie – mówię.

– To też jest nasze. To Lublin. – Pokazuje palcem ekran, na którym młoda kobieta tuli do siebie małe dziecko, a mężczyzna w ewidentnym amoku rozwala krzesło o zamurowane okna. Kobieta kiwa się na zmianę do przodu i do tyłu jak w ataku choroby sierocej.

– A to Zamość – pokazuje inny ekran, na którym wielki, wąsaty facet dźga z całej siły nożem starą, zgarbioną kobietę, która próbuje zasłaniać się rękami, ale bez skutku: nóż trafia na oślep w plecy, w twarz, w piersi, gdy trzecia osoba, otyła kobieta około pięćdziesiątki, przerażona, wrzeszczy, przyciśnięta do ściany. W tle widać sterty rozbitych talerzy, garnków, zerwane ze ścian szafki.

Na każdym z ekranów widać inny Instytut, innych ludzi zamkniętych we własnych mieszkaniach, doprowadzonych do obłędu, zabitych, zamurowanych, bez jedzenia, bez prądu, w szale, robiących krzywdę swoim bliskim i sobie nawzajem, doprowadzonych do ostateczności. Na każdym z ekranów widać to, co zrobiono nam.

– Czemu to filmujecie? – dociekam.

– Bo to ciekawe. Nie lubiłaś nigdy patrzeć na mrówki? Na robaki? – pyta kobieta.

– To eksperyment. Jak podpalanie mrowiska – mówi mężczyzna i dodaje: – Prowadzimy nasze eksperymenty niejako przy okazji. Robimy to od dawna. Zakładamy kamery, gdy nikogo nie ma w domu. Chowamy je w otworach wentylacyjnych, dlatego nie można ich znaleźć. Przez miesiąc obserwujemy mieszkańców, a potem przystępujemy do działań likwidacyjnych. Ciała wynosimy nocą. Palimy wszystkie meble. Ich krewni szybko się dowiadują, że nie ma sensu pytać ani szukać.

– Wszyscy już wiedzą, że zaczęliśmy i nikt nas nie powstrzyma – mówi kobieta. – Nikt. Nikt, kto rządzi tym krajem. Wszyscy się nas boją. Wszyscy wiedzą, co nam się należy.

– To jest właśnie Instytut. – Mężczyzna z widoczną dumą pokazuje ręką wypukłe ekrany. – Instytut obserwacji klas niższych.

– Chodźmy stąd, mamusiu – mówi Ela. Przyciska się do mnie tak mocno, że zaraz pęknie mi jakaś kość w nodze. Niech pęka. Kocham Elę najbardziej na świecie. Nic innego nie ma znaczenia.

– Nie patrz, Ela, już stąd idziemy, zaraz idziemy – obiecuję.

– Wera – wtrąca znowu starzec.

– Już, już, tato – odpowiada mężczyzna.

– To Warszawa – mówi kobieta i włącza ostatni ekran w prawym dolnym rogu.

Wtedy krzyczę wbrew przekonaniu, że już nie mam siły, krzyczę: na kineskopie widać mężczyznę, wyje, bezgłośnie wyje, jest nagi, stoi w pomieszczeniu otoczonym zapalonymi świecami gdzieś w tle; ktoś chowa się w ciemności, ale mężczyzna stoi i wyje, nagi; tam gdzie były jego oczy i genitalia, widać czarną pustkę, krwawe plamy. Mężczyzna, zalany krwią, człapie powoli jak zwierzę i dopiero teraz widzę, że za nim stoi ktoś z pistoletem, ktoś, kto po dłuższej chwili strzela mu w tył głowy. Mężczyzna pada na ziemię bezwładnie jak worek kartofli albo śmieci, a ten ktoś strzela jeszcze raz do kogoś, kto kuli się w ciemności. Przykładam dłoń do ust, żeby znowu nie zwymiotować, a wtedy kobieta o imieniu Marta mówi:

– To samo mniej więcej zrobiliśmy ojcu twojego dziecka. I jego dziadkowi i babci.

– To dobrze uczy posłuszeństwa. To zawsze uczy posłuszeństwa – dodaje mężczyzna. – I obcinać im jaja, aby się nie rozmnażały, świnie. Gównojady. To znakomity pomysł. To świetne – mówiąc to, czule głaszcze starca po głowie.

– Wera – powtarza ten.

– Już – uspokaja go mężczyzna.

– Ale to tylko dodatek. To tylko zabawa. Ludzie znikają. Nie ma ich jak szukać. Nikt nie dziwi się zamurowanym oknom. Nikt nie dziwi się zabitym drzwiom. Nikt nie dziwi się temu, że przestrzeń się zmienia.

Wszyscy szybko się przyzwyczajają. Wszyscy szybko przyzwyczajają się do nieobecności.

– Wera! Wera! – wyje starzec i pokazuje mnie drżącą dłonią.

Gdy to robi, powietrze w pokoju zastyga w klej.

Kobieta wyciąga pistolet z kabury pod żakietem. Podaje go mężczyźnie.

– Niech to się już stanie – mówi kobieta.

Mężczyzna bierze pistolet. Celuje we mnie.

– Nie rozumiem – rzucam. Ela płacze. Przyciskam ją do siebie z całych sił.

– Mój ojciec chce zemsty. Zemsty za to, jak został oszukany i porzucony. Złamany. Ta zemsta mu się należy. Takie jest stare prawo – wyjaśnia mężczyzna.

– Ale to nie ja go oszukałam, nie ja go upokorzyłam – odpowiadam cicho i zgodnie z prawdą.

Ale prawda nikogo tu nie obchodzi.

– Jesteś bardzo podobna do swojej babci, jesteś taka piękna – mówi kobieta i znowu ma ten głos, piskliwy głos upośledzonej dziewczynki.

Przełykam ślinę. Kręcę głową.

– Zaraz. Zaraz. Umowa była inna. Umowa była inna – powtarzam. – Miałyśmy stąd wyjść. Miałyśmy stąd wyjść całe i zdrowe. Ja i Ela – znowu powtarzam szybko, patrząc na broń.

– Naprawdę uwierzyłaś mi, gdy powiedziałam ci, że nigdy nie kłamię? – mówi kobieta swoim normalnym, zimnym głosem.

– A gdybym zgodziła się wziąć pieniądze? – pytam. – Te dwa i pół miliona?

– Nie dostałabyś żadnych pieniędzy. Zabilibyśmy cię i tak. Chcieliśmy cię po prostu sprawdzić z ciekawości. Czy jesteś tak uparta i dumna jak twoja babcia – odpowiada.

– Wy jesteście bardzo ciężko chorzy – szepczę.

Starzec próbuje się podnieść, dotknąć mnie ręką, ale znowu pada na wózek. Ciężko sapie. Z ust cieknie mu piana. Sprawia wrażenie, jakby zaraz miał się rozlecieć.

– Wera, kochanie – mówi do mnie starzec. – Najdroższa.

– Ja nie jestem Wera. Ja jestem Agnieszka – powtarzam, czując smak na języku, smak rdzy i strachu, a wtedy mężczyzna wrzeszczy:

– Nie dyskutuj z panem Antonim, ty kurwo!

Ela krzyczy. Głaszczę ją po głowie. Trzęsę się.

Na ekranie w prawym dolnym rogu ktoś kuca nad ciałem mężczyzny i je obwąchuje. Przystawia głowę do jego szyi. Nie mogę dalej patrzeć. Patrzę na czubek głowy Eli, przyciśnięty do mojego biodra. Czubek głowy Eli drży.

Czuję, jak z moich oczu lecą łzy. Obfite, słone strumienie. Wiem o tym, bo czuję, jak wlatują mi do ust.

– Agnieszko, to mieszkanie było dla nas wyjątkowe, wyjątkowe zwłaszcza dla Wielkiego Obserwatora, ale przede wszystkim chodziło o ciebie – mówi kobieta, znana jako Marta.

Staje przede mną. Czuję jej zapach. Jest wstrętny. Pachnie jak wymioty, jak gówno z cukrem.

– Umrzesz pierwsza – mówi mężczyzna. Sapie ciężko. Sprawia wrażenie, jakby był podniecony. – To łaska, którą daje ci pan Antoni. Umrzesz pierwsza, abyś nie musiała oglądać, jak umiera twoja córka.

– Zostawiłaś mnie, Weruszka – chrapie ciężko starzec i na chwilę jego oczy stają się jakby szerzej otwarte, przytomniejsze. – A tego się nie robi.

Przed oczami przebiega mi całe moje życie w źle oświetlonych, ziarnistych slajdach. Moje życie składa się głównie z obrazów mojej córki. Tak chciałabym je widzieć. Moja córka na slajdach w mojej głowie rośnie, rośnie coraz szybciej, nabiera kości, włosów, wzrostu. Rośnie, stojąc jednocześnie obok. Czuję jej ciepło. Pistolet jest przy mojej głowie. Czuję, jakbym miała w ustach pełno słonej wody. Jest mi słabo. Próbuję oddychać. Czuję ciepło mojej córki. Próbuję oddychać, ale mogę tylko płytko łapać powietrze.

Ogromnie się boję.

– Elunia, spokojnie, Elunia – mówię do mojej córki. Kocham ją najbardziej na świecie. Jest całym moim światem.

– Tato, zobacz, ale to już. To już teraz. Tak długo czekałeś. – Mężczyzna jedną dłonią trzyma przystawiony do mojej głowy pistolet, drugą głaszcze starca po głowie.

– Weruszka, zrobiłaś ze mnie idiotę. Tak nie wolno. Nie wolno – stęka starzec.

Mój mózg wyświetla mi dalej moje życie, już nie w kadrach, ale w zdaniach, czarnych wyrazach na białym tle, wyraźnych jak pioruny. Patrzę na kobietę, na starca, na mężczyznę. Byłam z nimi całe moje życie. Zaprosiłam ich tutaj, podejmując złe decyzje. Zaprosiłam ich tutaj, bo się bałam, zaprosiłam ich tutaj, bo całe życie, jak większość ludzi, spędzałam na słuchaniu poleceń. Spędziłam swoje życie w strachu. Bałam się bycia nieposłuszną. Bałam się wysunięcia nogi do przodu. Zrobienia prawdziwego kroku. Te zdania migają jedno po drugim. Dreptałam w miejscu. Zamieniłam moje życie w to mieszkanie. Zmieniłam moje życie w Instytut. Jesteśmy tutaj wszyscy, tu, w Instytucie. Wszyscy. Ja. My. Wy. Wy też. Drepczemy, drepczecie w miejscu. Aż do śmierci. Ja umrę już za chwilę. Potem umrze moja córka.

– Bardzo cię kocham, Eluniu – mówię cicho łamiącym się głosem.

Nagle słychać tępe, głośne plaśnięcie. Kobieta o imieniu Marta krzyczy, a ręka mężczyzny bezwładnie opada.

Pistolet spada na podłogę.

Marta wciąż krzyczy, a ja próbuję zrozumieć, co się stało.

– Daj mi go – mówi Sebastian, który niespodziewanie wyrósł w drzwiach jak wielkie, białe drzewo. – Daj mi go, Aga.

Pistolet. Podnoszę go z podłogi. Jest nienaturalnie ciężki. Broń ma wagę. To chyba najpierw przychodzi do głowy, gdy po raz pierwszy trzyma się ją w rękach.

Kobieta o imieniu Marta stoi bez słowa, oparta o zakurzony kokpit. Milczy, szybko oddycha. Mężczyzna, którego poznałam jako doktora Banickiego, leży na podłodze, ma drgawki, trzyma się za wbity w szyję kręgosłup.

– Zasłoń oczy – mówię do Eli, a właściwie mówi to ktoś inny, schowany w mojej krtani. – Zasłoń oczy, kochanie, i nie otwieraj, dopóki ci nie powiem.

– Mam to zrobić, czy chcesz sama, Czapa? – pyta ciężko i chrapliwie Sebastian. Jest półnagi, dolną część korpusu ma obwiązaną koszulką, trzyma się za brzuch, jest blady i rozstrzęsiony.

Patrzę na moją córkę zasłaniającą sobie oczy. Moją córkę w obsikanych legginsach. Moją córkę lśniącą jak anioł.

– Sama – mówię. – Zrobię to sama.

Gdy pierwszy raz kładzie się palec na spuście, czuje się opór, dochodzi się do wniosku, że spust jest jak stara, nienasmarowana klamka do drzwi, których nigdy, nigdy nie powinno się otwierać.

Sebastian bierze moją córkę pod ramię i delikatnie wyprowadza ją z pomieszczenia. Wychodzą, poruszając się mniej więcej w tym samym tempie. Znikają za rogiem i widzę, jak Sebastian delikatnym, czułym gestem kładzie dłonie na uszach Eli.

Mogę ruszać nogami i rękami. Mogę ruszać głową.

– Agnieszko, jeśli to zrobisz, przydarzy się coś strasznego – mówi kobieta, patrząc na mnie. – Jeśli to zrobisz, twoja córka umrze na twoich oczach. Będzie umierać bardzo długo. Będzie bardzo cierpieć, a ty nie zdołasz jej pomóc. Obiecuję ci to. Tak więc zastanów się. Zastanów się, zanim strzelisz.

Starzec na wózku charczy, z ust cieknie mu ślina.

– Wera – szepcze cicho.

– Wiesz, że tym razem mówię prawdę – ostrzega Marta, kobieta w żakiecie.

– Zamknij się, kurwo! – odpowiadam i naciskam spust. Czerwień chlusta na srebrnoniebieskie kineskopy. Coś popycha mnie do tyłu, w ostatniej chwili opieram się dłonią o ścianę, aby się nie przewrócić. – Kurwo – powtarzam ostatnie słowo, ale jej już nie ma, jest leżące na podłodze ciało. Oddycham normalnie. Broń nie waży zupełnie nic.

Sebastian znowu wchodzi do pomieszczenia, przytrzymując się ściany. Patrzy na jej ciało. Pluje.

Mężczyzna, którego poznałam jako Banickiego, leży na podłodze brzuchem do dołu i jęczy, próbuje się podnieść, lecz Sebastian kładzie piętę na jego kręgosłupie, zamieniając go w karalucha, w robaka na ułamek sekundy przed rozdeptaniem. Dopiero teraz widzę, że z brzucha Sebastiana na podłogę kapie krew.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że możecie wszystko? – pytam go, przysuwając głowę do jego twarzy.

Mężczyzna jęczy, ale wciąż się uśmiecha.

– Nie rozumiesz – szepcze z wysiłkiem. – Nie rozumiesz, nas jest wielu. Sami nie wiemy ilu. Jesteś martwa.

Widzę Elę, która stoi na zewnątrz. Wciąż ma zamknięte oczy, trzyma sobie dłonie na uszach. Drży.

– Myślisz, że zadzwonisz sobie teraz po policję. – Uśmiecha się. – Złożysz zeznania, opowiesz o wszystkim, koszmar się skończy, odzyskasz mieszkanie, odzyskasz swoje życie. Mówię ci jeszcze raz, nie wiesz, ilu nas jest. Ja tego nie wiem. Jesteśmy wszędzie. Jesteśmy policją, która przyjedzie tu na oględziny. Jesteśmy taksówkarzami, którzy będą wieźli cię na dworzec, a jeśli nie, będziemy konduktorami, którzy sprawdzą twój bilet, a jeśli nie, będziemy sprzedawcą w sklepie, właścicielem kolejnego mieszkania. Musisz umrzeć. Wszyscy z nas już wiedzą, że musisz umrzeć.

Przystawiam mu broń do twarzy. Patrzy gdzieś w sufit i dopiero po chwili dociera do mnie, że nic nie widzi, że wbity w szyję kręgosłup musiał odebrać mu wzrok. Mówi dalej:

– Zresztą zjawią się tu za piętnaście minut. Może kilku, może kilkunastu. Dokończą to, czego my nie zrobiliśmy. Zabiją was. Pozbędą się waszych ciał. Wyniosą je nocą. Nikt nie będzie was szukał. Śledztwo zostanie umorzone po tygodniu.

Odbezpieczam spust.

– Gdy ty umrzesz, pewnie będzie, jak mówisz. – Pokazuję pistoletem w kierunku starucha. – Ale gdy umrze on?

– To nic nie zmieni – odpowiada. – Zupełnie nic. Kontrola nad własnym życiem to iluzja dla większości ludzi – dodaje po chwili. – To przywilej dla nielicznych. To nasz przywilej.

Zanim zdążyłam cokolwiek mu odpowiedzieć, Sebastian szybkim krokiem wszedł do pomieszczenia, kucnął nad nim i jednym błyskawicznym ruchem skręcił mu kark. Słychać było tylko pyknięcie, jakby ktoś mocno nacisnął palcem na bąbelek powietrza w folii ochronnej.

Starzec na wózku zaczyna się trząść i bezgłośnie ruszać ustami.

– Uciekajcie stąd – mówi Sebastian. – Uciekajcie.

Biorę moją córkę za rękę i wracamy po schodach do Instytutu. Sebastian idzie z nami, powoli. Pozwalam mu, aby się o mnie opierał.

– Gdy strzeliła, nie urwał mi się film ani nic – wyjaśnia. – Po prostu przez chwilę nie mogłem się ruszyć.

– Nie słyszałam twoich kroków. Oni też – mówię, prowadząc nas troje w kierunku wyjścia z mieszkania. Wszystko dookoła blaknie, robi się płaskie jak zdjęcie.

– Czołgałem się – odpowiada.

Patrzę pod nogi – na podłodze widać blady, krwawy ślad. Patrzę na Sebastiana.

– Nie mogłem na to pozwolić, Czapa. Nie mogłem pozwolić tym kurwom, aby was zabili – szepcze.

Coś w nim gaśnie. Czuję to.

Gdy dochodzimy do Instytutu, Sebastian powoli pada na podłogę. Wydaje głębokie, głośne jęknięcie; krzywi się i dotyka krwawiącej dziury w swoim brzuchu.

– Ela – mówię cicho do mojej córki – zamknij teraz oczy, wejdź do mojego pokoju i nie wychodź, dopóki nie dam ci znaku. Nie patrz. – Kucam przed nią, przytulam i mocno całuję w głowę, w szyję, w dłonie, którymi zasłania sobie oczy. Mimo że już nie patrzy, zasłaniam sobą ciała na pokrytej krwią podłodze, ciała Rumuna, Igi i Weroniki.

– Czy już wszystko w porządku, mamusiu? – pyta.

– Tak. Ale posiedź trochę w moim pokoju z zamkniętymi oczami. Nie patrz, dopóki ci nie powiem – proszę.

Ela wchodzi do mojego pokoju. Zamykam drzwi.

– Co ty chcesz zrobić, Agnieszka? – pyta Sebastian.

– Muszą myśleć, że nie żyję – odpowiadam. – Przynajmniej przez chwilę, przez dziesięć, dwadzieścia minut, przez pół godziny. Musimy mieć z Elą trochę czasu. Musimy zmylić tropy.

– Ja tu zostanę – mówi, patrząc na mnie, a w oczach ma coś łagodnego jak stare zwierzę.

– Nie ma chuja – odpowiadam.

– Ja tu zostanę, Czapa, popatrz – upiera się i pokazuje czarną plamę na swoim przewiązanym koszulką brzuchu. – Już nic z tego nie będzie.

– Poczekaj – proszę go. – Pojedziemy do szpitala – mówię spokojnie i wyraźnie – pojedziemy do szpitala i wszystko będzie dobrze.

– Agnieszka, rób to, kurwa, i spierdalajcie stąd jak najdalej – odpowiada powoli. – Ja zostaję. Nie dam rady. Niech „Oni" spróbują tu wejść, będę ich zrzucał ze schodów jednego po drugim.

Uśmiecham się do niego.

– Popilnuj jej jeszcze przez chwilę. – Pokazuję palcem drzwi do mojego pokoju.

– Nic się jej nie stanie. Obiecuję. – Delikatnie się uśmiecha.

„Ten uśmiech zupełnie zmienia mu twarz" – myślę.

Idę do kuchni, zabieram z niej worek na śmieci. Wchodzę do mojego pokoju, biorę z niego ubrania na zmianę, silikon do charakteryzacji, nożyczki. Moja córka siedzi na łóżku. Całuję ją w głowę. Następnie wychodzę z Instytutu, wbiegam z powrotem do mieszkania Finkiel, potem na samą górę, do żółtego pokoju.

Zdejmuję z siebie stare ubrania, zakrwawione i śmierdzące, i kucam w samej bieliźnie nad kobietą w żakiecie. Jest mniej więcej tej samej postury co ja. Ciało nie jest jeszcze sztywne ani zimne; ściągam z niej sukienkę, bluzkę i oczywiście żakiet. „Bez żakietu ta kobieta traci wszystkie swoje właściwości" – myślę. Następnie wciskam na nią swoje

ubrania, dresy i bluzę, manewrując jej ciałem, podnosząc bezwładne ręce i nogi. Martwe ciało jest ciężkie, jakby śmierć sama w sobie była materią, obciążnikiem, czarnym ołowiem. Pakuję jej ubrania do worka na śmieci.

W swoim poprzednim życiu, dawno, dawno temu, zamieniałam ludziom twarze, psułam je aż do granicy rozpoznawalności. Byłam charakteryzatorką filmową. Wiem coś o twarzach, wiem, jak zaburzyć ich porządek, jak je złamać. Jak zabrać im rozpoznawalność. Biorę kolejne przedmioty. Rozstawiam je dookoła siebie, jakbym tworzyła warsztat pracy. Biorę nożyczki i energicznymi ruchami ścinam kobiecie włosy, wrzucam kolejne kosmyki do worka na śmieci. Starzec wciąż żyje, syczy, wzdycha i charczy, głośno, blisko mojego ucha.

– Zaraza. Wera. Zaraza. Rozkład – szepcze, plując flegmą.

Biorę rajstopy kobiety i wpycham mu je głęboko do ust. Zaczyna się dusić. Nie zwracam na niego uwagi.

Zostaje Ela. Gdy tu przyjdą, będą się zastanawiać, gdzie jest Ela. A może nie. Może wygram dziesięć, piętnaście minut. Dziesięć, piętnaście minut to dużo.

Zakładam kobiecie o imieniu Marta moją czapkę, owijam jej szyję moim szalikiem. Biorę do ręki pistolet i z całej siły uderzam ją kolbą w żuchwę. Jej zęby pękają na kawałki, poprawiam jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz; broń łamie jej twarz, kruszy ją, zamienia w breję. Biorę do ręki nóż i silikon do charakteryzacji i wykonuję cięcia, wysycam je wypełnieniami tam, gdzie były charakterystyczne punkty jej twarzy, gdzie były małe trybiki mięśni odpowiedzialne za jej pięć grymasów w okolicach nosa, pod oczami, koło brwi. Improwizuję. Wyobrażam sobie, że to model. Manekin. Że jestem w szkole, że to ćwiczenia.

Gdy kończę, ta kobieta mogłaby być mną. Mogłaby być każdym. Moje dłonie są całe we krwi. Odwracam głowę, aby nie zdawać sobie sprawy z tego, co przed chwilą zrobiłam. Zbieram wszystkie narzędzia i wrzucam je do plastikowego worka.

Odwracam się w stronę Antoniego Waraszyla. Nie wiem, czy żyje, czy nie. Bezwładnie leży na wózku, przypominając kłębek ubrań z doczepioną,

woskową głową z włosami z waty.

Wracam do Instytutu, idę do kuchni, myję ręce.

Staram się nie patrzeć na Weronikę i Igę. Przepraszam was, tak bardzo was przepraszam.

Wchodzę na chwilę do swojego pokoju, biorę torbę, wrzucam do niej pistolet, paszport, kartę do bankomatu.

– Chodź – mówię do Eli. – Chodź.

– Czy mogę już patrzeć? – pyta.

– Nie, jeszcze nie. Jeszcze chwila – proszę. – Chodź.

– Przepraszam – zwracam się do Sebastiana, gdy już razem z Elą stoimy na korytarzu.

– Za co mnie przepraszasz? – Z całych sił próbuje wyhodować na swojej twarzy wyraz irytacji. – Agnieszka, kurwa. To nie twoja wina.

– Gdybym wiedziała… – próbuję zacząć, ale podniesieniem ręki ucina to, co mówię.

– Nie ma na to czasu – odpowiada. – Spieprzajcie stąd.

Z kieszeni Rumuna wyjmuję telefon komórkowy, nowego smartfona. Nie widziałam, aby miał go kiedykolwiek wcześniej.

Rozglądam się po Instytucie. Jest ciemny i cichy jak wtedy, gdy weszłam tu pierwszy raz. Sufit nie stracił do końca swojej trupiej szarości, a spod całej tej krwi, spod ciał, spod bólu nadal wystają fragmenty starego, nabrzmiałego parkietu.

– Na razie, Sebastian – mówię, on się uśmiecha, a ja nachylam się i całuję go w czoło.

– Jesteś git, Czapa – szepcze ten łysy, wielki bandzior, który uratował mi życie.

– To ty jesteś git – odpowiadam i płaczę, gdy ściskam mu dłoń.

Dopiero teraz widzę, że krata na korytarzu jest otwarta. Oparta o ścianę wygląda tak samo, jak wyglądała każdego dnia, kiedy tu mieszkałam.

– Musimy biec – mówię do Eli. – Musimy biec, i to szybko.

– Czy mogę już patrzeć? – pyta moja córka, wciąż przyciskając dłonie do oczu.

– Nawet musisz – odpowiadam. – Nawet musisz, kochanie.

Zeskakujemy ze schodów, przebiegamy przez dolne części kamienicy, o których wyglądzie już zapomnieliśmy, ciche i opustoszałe, spadamy przez piętra jak przez kolejne partie studni, mijamy drzwi do mieszkania Banickiego i wybiegamy na parter, wbijamy się w wahadłowe drzwi, otwieramy je i wyskakujemy na ulicę. Biegniemy dalej. Miasto jest ciemne, puste i zimne, jest noc, sam środek nocy, a po alei nie jeżdżą żadne samochody. Moja córka jest ze mną, będzie już ze mną na zawsze, nikt nigdy nie będzie próbował mi jej zabrać. Biegnie po chodniku, przebiera swoimi chudymi, patykowatymi nogami i jest tutaj, jest moim życiem i szczęściem, jest mną.

Miasto jest wielkie. To małe, kamieniczne miasto w środku Europy, Instytut Kraków, jeszcze nigdy nie było tak ogromne. Potężne, z szerokimi ulicami, z oświetlonymi gmachami Akademii Górniczo-Hutniczej gdzieś na horyzoncie, szerokie, czarne, nieskończone. Biegniemy przez nie, przyciśnięte do siebie, nie oglądając się w tył; biegniemy, jakbyśmy po raz pierwszy w życiu wyszły na zewnątrz, powąchały powietrze, wyciągamy ręce, dziwiąc się, że nie trafiają na ścianę.

– Taksówki – mówi Ela. – Taksówki, zobacz.

Kręcę głową, ale córka ciągnie mnie w kierunku kilku samochodów zaparkowanych na postoju. Radio Taxi Barbakan. W środku pierwszej taksówki jest siwy, otyły mężczyzna z wąsami. Już mamy wsiadać, ale odciągam ją, abyśmy dalej szły piechotą. Wtedy Ela pokazuje mi palcem, abym odwróciła się za siebie i gdzieś w sercu pustej ulicy, na przejściu dla pieszych widzę kilka niewyraźnych sylwetek, idących równym tempem, zbitych w ciasną grupę, kierujących się w stronę Instytutu przy Mickiewicza. Z tej odległości nie potrafię dostrzec, kim tak naprawdę są, jak wyglądają. Widzę jedynie, że idą równym tempem.

Wracamy do taksówki. Otwieram drzwi. Siadamy z tyłu.

– Dokąd? – pyta kierowca.

Nie potrafię mu nic odpowiedzieć, ale moja córka, wtulając twarz w mój brzuch, niewyraźnie mówi:

– Do Stanów Zjednoczonych, proszę pana. Przy Wielkim Kanionie.

– Proszę sobie nie robić jaj – odpowiada kierowca.

– Proszę ruszać – mówię.

Samochód powoli odjeżdża w kierunku Ruczaju; na skrzyżowaniu Mickiewicza z Piłsudskiego każę mu skręcić w lewo. Mówię, aby jechał w kierunku dworca. Na zegarze w taksówce jest trzecia nad ranem.

Wyciągam z torby telefon i wykręcam numer na policję. Dyspozytorka, teraz już prawdziwa, zgłasza się po pięciu sygnałach.

– Chciałam zgłosić przestępstwo przy Mickiewicza dwadzieścia, mieszkania dwanaście – mówię. – Prawdopodobnie morderstwo.

– Poproszę o dane – odpowiada.

– Proszę o jak najszybszy przyjazd policji.

– Jak pani ma na imię i nazwisko? – pyta dyspozytorka.

Ściskam mocniej telefon w ręku. Kierowca jedzie tak, jak go proszę. Chowam dłoń do torebki, aby dotknąć broni. Jest zimna i twarda, ale sprawia wrażenie ciepłej i silnej ręki.

– Jak pani ma na imię? – powtarza.

– Wiem, że tam jesteście – szepczę, patrząc na przemykające obok puste, czarne miasto – ale nigdy nas nie znajdziecie.

– Jak pani ma na imię? – powtarza dyspozytorka z uporem zaciętej płyty gramofonowej.

Rozłączam się, wyciągam z telefonu baterię i kartę SIM i wyrzucam je za szybę, gdy kierowca przyśpiesza.

Przytulam moją córkę i całuję jej włosy. Są ciepłe, miękkie, pachną jak pościel. Biorę ją za rękę, której już nigdy nie wypuszczę.

– Kocham cię, mamusiu, tak bardzo cię kocham – mówi moja córka.

Moja córka ma na imię Ela.

Moje mieszkanie miało na imię Instytut.

Ja miałam na imię Agnieszka.

Kimkolwiek jesteś.

Koniec

Pierwsza wersja: Kraków 2010.
Wersja poprawiona: Warszawa 2016.

Posłowie

Kilka słów na zakończenie.

Napisałem *Instytut* jesienią 2009 roku w Krakowie na stypendium pobytowym w Willi Decjusza. Willa Decjusza to dom położony w parku na Woli Justowskiej, oddalony od centrum Krakowa jakieś pół godziny jazdy autobusem. Park jest spory i mroczny. Dom również jest spory i mroczny. Podzielony na kilka kondygnacji, o nieoczywistym rozkładzie korytarzy, jakby nawiedzony. Nie spotkałem nikogo, chociaż siedziałem tam nieustannie przez trzydzieści dni, ruszając się do miasta jedynie wieczorami. W pokoju obok mieszkał (podobno) jakiś poeta ze Słowacji, który potwornie chrapał.

Pomysł na tę książkę miałem znacznie wcześniej, ale właściwy akt jej napisania nastąpił właśnie wtedy. To były nieciekawe chwile w moim życiu. Nie miałem kasy, byłem w złym związku, w którym nie powinienem być, nie wiedziałem, co dalej robić ze sobą, a przede wszystkim bardzo wątpiłem w swoje pisanie. Chodząc po zakupy do najbliższego sklepu, myślałem o tym, czy nie lepiej byłoby rzucić wszystko w diabły i zatrudnić się w agencji reklamowej. *Instytut* jest w pewnym sensie wyrazem tych wątpliwości. Można powiedzieć, nie wchodząc w szczegóły, że nie widziałem zbyt wielu możliwych wyjść, podobnie jak moja bohaterka Agnieszka.

Książka ukazała się w 2010 roku. Moja sytuacja zawodowa i prywatna uległa w międzyczasie sporej poprawie. Recenzje *Instytutu* były, jak to mówią Amerykanie, *mixed*. Powieść chwalili głównie ci, którzy nie lubili moich poprzednich książek. Doczekała się również, niestety, recenzji druzgocących. Nie przejmowałem się nimi, ale szybko przestałem ją lubić.

Czułem, że jest z tą książką pewien problem, który zawiera się już w samej jej idei. Alfred Hitchcock, zapytany przez Truffaut o filmy, które miał robić, ale z których nakręcenia ostatecznie zrezygnował, odpowiedział, że porzucił pomysł filmu opartego na legendzie statku Maria Celeste. Legenda jest dosyć znana – do dryfującego po oceanie pasażerskiego statku podpływa, po odebraniu sygnału SOS, szalupa ratunkowa. Wchodzący na pokład ratownicy nie znajdują tam nikogo. Cały ogromny statek jest zupełnie opustoszały, chociaż w popielniczkach jeszcze tlą się papierosy, w kuchni pachnie jedzeniem, krzesła są ciepłe od ciał, które przed chwilą na nich siedziały. Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi?

Hitchcock powiedział, że nie da się opowiedzieć takiej historii bez wielkiego rozczarowania widza pod koniec. Tajemnica Marii Celeste jest tak potężna, tak dziwna, że każde jej wytłumaczenie będzie słabsze i mniej wyraziste od samego zawiązania akcji.

Instytut w nowym wydaniu różni się znacznie od wersji sprzed sześciu lat. Zniknęło z niego dużo brudu, niechlujstwa oraz nieudanych zdań. Uczyniłem akcję bardziej logiczną, udramatyzowałem i zmieniłem (trochę) zakończenie. Czytelnicy twierdzą, że nie lubią takich przeróbek. Nie zmienia to faktu, że dostają teraz lepszą książkę niż ta, która ukazała się sześć lat temu.

Wydaje mi się jednak, że problem Marii Celeste wciąż tkwi w *Instytucie*. Nie da się dobrze wytłumaczyć zagadki, którą rozpoczyna się *Instytut*, żeby jej nie spalić.

Czy tak jest w istocie, oceńcie sami. Jestem tylko autorem i mogę się mylić.

Na pewno lubię tę książkę bardziej niż wtedy, gdy ukazała się po raz pierwszy.

Jakub Żulczyk
Warszawa 2016